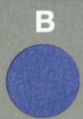




R



G



B



WH



GR

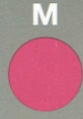


BL

Grey Scale #13



C



M



Y



K

DANES
-PICTA
.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19



M. S. Gillet

KSZTALTOWANIE
CHARAKTERU

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Colour Chart #13

DANES
-PICTA
.COM

M. S. Gillet

KSZTALTOWANIE
CHARAKTERU

8. 538

KSZTAŁTOWANIE
CHARAKTERU



W TYMŻE CYKLU
ZAGADNIENIA
WYCHOWAWCZE

wyszły dotychczas następujące
książki:

F. KIEFFER T. M. Autorytet w wy-
chowaniu domowym i szkolnem.
Przekład Karoliny Bobrowskiej.

Cena zł 5.-

J. DE LA VAISSIÈRE T. J. Teoria
psychanalityczna Freuda. Stu-
djum z psychologii pozytywnej.
Przekład M. i Z. Ziemińskich

Cena zł 3.20

W PRZYGOTOWANIU:

DR. M. FASSBENDER. Królewski
kunszt woli. Przekład I. S.

M. S. GILLET Z. K.

KSZTAŁTOWANIE
CHARAKTERU

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
JADWIGI SUCHODOLSKIEJ

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

15

NIHIL OBSTAT

Poznań dnia 20 lipca 1936
Ks. dr. Prumbs Antoni, cenzor

IMPRIMATUR

Poznań, dnia 22 lipca 1936
Kurja Arcybiskupia
Wikariusz Generalny w.
X. Infułat Ruciński
X. Jedwabski, Kanclerz
Kurji Arcybiskupiej
(L. S.) L. D. 11284/36

6398/1



Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha S. z o. o.
w Poznaniu. Tłoczono na papierze z własnej fabryki „Malta”

PRZEDMOWA

Temat, omawiany w niniejszej pracy, nie jest nowy. Przed nami już bowiem bardzo subtelni psychologowie i poważni moralści rozprawiali o urabianiu charakteru i kształceniu woli. Dostarczyli nam oni poniekąd materiału i wskazali drogę do celu. Ale im lepiej poznawaliśmy ich studia z dziedziny kształtowania charakteru, tem bardziej uderzała nas wyłączność używanych przez nich metod. Psychologowie zbyt jednostronnie trzymali się metody psycho-fizjologicznej, pomijając moralną stronę głównego zagadnienia, w przeciwieństwie do moralistów, którzy znowu nazbyt zaniedbywali źródła psychologiczne.

Toteż wydało się nam rzeczą konieczną połączyć obie te metody w żywotną syntezę, wyodrębnić współdziałanie ideału chrześcijańskiego i łaski w dziele opamiętania siebie, z uwzględnieniem wszakże faktu, że łaska nie niszczy natury i że nasza z nią współpraca wymaga, byśmy sobie dokładnie zdawali sprawę z warunków fizjologicznych i psychologicznych działalności moralnej.

Stwierdziliśmy na podstawie doświadczenia, że taka syntetyczna metoda może być pożyteczną dla dusz dbających o to, by nie rzucać się w wir życia naoślęp, a realny pożytek, jaki dusze z niej odniosą, będzie bez wątpienia najlepszą i najpożądalszą nagrodą dla serca apostoła.

M. S. Gillet.

WSTĘP

Ważnym elementem w diagnostyce jest wywiad z pacjentem. Wywiad jest to rozmowa z pacjentem, w której lekarz stara się poznać historię choroby, objawy, przebieg choroby, stan psychiczny pacjenta, jego styl życia, sytuację społeczną i rodzinną. Wywiad jest podstawą dla dalszych badań i decyzji o leczeniu. Wywiad powinien być przeprowadzany w sposób systematyczny i kompleksowy, uwzględniając wszystkie aspekty życia pacjenta. Wywiad jest również ważnym narzędziem do budowania relacji z pacjentem i do wyrażenia empatii. Wywiad jest również ważnym narzędziem do oceny skuteczności leczenia i do monitorowania przebiegu choroby.

Wywiad jest również ważnym narzędziem do oceny stanu psychicznego pacjenta. Wywiad może pomóc w wykryciu zaburzeń psychicznych, takich jak depresja, lęk, zaburzenia osobowości itp. Wywiad może również pomóc w ocenie wpływu choroby na stan psychiczny pacjenta. Wywiad jest również ważnym narzędziem do oceny skuteczności leczenia i do monitorowania przebiegu choroby.

Wywiad jest również ważnym narzędziem do oceny stylu życia pacjenta. Wywiad może pomóc w wykryciu złych nawyków, takich jak palenie tytoniu, nadmierne picie alkoholu, brak ruchu itp. Wywiad może również pomóc w ocenie wpływu stylu życia na stan zdrowia pacjenta. Wywiad jest również ważnym narzędziem do oceny skuteczności leczenia i do monitorowania przebiegu choroby.

Wywiad

Wywiad jest to rozmowa z pacjentem, w której lekarz stara się poznać historię choroby, objawy, przebieg choroby, stan psychiczny pacjenta, jego styl życia, sytuację społeczną i rodzinną.

CZĘŚĆ I

Ideal a kształtowanie charakteru

13273

13273

Rozdział I

WOLA A CHARAKTER

Co nazywamy *charakterem*? W mowie potocznej, wyrażającej często najlepiej rzeczywistość, mówimy o człowieku, że ma *charakter*, gdy on, wierny swym przekonaniom, stara się usilnie i wytrwale przystosowywać do nich własne postępowanie.

Przeciwnie zaś, człowiek bez *charakteru* zmienia poglądy za lada zwrotem w opinii i pozwala się kierować wypadkom, zamiast nad nimi zapanować lub nagiąć je do swoich celów.

Stąd wynika, iż na *charakterze*, tak ujętym, leży jakgdyby pieczęć woli, lub raczej to właśnie wola nadaje *charakterowi* oblicze moralne.

I

W o l a

Niema *charakteru* bez woli, niema woli bez *charakteru*. Cóż jednak nazywamy *wolą*? Najpierw nasuwałoby się do rozstrzygnięcia pytanie, czy, jak niektórzy dziś twierdzą, wola nie jest czasem samą istotą duszy, a wtedy *wolą* byłyby wszystkie przejawy naszej działalności psychicznej; czy też, wręcz przeciwnie, nie jest ona władzą odrębną, czemś w rodzaju kierowniczką wszystkich innych intelektualnych i uczuciowych władz duszy.

Stanowi to jednak zagadnienie czysto spekulatywne, którego rozwiązanie pozostawiam chwilowo

profesorom psychologii i metafizyki. Stojąc wyłącznie na stanowisku moralnym, wolę rozumieć jako najwyższą i najdoskonalszą formę działania ludzkiego, t. j. jako działalność refleksyjną, w przeciwstawieniu do instynktu, który jest źródłem działania nieświadomego i fatalistycznego; słowem, wola jest władzą, daną nam, byśmy działali ze świadomością przyczyny i panowali nad swymi czynami.

Jakże piękne jest wyrażenie: być panem swoich czynów. Chociaż zawdzięczamy je starożytnym, nie straciło ono na aktualności.

Człowiek wówczas jest panem rzeczy, gdy ją posiada. Być więc panem swoich czynów, to znaczy władać niemi, czynić z nich użytek dowolny, zwracać je w tym lub owym kierunku, jak owe płaskie krążki z kamienia czy metalu, które ktoś zręcznie rzuca do oznaczonego celu.

Z tego, że wola jest cudowną władzą, daną nam, byśmy się stali panami swych czynów przez celowe kierowanie ich przeznaczeniem, wynika, iż podstawą naszej woli jest *wolność*. Istotnie bowiem wolność jest udziałem władców; tylko niewolnik jej nie posiada. Bez tej wolności byłibyśmy niewolnikami, nie zaś panami swych czynów.

Ale teraz rozważmy, skąd pochodzi to panowanie nad naszymi czynami w życiu?

Pochodzi ono z królewskiej roli naszej *inteligencji*. Zwierzę nie jest wolne, ponieważ nie ma inteligencji, my zaś tylko dzięki niej jesteśmy wolni. Zwracam uwagę, że w tej chwili zastanawiam się nad wolą w ogólności, nad wolą, której *minimum* powinniśmy odnaleźć w każdej duszy, niewyżytą godności ludzkiej.

Inna rzecz, w jakiej mierze, *praktycznie* biorąc, w każdym z nas działalność wolicjonalna uwarunkowana jest osobistą inteligencją, temperamentem, skłonnościami dziedzicznymi lub nabytymi nawykami; i co za tem idzie, w jakiej mierze jesteśmy wolni w panowaniu nad swymi czynami i kierowaniu swym życiem.

Nie moglibyśmy jednak rozwiązać tego zagadnienia praktycznego bez określenia warunków ogólnych działalności ludzkiej, przede wszystkim zaś bez dokładnego oznaczenia słowa „wola”.

Powtarzam więc, iż jeżeli w tworzeniu czynów naprawdę ludzkich u podstaw naszej woli leży wolność — to skolei wolność ta, podobna do majestatycznej rzeki, przeznaczonej na użyżnienie całego naszego życia, źródło swe ma na szczytach inteligencji.

Działać naprawdę swobodnie możemy tylko wtedy, gdy mamy świadomość przyczyny. A działać w ten sposób to znaczy działać inteligentnie, jasno patrzeć na własne życie; to znaczy, zachowując sobie wybór najlepszych środków, iść do dokładnie określonego celu.

Taką oto jest wola; jest ona różdżką czarodziejską, która, dotykając najdrobniejszych czynności naszego życia, najzupełniej je przekształca; każe im przejść z szarej dziedziny materji w nieskończenie wyższą dziedzinę moralności.

Zważywszy to, nietrudno jest wywnioskować, dlaczego wola powinna brać udział w kształtowaniu charakteru.

II

Charakter

Charakter bowiem nie jest istotnie czemś prostem; przeciwnie, jest on bardzo skomplikowanym zespołem idei, zamiłowań, czynów, dążeń, nawyków, które trzeba ująć w karby, urządzić należycie i zjednoczyć, zależnie od celu, który mamy urzeczywistnić, i stosownie do ideału, który chcemy osiągnąć.

Zespół ten u każdej jednostki jest inny. Te same części twarży znajdujemy u wszystkich, przeróżne jednak proporcje, w których one są skombinowane, powodują, że każdy człowiek ma odmienną fizjognomję;

taksamo w dziedzinie moralności posiadamy wszyscy istotne cechy natury ludzkiej, ale w różnych stopniach i stosunkach¹⁾.

Każdy z nas posiada odrębny temperament, naturalne skłonności, odmienne uczucia, specjalny sposób działania, swoiste namiętności, właściwy sobie humor, różny bieg wyobraźni, osobiste nawyki intelektualne i moralne, swój stopień energii, coś więcej jeszcze? Jeżeli dodam, że u tej samej jednostki większość składników, pozostawionych bez kierownictwa z racji odmiennych praw, rządzących nimi, natychmiast wszczytna zatarg między sobą, to zrozumiemy, że praca, zasadzająca się na całkowitem ich opanowaniu, na usunięciu wszystkich między nimi rozbieżności i przeciwnieństw i doprowadzeniu ich do zgody trwałej, obliczona jest na siły olbrzyma.

Taką jest właśnie praca woli w kształtowaniu charakteru, który możnaby nazwać harmonią duszy.

I rzeczywiście charakter poznaje się po tych dwu zharmonizowanych ze sobą cechach: *jednolitości i stałości*.

„Mieć charakter — powiada Kant — to znaczy posiadać taką właściwość woli, mocą której człowiek trzyma się określonych zasad praktycznych, nieodmiennie postanowionych własnym jego rozumem.” A jako filozof dorzuca: „Chociażby te zasady mogły być czasem fałszywe i błędne, to jednak naogół skłonność woli do działania według stałych zasad (a nie do skakania to tu, to tam, jak muchy) jest czemś godnem szacunku, czemś, co budzi tem większy podziw, że rzadko zachodzi²⁾).

My przynajmniej, trzymając się nauki wiary, mamy możność posiadać pewne zasady praktyczne kształcenia moralnego. Doświadczenie dwudziestu wieków

¹⁾ De La Hautière: *Cours de philosophie appliquée à l'éducation*, str. 356.

²⁾ *Antropologia*, cz. II, § III.

wielokrotnie okazało, że zasady te mają blask i trwałość diamentu. Do nas należy kierowanie się tym blaskiem i oparcie się w działaniu na tej trwałości. We wszystkich dalszych rozważaniach dążyć będę do udowodnienia tej niewzruszonej, zdaniem mojem, prawdy.

III

Względna bezsilność woli w kształtowaniu charakteru

Jeśliby więc trzeba teraz określić charakter już nie doświadczalnie, lecz bardziej naukowo, to powiedziałbym, że *charakter stanowi zespół nawyków moralnych, rozumnie rozłożonych wokół osi wolicjonalnej*.

Definicja ta daje, według mnie, podwójną korzyść. Uwydatnia ona wagę udziału woli w kształtowaniu charakteru, oznaczając zarazem granice jej interwencji.

Z jednej strony jest rzeczą pewną, iż bez woli kształtowanie charakteru pozostanie złudą, z drugiej zaś strony niemniej jest pewne, że dopięcie tego, by naokoło woli rozłożyły się w sposób inteligentny nawyki moralne, stanowi przedsięwzięcie trudne, którego dokonania wolno spodziewać się tylko za cenę zdwojonych i wytrwałych wysiłków.

Dwie nowoczesne a dosyć modne teorie — chociaż krańcowo różne — chcą uprościć owo subtelne zagadnienie kształcenia charakteru, szczególnie je skomplikowały. Jedna z nich utrzymuje, że wola jest całkowicie bezsilna i nie może niczego w nas zmienić.

Teorie Istotnie, ileż to razy, gdy zjawiała się kwestja kształcenia moralnego, reformy życia, słyszeliśmy pesymistyczne słowa ludzi światowych, mających zresztą dobre intencje: „Nic nie poradzę ze swoim charakterem”, „niesposób siebie przerobić”, „to nie moja wina, że jestem taki, jaki jestem, trzeba więc brać mnie właśnie takim, jakim jestem”.

Te i tym podobne słowa, mrozące nasz zapał nawet w imię wiedzy, dowodzą tylko łatwości, z jaką przyswajamy sobie teorje, które dogadzają naszemu wrodzonemu lenistwu i pozwalają nam płynąć z prądem namiętności, lecz nie zobowiązują nas, byśmy się przeciwstawili mu lub nadali mu nowy i dodatni kierunek.

Istotnie, nie brak dziś uczonych i filozofów, głoszących, że „gdy chodzi o gruntowne przekształcenie w jednostce odziedziczonego po przodkach temperamentu czy charakteru, wychowanie jest bezsilne. Według nich człowiek rodzi się taksamo zbrodniarzem, jak poetą; całe przeznaczenie moralne dziecka zawiera się w łonie matczynem, później zaś rozwija się nieubłagane w życiu... pokolenia schodzą wdół po drabinie życia i moralności, ale już na nią nie wstępują”¹⁾.

Słowem, w oczach tych teoretyków moralności pojęcie charakteru sprowadza się do twierdzenia, którego konsekwencje uwypukla środowisko z matematyczną koniecznością.

Do czego więc ostatecznie w podobnym systemie sprowadza się rola woli? Nie potrzebuję podkreślać, że rola ta jest żadna. Wysiłki naszej woli podobne są do fal, rozbijających się o skały nadmorskie, których nie mogą rozkruszyć. Uderzają one bezskutecznie o nasze usposobienie dziedziczne, o nasz temperament psychiczny, o skłonności wszelkiego rodzaju i namiętności, których zespół tworzy naturalną, nie do przebycia tamę. Lepiej więc, odkąd wsiedliśmy na statek życia, odrazu pozwolić opaść wiośłom, zwinąć żagle, założyć ręce i wyruszyć bez steru: Niech się dzieje, co chce!...

Ach! jakże zniechęcająca jest ta ciasna koncepcja charakteru i jak boleśnie jest myśleć o zgubnym wpływie, który bez wątpienia wywiera ona na młode poko-

¹⁾ Guyau: *Education et hérédité*, str. XIII—XIV.

lenie! Dąży ona bowiem koniec końców do ogłoszenia moralności za bezsilną, a więc i niepotrzebną.

Na szczęście teorii tej przeczą: doświadczenie całej ludzkości, *zmysł moralny*, *praktyka wychowawców*, a wkońcu i zwłaszcza nasze *przeżycia osobiste*.

Fakty

Prawda, że podobny *fatalizm*, głoszony w stosunku do kształcenia charakteru, tak oburzył nasz *zmysł moralny*, iż przejęli się tem nawet najbardziej zdecydowani jego zwolennicy. Po wyłożeniu i rozwinięciu swych teoryj ze spokojem, który przystoi ludziom nieomylnym, zawahali się, jakie zająć stanowisko w praktyce.

Wkońcu zrobili ustępstwo i przyznali, mimo niedawnych apodyktycznych orzeczeń, że *faktycznie* należałoby uznawać stanowisko osób, które pokładają wielką nadzieję w mocy wychowawczej naszej woli. „Entuzjazm — pisał jeden z nich — nawet doprowadzony do fanatyzmu, jest dobrym bodźcem działania, może nawet nieodzownym... stąd możnaby powiedzieć o tych, którzy uważają wychowanie intelektualne i moralne za cudowny środek, że przesadne ich oczekiwania nie są bezowocne: i w ich niezachwianej nadziei zawiera się może częśćka dobroczynnego porządku rzeczy”¹⁾.

Byłoby to ostatecznem przyznaniem, że wysiłki wychowawców nie idą na marne.

Zresztą, kto twierdzi apodyktycznie, że kształcenie charakteru jest utopją i że ludzkość może się przekształcać tylko powoli, z biegiem wieków, pod naporem sił zewnętrznych i warunków życiowych, ten powinien wykazać, że *faktycznie* żadnemu wychowawcy nie udało się jego przedsięwzięcie.

Podobnem zaś twierdzeniem nie warto się zajmować. Istotnie, któż, słysząc o księciu Burgundji, wnuku

¹⁾ Spencer: O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznym.

Ludwika XIV, że zacytujemy tylko ten przykład, nie dowiedział się, do jakiego stopnia wychowanie może poprawić naturalne skłonności? „Księżę ten — mówi Saint-Simon w „Pamiętnikach” — urodził się groźnym i od zarania młodości wzbudzał drżenie: twardy i wpadający w złość niepokohamowaną, którą wywierał nawet na rzeczach bezdusznych; gwałtowny aż do szaleństwa, nieznoszący najmniejszego oporu, nawet czasu i żywiołów, bez wpadania w zapalczywość, wywołującą obawę, że wszystko mu popęka w ciebie, nadmierne uparty, namiętnie zamięłowany w rozkoszach wszelkiego rodzaju...”¹⁾.

Każdy przyzna, że wychowanie księcia z takim charakterem nie było zadaniem wcale łatwym. Pomimo to księżę de Beauvilliers z pomocą Fénelona i księdza de Fleury „pracował bez wytchnienia — jak mówi dalej Saint-Simon — by zmienić to okropne usposobienie; wreszcie, z pomocą Bożą, gdy wychowanek doszedł do ośmnastego roku życia, dzieło ich było dokonane. Księżę, porzuciwszy otchłań złych skłonności, wyrobił w sobie uprzejmość, łagodność, ludzkość, umiarkowanie, cierpliwość, skromność, ducha pokuty i o tyle, o ile odpowiadało jego stanowi, a nawet czasem ponadto — pokorę i surowość względem siebie”.

Najpiękniejsze teorie nigdy nie odniosą przewagi nad podobnymi faktami. Historia dostarcza ich na tysiące; lecz gdyby istniał ten tylko jeden fakt, zniweczyłby on wszystkie argumenty, które filozofowie uważali za swój obowiązek rozwinąć na poparcie bezsiły i bezcelowości wychowania moralnego.

„Charakter, przeobrażający się rdzenie bodaj tylko na pół godziny, nie jest zgoła charakterem niezmiennym, i można żywić nadzieję coraz częstszego powtarzania się owych przemian”²⁾.

¹⁾ Saint-Simon: *Mémoires*. — Bausset: *Vie de Fénelon*.

²⁾ Payot: *Kształcenie woli*. Wyd. VIII (polskie), str. 39.

Pocóż jednak szukać przykładów nazewnątrz? Wejdźmy raczej w siebie. Czy nigdy się nam nie zdarzyło w pewnych chwilach zapału, lub na widok pięknego czynu poprawiać najgorsze swe błędy, hamować, przynajmniej czasowo, złe dążności, nakładać wędzidło rozkiełznanym namiętnościom?

Tak więc to, co uczyniliśmy raz jeden, możemy odnawiać raz drugi i trzeci. W miarę nawet, jak się w tym kierunku mnożą nasze wysiłki, trudności się zmniejszą i przyjdzie dzień, kiedy naprzekór wszystkim kłamliwym systemom będziemy przekształceni.

IV

O rzekomej wszechmocy woli w kształtowaniu charakteru

Doszliśmy więc do wniosku, opartego na doświadczeniu, że nasze naturalne usposobienie nie tylko nie jest niezmiennie, ale przeciwnie zostawia woli szerokie pole działania.

Protestowaliśmy jaknajmocniej przeciwko wszystkim, którzy chcieli skłonić nas do uwierzenia w radykalną bezsilność woli, gdy chodzi o kształcenie charakteru. Nie jest to jednak powód do przerzucenia się w drugą skrajność, by twierdzić, że w dziele naszego wychowania wola jest wszechmocna. Łatwo wykazać, że ten drugi błąd byłby gorszy od pierwszego.

Teorja Ci, co utrzymują, że kształtowanie charakteru jest rzeczą łatwą, — a takich jest wielu! — czynią to w imię teorji czysto książkowej o metafizycznym podkładzie, w imię teorji wolnej woli. Obrawszy za podstawę definicję: „człowiek jest wolny” — wnioskuje, iż wszyscy ludzie w rzeczywistości są zawsze absolutnie i w jednakowym stopniu wolni. Gdybyśmy więc faktycznie byli do tego stopnia wolni, to ponieważ wolność jest daną nam możliwością kierowania wła-

snem życiem, jak chcemy, od nas tylkoby zależało, byśmy przez proste twórcze *fiat* z dnia na dzień stali się ludźmi z charakterem, bohaterami lub świętymi.

Trudno o jaskrawszy przykład przepaści, jaka oddzielać będzie zawsze teorię, zresztą niewzruszoną, od praktyki; ideał — od rzeczywistości.

Niechybnie na podstawie definicji człowiek jest wolny i tem właśnie różni się od zwierząt, które nie są wolne. Prawdą jest również, iż nato, by nadać każdemu z czynów codziennych wartość ludzką, powinienbym móc użyć tej wolności względem nich. Jeżeli życie moje w swym nieustannym biegu jest tylko potrzaskiem, w który czuję się schwytyany od pierwszej chwili, nie mogąc się już zeń nigdy wydostać, a czyny, które według swego mniemania mogę dowolnie spełniać, wynikają jedne z drugich automatycznie — jak spojone razem ogniwa nieskończonego łańcucha — wtedy życie moje jest nonsensem, a wolna wola — złudzeniem.

I tak wpadamy znowu pod obuch teorii, głoszącej zupełną bezsilność woli w przetwarzaniu naszego usposobienia.

Co innego jednak jest żądać dla każdej jednostki pewnego *minimum* wolności, któreby pozwoliło jej odróżniać się od bydlęcia lub maszyny, a co innego jest doszukiwać się w każdym z nas wolnej woli jako *absolutu*, nieznającego wcale przeszkód dla swej ekspansji i rozwiązującego trudności życiowe niestęchanie łatwo.

Doświadczenie Jeszcze wiele brakuje, byśmy byli wszyscy aż do tego stopnia wolni! Wolność — a rozumiemy przez nią wolną wolę — nie jest bynajmniej bronią, którąbyśmy otrzymali zupełnie gotową przy urodzeniu i którąbyśmy w razie potrzeby wszyscy mogli władać zręcznie.

Zgoda na to, że wola jest orężem, lecz ten oręż każdy wykuwa dla siebie w kuźni własnego sumienia;

oręż ten ma specjalny przywilej, iż krzepnie i hartuje się w walce. Pozostawmy go czas jakiś w bezczynności, a stanie się miękkim żelazem, które zegnije pierwsza przeszkoda i uczyni bezużytecznym. Nie znam sposobu zabezpieczenia go od rdzy, ani zachowania jego hartowności.

Kiedy więc w imię teorii metafizycznej zapewniam się nas, że jesteśmy wolni, zobaczymy wpierw, w jakiej mierze wykaże to doświadczenie.

Wyjaśniam, że przez wolność rozumiem tutaj panowanie nad sobą, niewzruszoną stałą przewagę w duszy naszej uczuć szlachetnych i moralnych idei nad popędami natury zwierzęcej. Tę jednak przewagę i to opamiętanie, które stanowią istotnie całą wolność, zdobywa się tylko ostrzem miecza w nieustannym boju.

Każdy z nas, rodząc się, przynosi z sobą zespół skłonności psychicznych, namiętności, wad nawet, które siłą bezwładu hamują wolną działalność. Kto nie uwzględni faktu tak oczywistego i chce zburzyć ten naturalny szaniec ciosami decyzji wolicjonalnych, naraża się prosto na złamanie samej woli lub przynajmniej może zniechęcić ludzi, mających najlepsze zamiary.

Po odwołaniu się do rozumu apeluję teraz do wiary.

Zarówno w porządku nadprzyrodzonym, jak i przyrodzonym, ciąży nad nami prawa dziedziczności. Jesteśmy spadkobiercami skutków grzechu i dziedziczymy nędzę swoich rodziców. Wszyscy ucierpieliśmy od tej dobrze znanej choroby. Nosi ona nazwę, która wskutek powtarzania stała się klasyczną: nazwę pożądlivości, gorączki, spalającej i pustoszącej najodporniejszą duszę, o ile łaska Boża, złączona z osobistymi wysiłkami człowieka, nie spłynie, by ją na czas zahamować i zapobiec jej zgubnym skutkom.

Pożądlivość oczu, pożądlivość ciała i pycha żywota: oto jakimi mocnymi słowy święty Jan znaczy tę gorączkę moralną. Wszyscy mniej lub więcej odczu-



wamy jej dreszcze. Zwłaszcza w spojrzeniu rozpala ona płomień pożądania. Jako grzesznicy nie mamy już czystego spojrzenia. Nie samo w sobie piękno nas przyciąga, tylko nadzieja rozkoszy zmysłowych, jakich nam ono miałoby dostarczyć.

Na wszystkie rzeczy pada z naszej winy ów cień zmysłowości, której znamię zostawił w nas grzech pierworodny. Jesteśmy podobni do ludzi, którzy widzą wszystkie przedmioty naturalne w tym samym tonie, gdyż przyszli na świat chorzy na oczy i nie mogą rozróżniać kolorów.

Oczy nasze są — że się tak wyrażę — oknami duszy. Toteż przez oczy ciało nasze ma najwięcej sposobności do grzechu i zadowolenia chorobliwej potrzeby użycia. Zmysły nasze tkwią jakby zawsze w więzach rozkoszy. Ciało, które powinny być poddane rozumowi i wierze i znosić z uległością ich panowanie, stawia im opór.

Napróżno rozum i wiara rozłaczają skrzydła i chcą nas unieść w krainy ideału: ciało opiera się temu, udaremnia ich wysiłki, staje się jakby olbrzymim ciężarem, utrudniającym im dążenie wzwyż, a nieraz ściągającym wzdół.

Ale co mówię? Sam nawet rozum wkońcu traci swą jasność, zaciemniony pożądaniem; ogień wewnętrzny, palący nasze ciało, rozptywa się w żyłach i zdaje się wytwarzać gęste opary. Wtedy, nie widząc nic, błądzimy w ciemnościach i szukamy poomacku ręki przewodnika.

Tak przedstawiałyby się pokrótce najważniejsze skutki tej śmiertelnej gorączki moralnej, której źródłem jest grzech pierworodny.

I oto każdy pojmie, czy mając stale przed oczyma szczytny ideał, zdołalibyśmy bez wysiłku jednym czarodziejskim fiat opanować i utrzymać w karchach taką rzeczywistość!

Wręcz przeciwnie, któryż młodzieniec nie odczuł boleśnie dysproporcji pomiędzy pragnieniem czynienia

dobrze a słabością swej woli? Takiego, coby jej nie odczuł, żałowałbym z całego serca, gdyż znaczyłoby to, iż mając lat dwadzieścia albo może więcej, nie wie on nic o życiu i o trudnościach, z jakimi w walce o byt zetknąć się musi.

Mówię to nie poto, by zniechęcać młodzież, ale raczej dlatego, by uprzedzić zniechęcenie z jej strony. Po wykazaniu, że kształtowanie charakteru jest przedsięwzięciem możliwym do urzeczywistnienia, wyrzuciłbym sobie, że wpołem młodym wiarę, jakoby przedsięwzięcie to było łatwe. Po pierwszej klęsce życiowej oskarżyliby mnie, że ich oszukałem, i mieliby rację. Ponieważ jednak są młodzi, więc są wspaniałomyślni i mają dobrą wolę. Cóż im tedy znaczą trudności, jeżeli nie są nieprzebyte? Powiedziano niegdyś: Nikt nie jest wolny, kto nie zasługuje na wolność. Młodzi powinni udowodnić, że na nią zasługują, zwłaszcza, gdy nauczą się zdobywać wolność.

Rozdział II

ŚRODOWISKO SPOŁECZNE A KSZTAŁTOWANIE CHARAKTERU

Gdyby normalnej interwencji woli w kształtowaniu naszego charakteru przeciwstawiły się tylko teorie, przytoczone poprzednio, zło byłoby bez wątpienia wielkie, jednakże uleczalne. Najlepszy bowiem sposób na ich unieszkodliwienie zasadałby się w wielu wypadkach, zwłaszcza gdyby chodziło o umysły prawe, pragnące przedewszystkiem poznać prawdę, na okazaniu, czym są te teorie po odrzuceniu wszelkich przemyślnych sofizmatów, któremi się one zastaniają, by uwodzić naiwnych i sybarytów.

Niestety, pewne warunki życia nowoczesnego, za które jednak nie jesteśmy odpowiedzialni, stanowią bardziej od wszelkich teoryj jakgdyby stałą przeszkodę w kształceniu charakteru. Podamy najważniejsze z nich. W ten sposób wytyczymy kierunek naszego rozumowania, poczem będziemy mogli przystąpić bezpośrednio do sprawy kształcenia charakteru.

I

X Składniki charakteru

- X Charakter poznajemy po dwu cechach: *jednolitości i stałości*. Gdy jednostka dzięki ćwiczonej woli zdoła zespolić swe rozproszone zasoby energii i zwrócić je wszystkie w kierunku ideału, który narzuca się jej działalności ludzkiej i chrześcijańskiej, słowem, gdy zdoła

wprowadzić pewien ład i równowagę w swe życie, można o niej będzie powiedzieć, że ma charakter.

Lecz ta praca opanowania i ujęcia siebie w karby nie dokona się odrazu. Przeciwnie, trzeba poświęcić na nią wiele czasu. Czas jest więc czynnikiem istotnym w kształtowaniu charakteru.

Pozatem podczas pracy nad usprawnieniem moralnym musimy mieć zawsze wzrok utkwiony w cel, nie pozwalając sobie na rozpraszanie się nadmierne przez wszelkiego rodzaju przejawy bliskiej nam rzeczywistości.

Po spełnieniu tych dwu warunków, ale tylko dopiero po ich spełnieniu zyskamy dla życia swego pożądaną *jednolitość i stałość*.

A jednak trzeba przyznać, że obyczaje nowoczesne — przez które rozumiem przede wszystkim nasze obecne zapatrywanie na życie we wszelkich jego formach — udaremniają wysiłki najlepszej woli i przeszkadzają w należytem spełnieniu obu warunków. Z jednej strony nie wystarcza nam czasu, by żyć dobrze, ponieważ chcemy żyć za prędko, a z drugiej strony w tym bezładnym wyścigu o zdobycie szczęścia zamiast iść bezustannie drogą, wykreśloną przez Opatrzność, któraby nas doń prosto zaprowadziła, chcemy iść naraz we wszystkich kierunkach, gorączkowo, bez dobrze rozłożonego planu. Jasną jest rzeczą, że kształcenie charakteru jest w takich warunkach niemożliwe.

II

Środowisko społeczne

Życie intelektualne Zastanówmy się na przykład nad dzisiejszym życiem umysłowym. Większość nas, chociaż w różnym stopniu, ogarnęta gorączka wiedzy. Nauka jest doskonałą rzeczą; zalicza się nawet do najlepszych środków kształcenia mo-

ralnego; będę miał sposobność powrócić jeszcze do tego zagadnienia. Wszystko jednak zależy od sposobu, w jaki się nauce poświęcamy.

Renan utrzymywał niegdyś, że „prawda nie chce, by jej poszukiwano ze zbytnią namiętnością”, „obojętność lepiej nieraz z nią sobie daje radę”¹⁾). Tym razem Renan mówił oczywiście jako dyletant. Ja jednak uważam, że można nawet bardzo namiętnie szukać prawdy, nie wnosząc w badania nerwowości, rozgoryczkowania i nieopanowania, które nie pozwalają inteligencji sięgać głębiej, ani sercu wzruszyć się mocniej przy zetknięciu się z prawdą szukaną.

Dziś przecie dwudziestoletni młodzieniec, by zyskać jaki taki szacunek, a co ważniejsza, by zapewnić sobie chleb powszedni, poznać musi powierzchownie całokształt wiedzy. Nie dąży on ku prawdzie, lecz biegnie, a biegnie aż do zaparcia tchu.

„Dziecko nie zna już lat spokojnego rozwoju; od pierwszego obudzenia się jego inteligencji przeciąża mu się pamięć pojęciami i faktami, rozwija się jego mózg jak hodowane w sztucznych cieplarniach kwiaty. Wkrótce potem narzuca mu się sztuczne programy, rozdęte i nieskładne, w które wtłacza się nauki matematyczno-przyrodnicze, literaturę, historję, języki obce; poczem nadchodzi czas egzaminów, przynosząc niepokój, oczekiwanie, niespodzianki, słowem, całą falę gwałtownych uczuć i wysiłków”²⁾).

Jakież miejsce zajmować może kształcenie charakteru w życiu tak absorbującym i to niestety w wieku, kiedy byłoby rzeczą nieodzowną założenie jego fundamentów? Nie można bowiem zaprzeczyć, że taki tryb życia pochłania całą prawie aktywność młodzieży, a wszyscy dziś cierpią i skarżą się właśnie na brak pro-

¹⁾ Renan: *Discours pour la réception de Pasteur à l'Académie Française*.

²⁾ Janvier: *Les Passions*. Paris, Lethiellieux, 1905. Gustave Le Bon: *Psychologie de l'Education*. Paris, Flammarion, 1906, rozdz. II, str. 30, 49.

porcji między przedwczesnym i nadmiernym rozwojem umysłu a słabością woli i rozproszeniem codziennym energii moralnej. Atmosferę intelektualną, którą oddychamy, przesywają jakby olśniewające błyskawice i oszałamiające nas prądy elektryczne.

Życie moralne Nasz obecny sposób pojmowania życia moralnego stanowi jeszcze większą przeszkodę w kształceniu charakteru.

Tylko człowiek, mało przejęty duchem chrześcijańskim, może sądzić, chociaż przelotnie, iż obowiązek nasz ogranicza się jedynie do „umeblowania” umysłu. Któż nie zauważył, że obok zamiłowania do nauki istnieją w nas inne, mniej szlachetne namiętności, które czekają tylko chwili sposobnej, by móc wybuchnąć, a sama nauka nie jest w możliwości ich uspokoić. Jakże więc uspokoiśmy je, nie niszcząc jednak?

Dotychczasowe doświadczenie aż nadto okazało, że uspokojenie namiętności jest przedewszystkiem sprawą wewnętrzną, wolno i stopniowo postępującą, sprawą, która składa się zarazem z rozmyślenia, czyli refleksji, oraz z ciągłych wytrwałych wysiłków woli, czyli działania. Zdaje się jednak, iż ludzie dzisiaj tego dobrze nie rozumieją; przesunęliśmy nawet oś życia moralnego z wewnątrz na zewnątrz. Zamiast walczyć z namiętnościami w zaciszu domowym, w tajemniczym wnętrzu swej duszy, rozpraszamy się nazewnątrz, jakbyśmy chcieli o nich zapomnieć i pozbyć się obowiązku zajmowania się nimi. Tak więc tych nielicznych chwil wolnych po ukończeniu nauki używamy na organizowanie zebrań lub na podtrzymywanie mnóstwa przedsięwzięć społecznych, doskonałych bez wątpienia samych w sobie, lecz absorbujących resztki naszej energii i łudzących nas swą mnogością, że żyjemy i to w całej pełni.

Pewnie, że gdy patrzymy na życie młodzieży akademickiej, zwłaszcza zzewnątrz, wydaje się nam ono ściśle wypełnione. Lecz czy nie należy się obawiać,

że po ukończeniu studiów młodzi, wyrwana ze środowiska uniwersyteckiego, gdzie napozór nie miała ani chwili wolnej, teraz, pozostawiona sama sobie, zętknie się na nowo z groźną falą namiętności chwilowo zapomnianych, lecz nie pokonanych?

Osobiście obawiałbym się tego. I oto dlaczego, mimo że wysoko cenię dobrą wolę większości młodzi, odważam się ją prosić, by postępowała tak, aby życie chrześcijańskie każdego młodzińca, oczywiście wewnętrzne, nie zaś powierzchowne, to, które nagina wolę i całą istotę ludzką do wymagań Wiary, nie zaś to, które ma swój punkt oparcia tylko w dziełach zewnętrznych, to, które czerpie z przejrzystych źródeł refleksji, a nie owo, które pograża się ochotnie w zaniedbaniu i zapomnieniu, — by życie to, powiadam, tyle osiągnęło intensywności i głębi, ile cwo drugie życie, zbiorowe i rozproszone, zyskuje pod względem ilości i miejsca.

Życie materialne Jeszcze słów parę dodam o niebezpieczeństwie, na które współczesne życie materialne narazić może kształcenie charakteru.

Zadawszy sobie trud wglądnięcia w to życie zbliska, stwierdzimy, że ono również opanowane jest takim samym szaleństwem pochłaniania wszystkiego i taką samą potrzebą rozpraszania się.

Najpierw, dzięki cudownym środkom komunikacyjnym, wyeliminowaliśmy odległość. Następnie, przez pomysłowe zastosowanie wynalazków naukowych znaleźliśmy tajemnicę mnożenia i wysubtelniania wszelkich wrażeń. Zewsząd roztacza się prawdziwy raj dla oczu, słuchu, dla wszystkich wreszcie zmysłów. W ciągu jednego dnia możemy tanim kosztem doznać różnorodnych przyjemności. Męka Tantala jest tylko pięknym wspomnieniem, gdyż puchar czarodziejski znajduje się zawsze w pobliżu warg naszych. Możemy wedle potrzeby lub kaprysu gasić w nim pragnienie.

Czyż jednak to gorączkowe poszukiwanie rozrywek i przyjemności, którego wpływowi osłabiającemu poddajemy się mimowoli, nie odbije się czasem na nas ujemnie? Nie można bezkarnie prowadzić życia na dwa fronty: życia ciała i życia duszy. Prędzej czy później równowaga się zachwieje i to zawsze ze stratą duchową. Porywy silnie zdecydowanej woli rozbiją się o siłę bezwładu materji, podobne falam burzliwym, ginącym w piasku.

Uważałem za swój obowiązek zwrócić młodzieży na ten punkt szczególną uwagę. Młodzieży, znajdując się w środowisku społecznem, którego sama nie wytworzyła, groziłoby wchłonięcie przez nie i uniesienie prądami sztucznego życia, rozlanemi wokół, gdyby nie słowo przyjacielskie, wyrrywające ją kiedy niekiedy z tępej bierności. Z temi właśnie słowy zwracam się do młodych, prosząc ich z całego serca, by je dobrze przemyśleli! Życzę im, by się stały one dla nich źródłem światła i energii i by im zawdzięczali postanowienie naprawy swego życia.

Rozdział III

POZNANIE SAMEGO SIEBIE A KSZTAŁTOWANIE CHARAKTERU

Kształtowanie charakteru jest dziełem, przypominającym pracę rzeźbiarza. Istotnie, jak rzeźbiarz powinniśmy umieć wyciosać z bryły zaledwie zgrubsza obrobionej, jaką jest nasza istota moralna, posąg żywy, czynny, wielkości nadnaturalnej, wyciosać oczywiście nie uderzeniami dłota, lecz szeregiem postanowień woli.

Ważną jest więc rzeczą poznać najpierw w grubszych zarysach naturę tej istoty moralnej, rozpatrzeć jej siłę oporu lub stopień plastyczności, słowem, zobaczyć, czy jak niektórzy twierdzą, niemożliwym jest pracować nad nią, obciosać ją i wygładzić, czy też przeciwnie, przedsięwzięcie nie przedstawia żadnych trudności.

Przeszkód, jak wiemy, jest sporo; zwróciłem nawet uwagę na kilka z nich, właściwych naszym czasom. Ostatecznie jednak kształcenie charakteru nie jest utudą. Tam, gdzie tysiącom innych się udało — a dowodzi tego historia i doświadczenie — dla czegożby się i nam nie poszczęściło?

Możemy sami z udziałem woli zmienić mniej lub więcej gruntownie swoje usposobienie. Dodam, że to samowychowanie jest jeszcze najowocniejszym i najtrwalszym, a to skutkiem wysiłku, jakiego ono wymaga, wysiłku, utrwalającego głęboko w duszy rezultat naszej własnej pracy.

Najważniejszym momentem dla samouka w przedsięwziętej reformie życia jest najpierw, zdaniem Sokratesa, dokładne poznanie siebie. Nie powinniśmy iść naprzód, nie zmierzyszy przedewszystkiem swych sił, nie oceniwszy środków, jakie mamy do rozporządzenia, nie policzywszy swych słabości, słowem, nie uświadomiwszy sobie własnego wewnętrznego świata. Po ukończeniu tej pracy, lub raczej równolegle z nią — gdyż ona się nigdy nie kończy — samouk powinien mieć zawsze przed oczyma ideał, który chce urzeczywistnić; a w miarę jak się doń zbliża, nie ustawać w wysiłkach, aby tem bliższe było podobieństwo pomiędzy czynem a ideałem; nie powinien wreszcie obawiać się dokonywania w chwili stosownej poprawek, cięcia żywego ciała lub zszywania jego strzępów własnoręcznie.

I

Samotność zewnętrzna

Przedewszystkiem więc musimy poznać siebie. Otóż przeważnie siebie nie znamy. Poznania bowiem siebie nie osiągniemy bez skupienia i samotności, do której niezdolna jest większość młodzieży. Gdy mówię o samotności, nie chodzi mi jedynie o samotność zewnętrzną, która zasadza się na tem, by nie rozprasać się zbytnio nazewnątrz, by żyć zdala od towarzystwa kolegów, by usunąć się samotnie do skromnego studenckiego pokoiku.

Nie chcę mówić źle o tej samotności. Jest ona jakoby przedsionkiem duszy, gdzie królować powinna samotność wewnętrzna.

Lecz jej wartość moralna i wpływ na kształcenie charakteru zależą ogromnie od powodów, dla których się jej poszukuje.

Młodzieniec, szukający samotności przez mizantropję lub poprostu, by uciec od przymusu, jaki życie wspólne bez wątpienia nakłada, nie tylko nie zyskuje

przez to pomocy do urobienia charakteru, ale słucha poprostu podszeptów tchórzostwa. Ucieka bowiem od trudności jedynie po to, by z niemi nie walczyć aż do zwycięstwa.

W tym wypadku wolalbym o wiele, by ów młodzian bojaźliwy i nieśmiały rzucił się odważnie w wir życia, obcował z kolegami, „stał swoje kanty” i wreszcie przystosował się do wymagań życia społecznego. W ten sposób postępując, umożliwi sobie zdobycie charakteru, chociażby jeszcze nosił na sobie piętna namiętności. Gdy raz opanuje jedną ze swych słabości, potrafi opanować i pozostałe.

Samotność zewnętrzna nie jest więc sama przez się środkiem kształcenia i karności moralnej, gdy chroniąc nas od rozproszeń życia światowego, nie ma na celu umożliwić nam lepszego poznania siebie. Musimy dążyć nadewszystko do osiągnięcia samotności wewnętrznej. Lecz i tam nawet łatwo można paść ofiarą pomylki.

II

Samotność wewnętrzna

Samotność wewnętrzna może się — do pewnego stopnia — bardzo dobrze pogodzić z rozrywkami światowymi, ale wyłącza absolutnie *roztargnienia* wewnętrzne czyli duchowe.

Niektórzy młodzieńcy całemi dniami przesiadują w swoim pokoju. Czynią to nie z mizantropji ani też z tchórzostwa przed nieuniknionemi trudnościami obcowania społecznego. Może więc dla nauki? Pragnę wierzyć, iż wielu tak czyni. Ależ wkońcu, nawet będąc w swym pokoju, ciągle się uczyć nie można. Wyjąwszy prawdziwych *intelektualistów*, dla których nauka jest pasją i którzy uczą się, aby wzbogacić swój umysł, większość młodzieży chroni się do swych pokojów dla nauki tylko w okresie egzaminów. Wtedy to każdy śpieszy się, by nadrobić czas stracony, przeciążyć pa-

mieć pojęciami i faktami, których liznął zaledwie w ciągu roku akademickiego i o których po uzyskaniu stopnia naukowego lub dyplomu postara się szybko zapomnieć.

Oczywista, że w tych chwilach przymusowej samotności młódzież nie może przykładać się do poznawania samej siebie.

Kiedyż więc tego dokona? Gdy zliczymy wszystkie godziny wolne, jakie jej zostawia życie studenckie, здаwałoby się, że ma na to dużo czasu. Niestety, tyranja rozłargnień wewnętrznych odrywa młódzież od niej samej o wiele bardziej jeszcze, niż to czynią w rzeczywistości rozrywki zewnętrzne. Proszę sobie uprzytomnić, że młódzieniec ma lat dwadzieścia, jest pełen zapału i że życie jego z przyczyn różnego rodzaju, nawet fizjologicznych, których nie mogę tu poruszać, wymaga ekspansji nazewnątrz. I oto nagle młódzian rzucony jest w wir miejski, gdzie żyć będzie samotnie, bez rodziców, bez oficjalnej opieki, bez pracy natychmiast obowiązującej, a nieraz nawet bez pracy dokładnie określonej. Przynajmy, że to ciężka pokusa. Czyż liczba godzin zupełnego opuszczenia się, zniechętałości, skończonego lenistwa nie będzie się zwiększać?

O ile więc wówczas ten młódzieniec zamknie się w kręgu samotności, będzie to znaczyło, że chce zdobyć stopniowo praktyczną, dokładną znajomość siebie; że chce uprzytomnić sobie, jakie dążności dobre lub złe w nim przeważają, na jakie wady swej istoty moralnej zwrócić powinien szczególną uwagę i usuwać je trwałymi wysiłkami woli?

Marzenie Pragnąłbym, żeby tak było, za pewne jednak uważam coś wręcz przeciwnego. Bo chociaż nie widzę nikogo innego w jego pokoju, wiem, że młódzieniec nie siedzi sam. Jego samego, prawdę mówiąc, tam niema. Daleko stamtąd uniosła go wyobraźnia w krainy sentymentalnych marzeń.

O czymże on marzy? Tak łatwo zgadnąć, iż nie potrzebuję szczegółowo omawiać tej sprawy. O czymże może marzyć dwudziestoletni młodzieniec, gdy siedząc beczynnie, nie nakłada wędzidła swej wyobraźni i nie reguluje wporę uderzeń swego serca?

Marzy i traci czas w pogoni za złudami; żyje więc poza sobą raczej, niż w sobie.

Zamiast skorzystać z danych mu kilku godzin względnej samotności, by skupić się i zanalizować siebie do głębi; by zobaczyć, jaką jest jego sytuacja moralna: czy idzie naprzód, czy się cofa, czy namiętności w nim milkną, czy też go oszłamniając, czy uczucia, które remi się poi, uszlachetniają go, czy też poniżają, czy wola jego hartuje się w walce, czy w niej słabnie — zamiast tego cóż on czyni? Pracuje nad ułożeniem romansu pełnego przygód; rozsnuwa go bezustannie, ogląda na wszystkie strony, nim żyje — a raczej z jego powodu zamiera, gdyż skutkiem tego systemu marnotrawstwa umysłowego i moralnego młodzieniec, chociażby nie wiem jak zdolny, może tylko więdnąć i gasnąć duchowo.

Przypuśćmy nawet, że po wyjściu z uniwersytetu uzyska pewną powierzchowną znajomość filozofji, matematyki lub historii, że potrafi mówić lepiej lub gorzej kilkoma językami żyjącymi, że posługiwać się będzie skalpelem mniej lub więcej zręcznie — jedna rzecz pozostanie pewna i bardzo smutna: oto w ciągu kilku lat przechodzić będzie obok życia; a co się tyczy kwestji poznania siebie, pozostanie zupełnym ignorantem; o ile zaś chodzi o kształcenie charakteru, nie wyjdzie poza granice elementarnych wiadomości.

Skupienie A tymczasem tak prostą rzeczą byłoby dla młodych postarać się o poznanie siebie, gdyż tylko tą drogą osiągną wyrobienie moralne.

Bez wątpienia powinniśmy znać swój cel; jakże jednak go osiągniemy, gdy już od samego początku nie znamy odległości, dzielącej nas od niego? Zgoda na

to, że powinniśmy mieć wzrok utkwiony w cel, niemniej jednak wracamy spojrzeniem do punktu wyjścia. Jeżeli bowiem cel drogi życia jednakowy jest dla wszystkich, jeżeli jednaki ideał narzuca się naszej działalności ludzkiej i chrześcijańskiej — omówię to jeszcze — to wręcz przeciwnie punkt wyjścia różny jest dla każdego z nas.

Mniej lub więcej zbliżeni jesteśmy do tego ideału, stosownie do naszego temperamentu, skłonności dziecięcych, wychowania początkowego, zależności od środowiska, w którym wyrosliśmy, od swego usposobienia, od swych namiętności, nawyków wrodzonych lub nabytych, od siły czy słabości naszej woli.

Ważną więc jest rzeczą, byśmy byli poinformowani o tem wszystkim, byśmy znali siebie gruntownie, a dojdziemy do tego tylko pod warunkiem skupiania się, częstego zgłębiania siebie nie tylko w swym pokoju — powtarzam to umyślnie — lecz w tajemniczym wnętrzu swej duszy.

Dodam, że to skupienie, które zresztą doskonale daje się pogodzić ze zwykłym trybem życia, nie może być nigdy przerwane, lecz powinno stać się dla nas nawykiem, dążnością, potrzebą. Dokonamy tego na prawdę, o ile zawsze, gdziekolwiekbyśmy się znaleźli i jakkolwiekbyśmy spełniali czyn, oko naszego sumienia zwrócone będzie prawie bezwiednie na motyw naszego postępowania.

Po paru latach takiego ćwiczenia możemy być pewni, że coś się w nas zmieni. Powierzchnia życia naszego może się skurczyć, gdyż mniej będziemy się rozpraszać nazewnątrz, zyska ono zaś na głębi i intensywności. Dokona się w nas, nawet bez naszej wiedzy, owa powolna praca krystalizacji wszelkich przejawów naszej energii, o których już wspomniałem. Zdrowe i trwałe nawyki ułożą się harmonijnie dokoła naszej zahartowanej woli. Słowem, dojdziemy wkońcu jakby do równowagi moralnej, która uczyniwszy nas panami siebie, wytworzy z nas ludzi z charakterem.

Rozdział IV

IDEAŁ A KSZTAŁCENIE CHARAKTERU

X Charakter nie jest więc czemś tak prostym, jakby można sądzić na oko. Wręcz przeciwnie, jest to bardzo złożony zespół idei, dążeń, namiętności, uczuć i nawyków, które trzeba poddać karność, ująć w ład i porządek, oraz zjednoczyć z myślą o celu, który mamy osiągnąć, i zależnie od ideału, który urzeczywistnić chcemy.

Nie ulega wątpliwości, że dla każdego z nas ważne jest poznanie szczegółowe tych wszystkich składników charakteru, zanim pomyślimy o zharmonizowaniu ich, o stworzeniu z nich trwałej opoki, o którą rozbiłyby się później wszelkie pokusy wewnętrzne i zewnętrzne. Nigdy bowiem nie widziano, by generał, dbały o zwycięstwo, rzucał swe wojska do ataku, nie dokonawszy wpierw ich przeglądu.

Wszelako nie zdałoby się nanic gruntowna znajomość samych siebie, posuwanie jaknajdalej analizy naszych energii moralnych, gdybyśmy równocześnie nie wiedzieli, jaki wybrać ideał, by w jego blasku pracować nad żywą syntezą tych właśnie energii. Innymi słowy, *poznanie samego siebie* powinno koniecznie dążyć do panowania nad sobą, w przeciwnym bowiem razie pozostanie bezpłodne. Postaram się więc, mówiąc o ideale chrześcijańskim, wyłuszczyć warunki konieczne do opanowania siebie, czyli do wyrobienia w sobie charakteru.

I

Konieczność ideału

Historja uczy, że naród bez ideału nie mógłby się rozwijać. To samo prawo stosuje się do jednostek. Jakość moralna jednostki zależy w wielkiej mierze od ideału, którego wpływowi przewodniemu jednostka się poddaje.

„Idea czegoś lepszego” (od rzeczywistości) — uważał współczesny filozof¹⁾ — jest dla nas środkiem, by to lepsze urzeczywistnić... Inteligencja ostatecznie kieruje wszystko ku pewnym celom, ponieważ zaś większość ich nie jest obojętna, ale posiada wartość moralną, przeto charakter z tego wyższego punktu widzenia wydaje się nam jakgdyby „porządkiem celowości”, lub według słów Emersona „porządkiem moralnym”, wprowadzonym w naturę jednostki „przez reakcję inteligentnej jej woli”; tak iż bardzo rozwinięte zrozumienie spraw moralnych i społecznych, pozwalając na ciągłą ewolucję charakteru, umożliwia rosnący wciąż postęp samej moralności... Czyż Sokrates, nie mówiąc już o twórcach religij, nie dostosowywał zarówno swego życia, jak i śmierci, do swoich zasad, i to, jak głosi jego własne świadectwo, wbrew pewnym skłonnościom swego temperamentu? Czyż nie wyznaje sam, iż był nadmiernie skłonny do namiętnej miłości, żyjąc atoli jak człowiek czysty? Czy nie uznawał, że fizjognomista Zopyrus miał rację, przypisując mu wiele prostackich skłonności, które wszakże z pomocą woli powściągał? A czyż Kant nie urzeczywistnił w całym swym życiu imperatywu kategorycznego? „Spałem — mówił — i śniło mi się, że życie to piękno; obudziłem się i ujrzałem, że jest ono obowiązkiem”. W jakim sposób się obudził, jeżeli nie przez działanie idei?... A święty Augustyn, porwany również temperamentem ku wszelakim rozkoszom ziemskim, czyż nie staje się

¹⁾ Fouillée: *Le caractère et l'intelligence*, str. 749-751.

pod wpływem zrozumianego i ukochanego ideału jednym z typów świętości?"

Wpływ ideału na kształcenie charakteru jest tak wielki, że bez popełnienia paradoksu można twierdzić, iż w wielu wypadkach jakość filozoficzna ideału małe posiada znaczenie.

Niech sobie ci i owi traktują naukowo ideał jako próżną złudę, faktem jednak pozostanie, że w jego prawdziwym lub fałszywym świetle niektóre dusze się przetwarzają.

Z ideałem — o ile chodzi o jego wpływ moralny — dzieje się mniejwięcej to samo, co z pewnemi hipotezami naukowemi. Nie należy ich mierzyć miarą wartości teoretycznej, lecz miarą wartości praktycznej i użytkowej. Mówimy to mimochodem, by odeprzeć zarzuty pseudouczonej, którzy nie raczą nawet wziąć ideału chrześcijańskiego za przedmiot swoich rozważań pod pretekstem, że w swej istocie, teoretycznie biorąc, wymyka się on spod sprawdzianów wiedzy i nie mieści się w ciasnych ramach ich koncepcyj, przyjętych a priori.

Możnaby im najpierw udowodnić, że właśnie temu ideałowi zawdzięczamy przemianę moralną ludzkiego społeczeństwa, odkąd Chrystus przyszedł objawić go światu. Przed tym zaś faktem, chociaż są uczonymi i właśnie dlatego, że są nimi lub się nimi mienią, powinni się skłonić. Bo zawsze przed faktem skłonić się należy.

Pozatem nietrudno byłoby im udowodnić, byleby tylko nie okazali złej woli, że wartość praktyczna chrześcijańskiego ideału ma się w stosunku prostym do jego wartości teoretycznej; czyli, mówiąc naukowo, jego istnienie jest niezaprzeczone, ponadto zaś niemożliwą jest rzeczą wytłumaczenie jego cudownego, uszlachetniającego wpływu na dusze bez odwołania się do jego nadprzyrodzonego charakteru.

Pocóż jednak zapuszczać się w szranki polemiczne? Nie zwracam się tutaj do uczonych, jeno do ludzi wie-

rzących. Wystarczy więc, że im przypomnę pokrótce, na czym zasadza się ideał chrześcijański, by natychmiast dołożyli wszelkich sił gwoździ urzeczywistnienia go w sobie, przyswojenia i pełnego zastosowania w życiu.

II

Ideał chrześcijański

Aby być chrześcijaninem, trzeba najpierw być człowiekiem uczciwym. Najlepszym jednak sposobem osiągnięcia uczciwości w całym słowa tego znaczeniu jest żyć po chrześcijańsku: ideał nadprzyrodzony zamknięty jest całkowicie w tych dwu zdaniach.

Aby być chrześcijaninem, trzeba być najpierw człowiekiem uczciwym. Co znaczy jednak określenie „człowiek uczciwy”?

Nadczłowiek Wiele mówiono ostatnimi laty o moralności nadczłowieka. Zwłaszcza sam termin „nadczłowiek” zyskał powodzenie. Czy jednak wiemy zupełnie dokładnie, co znaczył on w myśli Nietzschego, który był jego autorem?

Oto pogląd niemieckiego filozofa. Jedną z cech charakterystycznych, zasadniczo odróżniających moralność nadczłowieka od moralności zwykłych ludzi, takiej, jaka przyjęta była ogólnie aż do dnia dzisiejszego, polega na tym, że pozostać ona musi w swej istocie udziałem elity, gdy zwykła moralność stosuje się do wszystkich ludzi bez wyjątku.

Moralność naturalna, czyli ludzka, jest stanowczo demokratyczna w tym sensie, że narzuca jednaki ideał życia moralnego wszystkim ludziom: młodym i starym, biednym i bogatym, uczonym i prostakom. Bez wątpienia ideał ten może być urzeczywistniony w różnym stopniu, lecz co do istoty swej jest on jednakowy dla wszystkich.

Nietzsche zaś wręcz przeciwnie uznaje nierówność ludzi za konieczną, nawet, a mógłbym dodać i przede wszystkim, ze stanowiska moralnego. Moralność nad-człowieka jest ze swej najgłębszej istoty arystokratyczną. Społeczeństwo, podzielone dokładnie na klasy, z których każda ma swoje przywileje, swoje prawa i obowiązki, wyłącza kastę niższą — ludzi nieznaczących, miernych, słowem, wszystkich, których naturalnem powołaniem jest służyć za mechanizm wielkiej maszyny społecznej.

Moralność nadludzi nie jest moralnością ludzi małych, niewolników, wyzyskiwanych, tych, którzy własnym kosztem utrzymują kastę wyższą. Jest ona moralnością władców, „twórców wartości”, tych, którzy nadają impuls organizmowi społecznemu i którzy powinni grać tu na ziemi pomiędzy ludźmi rolę, jaką odgrywa Bóg we wszechświecie, tak, jak Go sobie my, chrześcijanie, wyobrażamy. Tylko dla władców i jedynie dla nich stworzona jest moralność nadczłowieka.

Tak pojęta moralność jest nie tylko arystokratyczną, ale i *antyidealistyczną* w tym sensie, że nadczłowiek nie przyjmuje, jak my, ideału zupełnie gotowego, by dostosować doń własne życie. On sam sobie tworzy *własny* ideał całkiem autonomicznie. Nie troszcząc się o dobro i zło, o prawdę i błąd, tworzy własną moralność¹⁾.

Zwróciłem już na to uwagę, że moralność ludzka, tak jak się ją zwykle rozumie, przeciwstawia się biegunowo tej moralności arystokratycznej. Poza tem jest ona moralnością idealistyczną, to znaczy, że stosuje się do ideału, którego nie stworzyliśmy, lecz który wynika z naszej natury, a raczej ostatecznie za jej pośrednictwem z Boga.

¹⁾ Lichtenberger H.: *La Philosophie de Nietzsche*, Paris, Alcan, 1905, str. 150-199.

Człowiek uczciwy Na czymże zasadza się ten ideał? Nie na wynoszeniu się ponad innych, nie na pogardliwym używaniu ich jako piedestału, lecz przede wszystkim na wzniesieniu się ponad siebie. Każdy z nas piastuje w duszy własny świat moralny, który ma swoje prawa, swoje blaski i cienie, swoje okresy ciszy i burz, swe dni pogodne i dżdżyste. Świat ten nie jest pusty. Prawda rozsiewa w nim swe światło, ale i burze w nim huczą, a namiętności wrą. Czy namiętności przeszkodzą w objawieniu się prawdy, czy też prawda burzę ich rozproszy?

Ideał polega na ustanowieniu w naszym świecie moralnym panowania prawdy i rozumu nad niskimi popędami. Ideałem jest przepoić światłem i ciepłem wszystkie zakątki duszy, w których panują ciemności i chłód. Ideałem jest utrzymywać nasz świat wewnętrzny w stanie trwałej równowagi, która uczyni z nas władców, i to nie dla innych, nie dla tych, co żyją poza nami, lecz władców nas samych, ludzi z charakterem.

Chrześcijanin Oto ideał człowieka uczciwego. Ale jak już zauważyłem, najlepszym sposobem urzeczywistnienia w nas ideału człowieka uczciwego, władającego sobą, jest życie chrześcijańskie. Czemuż to? Ponieważ ideał chrześcijański, uzyskując w duszy naszej przewagę nad ideałem ludzkim, udziela środków do urzeczywistnienia w całej pełni tego ideału¹⁾.

Teraz, gdy według własnego swego mniemania znamy siebie, gdy wiemy, do jakiego wzniosłego ideału powinniśmy dążyć, zachodzi pytanie, czy jesteśmy

¹⁾ Patrz: *La Virilité Chrétienne*. Bruges, Desclée de Brouwer, 1909. Cała pierwsza część tego dzieła poświęcona jest dokładnemu ustaleniu obiektywnej treści chrześcijańskiego ideału, z którego podajemy tutaj jedynie punkt widzenia ludzki, naturalny.

dość przygotowani, by stać się chrześcijanami z charakterem? Sądzić tak byłoby poważnym błędem.

Co innego bowiem jest być poinformowanym o jakiejś podróży lub o celu, który mamy osiągnąć, a co innego go dopiąć, zwłaszcza gdy cel przedstawia trudności, zda się, nieprzebyte.

Już w starożytności filozofowie twierdzili, że ideał człowieka-mędrca po dojściu do opanowania siebie, po zapewnieniu panowania inteligencji i szlachetnym uczuciom nad zwierzęcymi odruchami polega na upodobnieniu się do bóstwa.

Istotnie bowiem Bóg jest przedewszystkiem inteligencją. Dzięki niej jest Panem zarówno siebie, jak i wszechświata. Wszelako ideał, przedstawiony w ten sposób, wydaje się bardzo abstrakcyjnym. Nam zaś do działania potrzeba ideału konkretnego. Cudowna właściwość wiary chrześcijańskiej polega właśnie na tem, że przedstawia ona ten ideał ucieleśniony w osobie Chrystusa, Boga-Człowieka. Jezus bowiem stał się człowiekiem, by umożliwić człowiekowi upodobnienie się do Boga.

III

Poznanie ideału a kształtowanie charakteru

Nie chciałbym — po pochwałach na cześć ideału chrześcijańskiego — mówić teraz źle o nim. Trzeba jednak koniecznie przyznać, że ideał ten z uwagi na swoje wymagania przy pierwszym zetknięciu się bywa raczej zniechęcający. Błędnie też wielu wychowawców współczesnych sądzi, że wystarczy błysnąć przed młodzieżą ideałem i oczarować jej umysł, by równocześnie zapewnić sobie naprawę jej obyczajów. Pogląd ten jest absolutnie fałszywy w *teorii* i w *praktyce*, jak to niezwłocznie postaram się wykazać.

Wychowanie a wykształcenie

Dawno już temu Sokrates dowodził młodym Ateńczykom, którzy z napięciem uwagi słuchali słów jego, że praktykowanie moralności a wiedza moralna to jedno; że dobro, skoro je poznamy, narzuca się naszej woli; że wystarczy poznać to, co jest dla nas najlepsze, by skutecznie doń dążyć. Dla słuchaczy była to nowość. W mniemaniu Sokratesa i Platona, który był jego uczniem, „każda cnota jest wiedzą”¹⁾; „człowiek zły nie czyni naprawdę tego, czego chce, jakkolwiek czyni to, co mu się podoba”²⁾; „mądrości oddzielić niesposób od mądrego postępowania”³⁾.

Obaj więc twierdzą, że prawdziwa wiedza o dobrem pociąga za sobą spełnienie go; że „to co najlepsze” bezwzględnie nas obowiązuje i że cnota wypływa z koniecznego zdeterminowania naszej woli przez „to najlepsze”, które mamy urzeczywistnić. Podobnie myślał Leibniz; jego optymizm w tej kwestji jest dobrze znany. W XVIII wieku encyklopedyści podjęli w formie mniej metafizycznej ten święty paradoks naukowy.

Jako niepoprawni utopiści twierdzili, że rzeczą praw jest reforma obyczajów, nie zaś, że do obyczajów należy reformować prawa; według nich wystarczy skrócić kodeks lub dodać doń parę wierszy, by jednocześnie zmieniona została moralna fizjognomja narodu.

Jeden z encyklopedystów⁴⁾ — przyznając, że najnaiwniejszy z ich grona — zastanawiał się nawet, czy różnica między jednostkami rasy ludzkiej nie pochodzi z różnicy wykształcenia, i czy cnoty nie można nauczać, jak filozofji lub matematyki.

Możnaby sądzić, że współczesne społeczeństwo zlekceważyło sobie podobne utopje. Tak jednak by-

¹⁾ Arystoteles: *Etyka Nikomachijska*.

²⁾ Platon: *Protagoras*, 358 c.

³⁾ Ksenofont: *Pamiętniki*, III. 9.

⁴⁾ Helwecjusz.

najmniej nie jest; raczej przeciwnie. Jeszcze i dzisiaj w większości środowisk uniwersyteckich wygłasza się zdanie, iż kształcenie charakteru może się dokonywać zapomocą podręczników i wyuczonych napamięć formułek. Zaledwie niektórzy profesorowie zaczynają się odwracać od tak oczywistego błędu i szukać środków, zastępujących podręczniki. Tymczasem większość uczonych ogranicza się do uroczystego i wymownego proklamowania stylem mniej lub więcej gładkim nieocenionych dobrodziejstw dobrego wychowania.

Doświadczenie Byłby już wielki czas zrobić porządek w tej dziedzinie. Rad będę wielce, jeżeli uda mi się kiedykolwiek przekonać na tym punkcie chociażby kilku czytelników.

Przedewszystkiem jakże można twierdzić, że młodzieńcowi wystarczy poznanie dobra, by je spełniał?

Wiem doskonale, że przez długi czas wychwalano teorię *idei-siły*. Próbowano wykazać drogą bardzo subtelnej argumentacji, że czysta idea — byleby była choć trochę wzniosłą, czyli tak zwanym ideałem — może sama z siebie zrobić wiele, jeżeli nie wszystko, dla kształcenia charakteru.

Ze stanowiska moralnego niesposób sobie wyobrazić nic zgubniejszego nad podobną teorię. Wiem dobrze, że idea sama w sobie jest światłem, nie widzę jednak równie jasno, jakim sposobem może być ona sama w sobie siłą. Idea jest latarnią, zapaloną na wybrzeżu; lecz gdy się człowiek znajdzie na pełnym morzu, miotanem burzą, czyżby mu do wylądowania wystarczyło spojrzeć na latarnię?

Tak więc, gdy chodzi o życie moralne, chrześcijańskie zwłaszcza, zawsze jesteśmy na łasce burzy. W każdym z nas czają się prądy namiętności, które grożą nam porwaniem i strzaskaniem steru. Czyż, by od nich uciec, wystarczy nam przypomnieć sobie wzniosły ideał, do którego powinniśmy dążyć? Ach!

raczej uprzytomnienie sobie tego ideału, jeśli nie mamy w głębi nas samych środków przeciwdziałania, sił do walki z wznoszącymi się falami, obezwładni nas i wytrąci nam z rąk wiośła, zanim się nimi posłużymy.

Żeby idea sama w sobie, nawet idea dobra, stała się ideą-siłą, musiałaby już samem swem promieniowaniem udzielić energii naszej woli i opanować niesforne porywy naszych namiętności. Tak jednak nie jest. Bez wątpienia idea przyciąga nas, fascynuje; skłania do chcenia, lecz nie zmusza nas sama przez się, byśmy chcieli. Gdyby było inaczej, to jak możnaby wytłumaczyć fakt, że ideał chrześcijański miał swoich męczenników i dyletantów, iż jedni zgodzili się zań umrzeć, gdy drudzy, podziwiając go nawet i wychwalając, odmówili stosowania się doń w życiu?

Ideał, chociażby największy, niedość że sam przez się nie działa na naszą wolę, lecz jest bezsilny wobec brutalności popędów. „Porównajmy tylko „papuzią”, czysto umysłową wiarę mieszcuchów z małych miasteczek z głęboką wiarą kartuza¹⁾. Ten ostatni, dlatego że czuje prawdę religijną, może zrobić dla niej całkowitą ze siebie ofiarę, pozbawić się wszystkiego, co świat ceni, zgodzić się na ubóstwo, umartwienia, życie najtwardsze. Mieszczanin, którego wiara jest tylko umysłowa, bywa wprawdzie na mszy, ale nie żywi bynajmniej wstrętu do sobkostwa najobrzydliwszego. Jest on bogatym i bez litości wyzyskuje biedną służbę, którą karmi źle, wymagając od niej pracy wycieńczającej²⁾).

Uważałem więc za swój obowiązek zwrócić uwagę młodzieży na ten punkt naszych rozważań. Mieć ideał jest rzeczą niezbędną: nie w tem jednak leży istota zagadnienia. Pod jakim warunkiem ideał ten osiągnie skuteczny wpływ na kształcenie naszego charakteru:

¹⁾ W przekładzie polskim błędnie „dominikanina”.

²⁾ Payot: *Kształcenie woli*, str. 53.

oto sedno sprawy. A przecież — powtarzam raz jeszcze — ideał sam przez się nie ma wpływu na nasze postępowanie w życiu, jeżeli zadowalamy się jedynie patrzeniem nań.

O ile pamiętam, to św. Paweł wyrzekł straszliwe słowa: „Gdyby Bóg nie objawił swego Prawa światu, ludzieby nie grzeszyli”. Sama więc poprostu znajomość Prawa boskiego nie tylko że ich nie ożywiła, lecz nawet przyniosła im śmierć.

A my sami — odwołuję się w tej chwili do codziennego doświadczenia — czy zawsze spełniamy dobro poznane? Czyż zawsze dotrzymujemy postanowień, któreśmy uczynili, tylko i jedynie dlatego, że je uczyniliśmy?

Któż więc z nas, w tej samej chwili, gdy rozum i wiara, rozpościerając skrzydła, usiłowały unieść nas na szczyty ku Ideałowi, nie uczuł się gwałtownie zahamowanym w swym locie wzwyż, a nieraz nawet i pociągniętym do przepaści złego, grzechu, ogromnym ciężarem instynktów zwierzęcych? Nie jesteśmy tylko inteligencją, jesteśmy również materją. I dopóki nie przewyciężymy w sobie materji wytrwałą, powszednią walką; dopóki nie dojdziemy siłą energii do przepojenia tej materji ideałem, który nam wiara przedstawia i narzuca; do nagięcia jej do wymagań tego Ideału i przyzwyczajenia jej do niego — nie uczynimy nic lub prawie nic dla ukształtowania swego charakteru.

Bóg nie żąda od nas jedynie palenia kadzideł na ołtarzu Ideału. Żąda od nas, byśmy się stali jego ofiarami, wcielając go, przyswajając go sobie, poświęcając dlań w radości serca wszystko, co mogłoby przyćmić jego blask. Lecz nato nie wystarczy samo poznanie Ideału, trzeba go przedewszystkiem ukochać. Prawdziwe umiłowanie ideału, praktycznie zastosowane, nie zaś jedynie platoniczne, oto pierwsza rzecz w dziele kształcenia naszego charakteru.

IV

Idea-światło a idea-siła

Najwznioślejszy ideał nie może przyczynić się do zmiany naszego postępowania, do kształcenia naszego charakteru, jeżeli zadowalamy się patrzeniem nań tylko. Jednakże każdy, kto zabiera się do zaprowadzenia ładu w swem życiu moralnem, do ustalenia hierarchji swych namiętności i uczuć, do zapewnienia panowania woli nad zmysłami, odczuwa potrzebę ideału. Dowodzi nam tego doświadczenie. Jakże więc rozwiązać ten dylemat? Teoretycznie biorąc, rozwiązanie nie natrafia na trudności, praktycznie zaś, jak to później stwierdzimy, sprawa ma się inaczej.

W tej chwili jednak zatrzymam się nad kwestją teoretyczną. Zobaczymy, pod jakim ogólnym warunkiem można w dziele kształcenia charakteru zapewnić ideałowi panowanie.

Idealiści Co się tyczy wychowania, jak i wy-
I materialści kształcenia, to skoro zacznie się mówić o reformach, zawsze znajdują się ludzie, gotowi przejść z jednej ostateczności w drugą. Na przykład pod pozorem, że nie wystarczy poznać ideał, by zaraz poddać się jego kierowniczemu wpływowi, wielu wychowawców nie chce słyszeć o nim wcale. Rozumowanie ich przedstawiałoby się w ten mniej-więcej sposób. Do dyspozycji mamy tylko dwa środki wychowania moralnego: umysł i ciało, ćwiczenia intelektualne i fizyczne. Założywszy bezskuteczność pierwszych, musimy zwrócić się ku drugim. Stąd co-razto silniej kładzie się wagę w programach uniwersyteckich na ćwiczenia fizyczne i sporty wszelkiego rodzaju.

W takim rozumowaniu tkwi część prawdy. Uważam, że ciało powinno grać rolę, i to wielką, w reformie obyczajów. Później zobaczymy, z jakiego po-

wodu. Tymczasem jednak niech mi wolno będzie zauważyć, że gimnastyka, jakkolwiek przypuszczalnie dobrze postawiona, nie umiałaby sama przez się rozwiązać bardzo zawiłego niezawodnie problemu wychowania moralnego. „Z pomocą dobrych ćwiczeń gimnastycznych można wychowywać herkulesów, lecz nie wiadać dość jasno, by te ćwiczenia rozwijały takie przymioty, jak inicjatywa, zdrowy sąd o rzeczach, wytrwałość, opanowanie siebie, wola i t. d., które należą do wychowania”¹⁾).

Pomiędzy idealistami z jednej a materjalistami z drugiej strony, pomiędzy tymi, co uporczywie trzymają się książkowego nauczania moralności, a tymi, którzy pokładają pełną nadzieję w sportach, czyż nie ma miejsca na stanowisko pośrednie, rozwiązujące zagadnienie?

Uważam, że jest, i oto jak tego dowodzę. Aby stać się człowiekiem z charakterem, trzeba być zarazem mężem światłym i silnym, wiedzieć naprzód, dokąd mają zdążać wszystkie przejawy naszej energii, i umieć je zestrzelić w jedno ognisko. Bezsprzecznie ideał sam przez się nas oświeca. Każda bowiem idea jest światłem. Czyż jednak nie możnaby przemienić idei-swiatła w ideę-siłę?²⁾

Idea - siła Teoretycznie nic łatwiejszego; wystarczy **chcieć** tej idei, inaczej mówiąc, uміtować ją. Nasza bowiem własna siła leży ostatecznie w naszej woli. Przypuszczam więc, że oświeceni

¹⁾ Gustave Le Bon: *Psychologie de l'Éducation*, ks. II, rozdz. VI, str. 165.

²⁾ Gdzieindziej wyjaśniłem obszernie, iż każda idea i każde wrażenie skłania nas do odpowiedniego czynu, dopóki nie znajdzie przeszkoda. Nie zaprzecza to wyłożonym tutaj twierdzeniom, lecz je tylko uzupełnia. To bowiem, że idea nakłania do czynu, pochodzi z naturalnego pożądania (wolicjonalnego lub uczuciowego), które się aktualizuje wobec każdego przedstawienia psychicznego, nie zaś z samego przedstawienia. (Patrz: *Education de la conscience*, część II i III).

pewnego razu ideałem chrześcijańskim nie zadowolimy się patrzeniem nań, lecz wzniesiemy się ku niemu całym rozpędem swej woli, by go sobie przyswoić, nim żyć i przepoić nim cały nasz ustrój moralny. Czyż nie możnaby sądzić, że w tym momencie ów ideał, nie przestając być światłem, stanie się jednocześnie i siłą?

Idea-siła nie jest więc jedynie ideał, ukazaną nam, jak twierdzą niesłusznie niektórzy psychologowie, lecz ideał „chcianą”. Te właśnie idee umiłowane są zarazem źródłem natchnień i podporą wszelkiej działalności na dłuższą metę w pewnym kierunku.

Spójrzmy na słońce. Gra ono w naturze rolę, która w przybliżeniu przypada pojętej w ten sposób roli idei-siły w kształceniu charakteru. Światło słoneczne oświeca całą przyrodę, a równocześnie ciepło słońca utrzymuje jej życie. Bez światła słonecznego natura stałaby się straszliwie smutną i okrytą ciemnościami.

Przypuśćmy jednak, że natura oświetlona słońcem, odziana niejako w jego promienie, nie odczuwa słonecznego ciepła. Wtedy niezadługo nadejdzie śmierć i zima wieczysta. Wszystkie bowiem energie, które schroniły się do łona ziemi i czekają tylko chwili sposobnej, by wybuchnąć, wyczerpią się tam wkrótce, a wreszcie zgasną.

Podobny stosunek zachodzi między ideałem chrześcijańskim a naszą moralną istotą.

Jeżeli ideał ten zadowoli się jedynie rzuceniem odbłyśku swego chłodnego światła w najskrytsze zakątki naszej duszy, to oczywiście poznamy jej stan, lecz pozostaniemy bezsilni, nie potrafimy bowiem jej uleczyć. A przecież nie istniejemy na świecie jedynie po to, by poznać samych siebie w świetle chrześcijańskiego ideału, lecz by ten ideał wcielić w życie i rozpałić jego żarem każdy swój czyn. Ponieważ zaś jedynym sposobem na to, by zmienić jego światło na ciepło, jest chcieć tego ideału i umiłować go — przeto go chciejmy, ukochajmy, zwiążmy całą siłą swych uczuć, by się nam nie wymknął.

Doświadczenie chrześcijańskie

Wszystko to, przyznaję, jest bardzo łatwe w teorii. Lecz jak się wziąć praktycznie do tego, by ideał chrześcijański zstąpił z pogodnych wyżyn umysłu w gorące dziedziny serca?

Nie chodzi nam tutaj o wytwarzanie złudzeń, ani o przekonywanie, że sprawa ta należy do najłatwiejszych, gdyż wcale tak nie jest.

Przypomnijmy sobie raczej, co wydarzyło się nazajutrz po stworzeniu świata. Upadek pierwszych rodziców jest faktem, który zaciążył na całej historii ludzkości, a jego oddźwięk w każdym sumieniu jest zbyt bolesny, byśmy mogli wyrzec się zanalizowania go i poszukiwania w nim praktycznej nauki¹⁾.

Wiara poucza nas, że Adam i Ewa zostali przy stworzeniu obdarzeni taką równowagą moralną, iż wola ich pod wpływem promieniowań inteligencji nie miała trudu z opanowaniem ciała.

Naonczas prawo dziedziczności nie ciążyło nad nimi, wyszli bowiem czyści z rąk Boga i ochronieni od owych niezdrowych podniet, które nas napastują ze wsząd. Ze spojrzeniem, utkwionem w boski ideał, i z duszą, pełną tchnienia Stwórcy, zda się, że powinni byli rozpostrzec skrzydła, by unieść się ponad padołem nędzy, w którym się dziś szamoczemy, i chłonać ożywcze tchnienie boskiej atmosfery. Conajmniej wydaje się nam, że na ich miejscu takbyśmy postąpili!

Ach, jakże niedokładnie znamy skomplikowany ustrój swej natury! Historia grzechu pierwotnego

¹⁾ Doświadczenie chrześcijańskie, ugruntowane na fakcie upadku pierwszych rodziców, potwierdza jedynie doświadczenie przyrodzone. Dlatego w niniejszych rozważaniach kładę na to nacisk. Z natury swej organizm moralny, gdzie duch powinien panować nad ciałem, wymaga ciągłej interwencji woli w dziedzinie zdolności przyjmowania wrażeń. Dziedzina ta bowiem nie potrafiłaby się uduchowić samodzielnie, w świetle tylko ideału; stąd wynika konieczność interwencji wolicjonalnej zarówno u człowieka wogóle, jak i u chrześcijanina.

okazuje nam w sposób oczywisty, iż ludzie, najbardziej nawet przywiązani do ideału, ci, którzy nim żyli najściślej, nie są ostatecznie zabezpieczeni od upadków. A cóż dopiero mówić o innych, słabych, leniwych, ludziach małego serca?

Pamiętajmy zawsze, że obok wiedzy o dobrem istnieje wiedza o złem; że obok nieba istnieje ziemia. Jeżeli w głębi duszy wzdychamy do życia na szczytach, to jednocześnie ciężarem naszego ciała ściągani jesteśmy do ziemskich padołów. Przed spojrzeniem naszym ze zbyt wysoka ziemia tai swoje nierówności; przysyła nam jeszcze subtelny zapach swych kwiatów, lecz ukrywa ich kolce. Zmysły nasze upajają się kwiatnym zapachem, ich oszołomienie nas niepokoi, wahamy się czas jakiś i ostatecznie tracimy równowagę. Wówczas to, zwijając skrzydła, prujemy powietrze i spadamy w jakąś ciemną krainę, skuszeni jej fałszywymi ponętami. Takby się przedstawiała w skróceniu historia pierwszego upadku.

Pamiętajmy również, że wszyscy dziedziczymy zgubne skutki grzechu pierworodnego. Dlatego to wola, będąca punktem oporu naszego duchowego ustroju, nie ma już tej samej przyrodzonej mocy. Jej sprężyna nie pękła, lecz się rozciągnęła. Tak więc praca, zasadzająca się na przywróceniu jej pierwotnej prężności i hartowności stalowej, by w ten sposób przywrócić nam straconą równowagę i zapewnić ideałowi panowanie nad złemi instynktami — praca ta, powtarzam — jest pracą na miarę olbrzyma.

Oczywiście istnieje łaska. Nie może się ona jednak obyć bez naszego udziału. Mamy działać pod jej wpływem, jakgdyby nie była nam dana. To jeszcze jest, mojem zdaniem, najlepszy sposób wyciągnięcia z niej korzyści.

Jakże zaś mamy działać? Ideał sam przez się jest — powtarzam — bezsilny. Zapewne wola nasza otrzymuje odeń światło, lecz nie otrzymuje ciepła. Rzeczą więc woli jest przelać na ideał własne ciepło, do

niego się przywiązać i uchwycić się go ze wszystkich sił. A przecież z jednej strony wola nasza jest osłabiona i wycieńczona, z drugiej zaś strony nasze potężne uczucia, korzystając z tego, dążą do bezładnego uzewnętrznienia z uszczerbkiem dla całego ideału, który narzuca się naszej nadprzyrodzonej działalności.

Któż uleczy tę wewnętrzną anarchję? Kto przywróci równowagę? I oto doszliśmy do najdelikatniejszego punktu analizy. Nie dając od razu ostatecznego rozwiązania, pozwolę sobie ukazać je zdaleka.

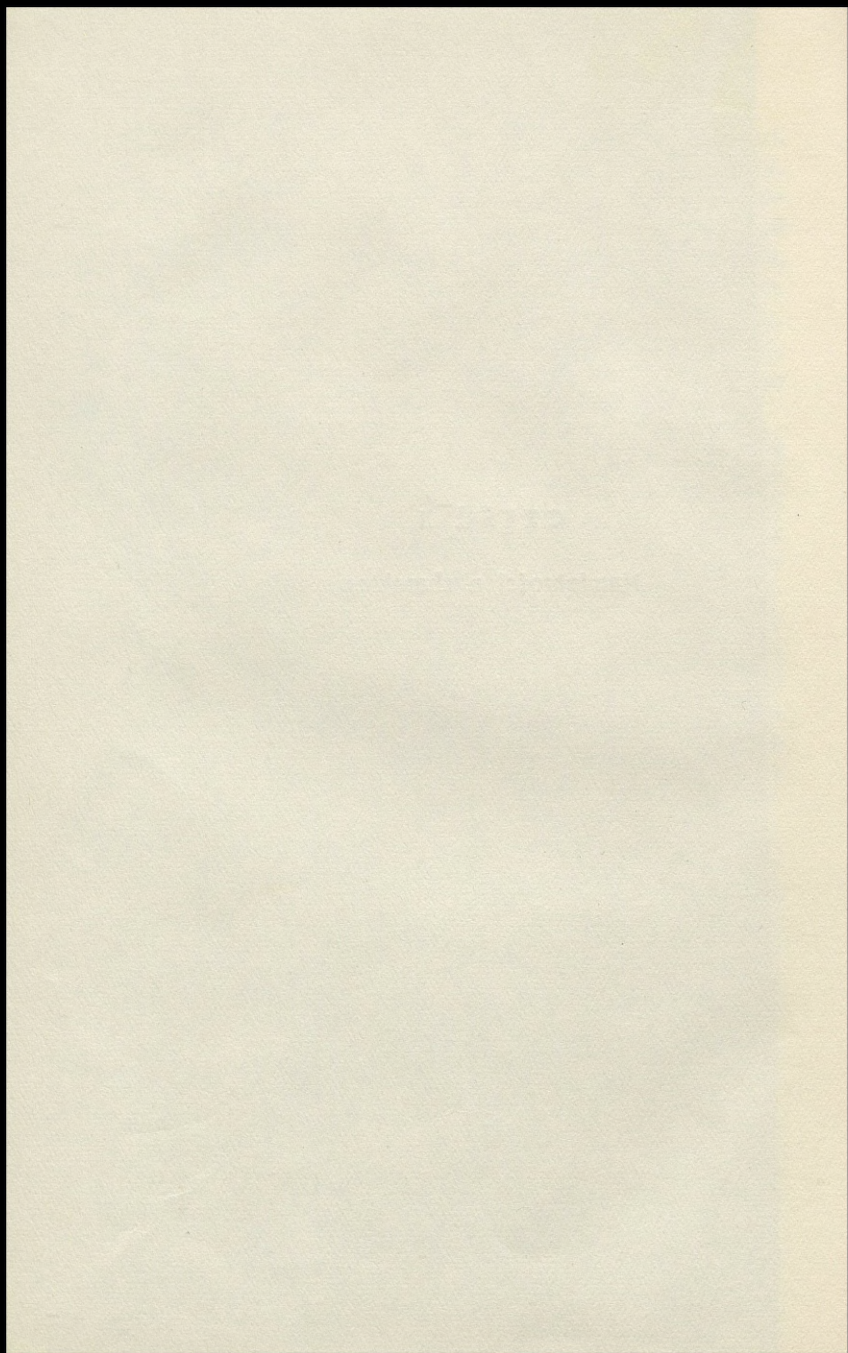
Lekarstwo znajduje się bliżej, niż sądzimy. Widzę je w samym łonie zła. Istotnie, zauważmy, że nasza wola jest potęgą uczuciową. Pragnie słuchać, lecz nie lubi, gdy jej rozkazujemy sucho i chłodno. Wręcz przeciwnie, potrzeba jej rozkazów, wywołanych wzruszeniem, zabarwionych namiętnością. Gdzie je znajdzie? Właśnie w namiętnościach. Postawiona pomiędzy ideałem, który oblewa ją swoim światłem, a namiętnościami, do których zwróci się, by zaczerpnąć część swego rozpędu, za taktykę obierze sobie stąpanie elementów tak bardzo niezgodnych, skojarzenie jednych z drugimi, przekształcenia idei-swiatła na ideę-siłę pod wpływem rozkazu, wywołanego wzruszeniem, rozkazu uczuciowego i namiętnego.

„Silna wrażliwość — pisał Stuart Mill — jest narzędziem i warunkiem, który pozwala panować nad sobą; lecz wpierv musi być wyrobiona... Wrażliwość ta po koniecznem jej wyrobieniu tworzy nietylko bohaterów z pierwszego odruchu, lecz bohaterów opanowanej woli. Historia i doświadczenie dowodzi, że najnamiętniejsze charaktery okazują najwięcej stałości i nieugiętości w poczuciu obowiązku, gdy ich namiętność zwróci się w odpowiednim kierunku”¹⁾.

¹⁾ Jan Stuart Mill: *O poddaństwie kobiet*. — Ribot: *Maladies de la volonté*. Paris, Alcan, 1897, str. 117 i następne.

CZĘŚĆ II

Namiętności a charakter



Rozdział I

NAMIĘTNOŚCI A IDEAŁ CHRZEŚCJAŃSKI

Może nie będzie rzeczą zbyteczną na wstępie tej drugiej i z pewnością najważniejszej części przypomnieć, na czym polega trudny problem kształtowania charakteru.

Z jednej strony jesteśmy w posiadaniu ideału, do którego powinniśmy dążyć. Lecz ten ideał, podobnie jak silny reflektor, ogranicza się do rzucenia na nas smugi swego światła i do ukazania nam drogi. Z drugiej jednak strony — ciemną i niespokojną dziedziną naszej wrażliwości wstrząsają siły gwałtowne, działające na ślepo, które pozostawione samopas, popychają nas w najróżniejszych naraz kierunkach.

Gdyby ideał sam przez się zdołał opanować te siły i poddał je swemu kierowniczemu wpływowi, problem kształtowania charakteru rozwiązałby się szybko. Niestety, okazuje się, że sama idea, chociażby nawet była to idea chrześcijańska, jest bezskuteczna wobec brutalności naszych popędów.

Wówczas to wkracza wola. Nie ulega wątpliwości, że to ona właśnie umożliwi nam wcielenie w życie idei chrześcijańskiej.

Ale jak tego dokona? Istotnie, od chwili naszego urodzenia wola oderwana jest od ideału przez skutki grzechu pierworodnego, które wszyscy dziedziczymy; stąd nie czuje już ona do ideału tego samego pościgu, tej samej miłości. Aby się doń przywiązać, aby go ukochać i chcieć, wola potrzebuje boskiej pomocy łaski. Lecz nawet i łaska nie uwalnia nas od osobistego wysiłku.

Uzdrowieni przez chrzest, zostajemy jeszcze conajmniej rekonwalescentami, którzy mogą odzyskać całą energję jedynie w otwartem polu działania. Jakież więc działanie zdoła wyrwać wolę z apatii, przywrócić większą siłę jej uczuciom, większe napięcie pobudzającej ją miłości boskiego ideału?

Może samo oddziaływanie tego ideału? Widzieliśmy jednak, że ideał jest bezsilny, zarówno gdy chodzi o wywieranie wpływu na naszą wolę, jak i o uspokojenie porywów naszych namiętności.

Zdawałoby się, że znajdujemy się w zaczarowanym kole. Czyżby kształtowanie charakteru było jedynie złudą? O nie, lekarstwo leży w samym łonie zła.

Wola nasza — podkreślam to raz jeszcze — jest potęgą uczuciową. Jej podstawą jest miłość, która też szuka miłości. Zamiast nakazów jasnych jak światło, lecz chłodnych, dajmy jej nakazy gorące, powstałe pod wpływem wzruszenia, zabarwione namiętnością, a zobaczymy, jak natychmiast ich posłucha, włoży całe swe „serce” w ich wypełnienie i przepoi niemi wszystkie nasze czyny.

Nie jestże rzeczą możliwą skojarzenie z ideałem chrześcijańskim silnych namiętności, rycerskich porywów, zdolnych podniecić w ten sposób wolę i zmusić ją do skutecznego działania? Środek ten istnieje i wola sama nawet ma moc urzeczywistnienia go. W istocie jest to jedynie kwestja taktyki, którą już Arystoteles nazywał sztuką „filozofowania” z namiętnościami.

Przed szczegółowym jednak określeniem, na czym ta sztuka polega, muszę poświęcić słów parę naturze namiętności.

I

Namiętności

Praktycznie biorąc, namiętności oznaczają przyjemne lub nieprzyjemne wzruszenia, których wskutek wrażliwości duszy naszej doznajemy nieustannie. Mó-

więc o ogniu namiętności, rozumiemy przezeń spontaniczny, gwałtowny charakter tych wzruszeń. Wystarczy nieraz drobnostka, by ogień ten zapłonął: spotkanie, wspomnienie, obraz; tak jak wystarczy jedna iskra, by wysadzić w powietrze prochownię.

Moralisci przypisują pojęciu: „„namiętność”” znaczenie najczęściej ujemne, znaczenie nieporządku, nadużycia. I rzeczywiście istnieją namiętności, które mogą się stać nieporządnymi i nadmiernymi, gdy się ich nadużywa. Nie jest to jednak powód do rzucania klątwy na cały ich zespół. Przy takim rozumowaniu nie byłoby nic dobrego na świecie, ponieważ nadużywać można rzeczy najlepszych.

Namiętnościami więc nazwaliśmy przyjemne lub nieprzyjemne wzruszenia w dziedzinie naszej wrażliwości. Oto, w jakich ogólnych formach wzruszenia te się okazują; podkreślam to jedynie dla przypomnienia.

Miłość własna leży u podstaw wszystkich namiętności. A ponieważ jest ona jak źródło, bijące ciągłymi wytryskami, przeto niema żadnej namiętności, któraby nie czerpała z miłości własnej.

„Nienawiść dla danego przedmiotu — jak zauważył Bossuet — pochodzi jedynie z miłości, którą odczuwamy dla wręcz przeciwnego mu przedmiotu. Czuję odrazę dla kogoś jedynie dlatego, że on mi przeszkadza posiąść przedmiot mej miłości.

Pożądanie jest tylko miłością, dążącą do dobra, którego pożądający nie posiada. *Radość* zaś jest miłością, przywiązaną do posiadanego już dobra.

Odraza i *smutek* — to miłość, z żalem oddalająca się od złego, przez które utraciła swe dobro.

Zuchwałość jest miłością, która podejmuje najcięższe wysiłki, by zapobiec utracie umiłowanego przedmiotu.

Bojaźń jest miłością, doprowadzoną do rozpacznej utratą na zawsze dobra, wynikiem zaś tej utraty jest przygnębienie, z którego trudno się otrząsnąć.

Złość wreszcie jest miłością podrażnioną spowodu chęci odebrania jej dobra, mści się więc na winnym. Słowem — usunąć miłość, a znikną namiętności; gdy zaś zostawicie miłość, znajdą się one wszystkie¹⁾).

Miłość, pragnienie, radość, nienawiść, odraza, smutek, zuchwałość, strach, nadzieja, rozpacz, złość — oto jakby gama namiętności. Ale jak wszystkie tony gamy muzycznej służą do tworzenia ładnej lub fałszywej melodji, tak również z tonów poszczególnych namiętności stworzyć można dobre lub złe dzieło.

Wszystko zależy od moralnej wartości przedmiotu, ku któremu one nas pociągają. Istotnie bowiem same przez się namiętności nie są ani dobre, ani złe, ponieważ dobro lub zło moralne zaczyna się wraz z interwencją rozumnej woli.

To samo dzieje się z namiętnościami — mówi św. Grzegorz — co z żelazem, które rozgrzane w ogniu przybiera formę, nadaną mu przez kowala, i stosownie do użytku staje się szlachetnym mieczem lub prostym narzędziem. Namiętności, poddane woli człowieka, stają się, według jego upodobania, narzędziami cnoty lub występku, zależnie od tego, czy on podda się władzy rozumu, czy też ulegnie ich panowaniu bezrozmumnemu.

Jeżeli zaletą jest mieć doskonałe zdrowie, dobry wzrok, solidne mięśnie i zrównoważony umysł, to nie mniejszą zaletą jest mieć gorące serce, usposobienie pełne zapału; duszę namiętną wreszcie, ale oczywiście z warunkiem, by namiętności, niezależnie od swojej siły, ograniczały się do służenia, nie zaś sięgały po władzę.

Młodzi ludzie zwłaszcza czują w sobie burzące się namiętności. Tem lepiej, jeżeli zdecydowani są ich użyć, jak należy. Bo te wzruszenia uczuciowe, będące

¹⁾ Bossuet: *Connaissance de Dieu et de soi-même*, rozdz. I. nr. 6.

szczególnym udziałem młodzieży męskiej, mogą się stać żywymi sprężynami naszego postępowania. Zręcznie kierowane i utrzymywane dostarczają one człowiekowi z charakterem rozpędu do zwalczania przeciwności. To nastawienie uczuciowe, ten zapał, który namiętność wkłada w umiłowanie danego dobra, jest potężnym motorem woli i cenną pomocą w praktykowaniu cnót.

II

Uczucia a namiętności

Nato potrzeba jednak spełnienia pewnego warunku, który panuje nad całym zagadnieniem kształtowania charakteru: warunek ten polega na możliwości uzgodnienia namiętności z uczuciami, właściwymi woli.

Istotnie w woli znajdujemy gamę uczuć, odpowiadających gamie namiętności. Wola kocha, pragnie, używa rozkoszy, nienawidzi, odwraca się ze wstrętem, cierpi; ma nadzieję i rozpacza, bywa lękliwa lub zuchwała, spokojna lub zagniewana.

Gdy jednak namiętność — śpiewu czy żalu, śmiechu czy płaczu — czerpie natchnienie naoślep z dóbr wszelkiego rodzaju, które zmysły i wyobrażenia przedstawiają w najjaskrawszych barwach, to przeciwnie, uczucia czyli wzruszenia woli znajdują swój przedmiot działania tylko w świetle inteligencji.

Niewątpliwie wola, odwracając się od chrześcijańskiego ideału, który narzuca się jej działalności, może również czerpać z dóbr dostrzegalnych, czyli ściślej mówiąc, możemy za pośrednictwem woli nasycić swoje ciało rozkoszami ze szkodą dla duszy; będziemy jednak zawsze działać ze świadomością przyczyny, będziemy działali swobodnie, jeżeli już nie rozumnie. Stąd wynika, iż namiętności, przyswojone przez wolę, ze szkodą lub pożytkiem dla spełnienia ideału chrześcijańskiego, otrzymują od niej piętno moralne; stają się dobre-

mi lub złemi w zetknięciu się z nią i przez nader zrozumiałą wzajemność przelewają na uczucia woli — w formie intensywniejszej — dobro lub zło, które od niej otrzymały.

Całe zagadnienie zasadza się więc na poznaniu, w jakiej mierze słabe chrześcijańskie uczucia naszej spaczony woli, pozbawione miłości, mogą zaczerpnąć z silnych, lecz ślepych namiętności trochę życiodajnego tchu, którego im brakuje i który umożliwi następnie odrodzonej woli, przywiązanej silnie do chrześcijańskiego ideału, władowanie wszystkimi zasobami naszej energii.

Budowę duszy naszej przyrównaćby można do organów o dwu klawiaturach: jedną z nich tworzą namiętności zmysłowe, a drugą uczucia wolicjonalne. Jeżeli potrafimy, że się tak technicznie wyrażę, „zestroić” obie klawiatury w ten sposób, by ton wrażliwości uczuciowej brzmiał równocześnie z odpowiadającym mu tonem woli lub odwrotnie, kształcenie charakteru jest możliwe. Charakter bowiem, jak już zaznaczyłem, jest harmonją duszy, a ta harmonja zasadza się właśnie na uzgodnieniu woli i wrażliwości uczuciowej.

Gdy więc dzięki umiejętnemu postępowaniu i wytrwałości zdołamy wkońcu gruntownie poznać ten jakoby instrument naszej duszy i uzgodnić wiele silnych namiętności z chrześcijańskimi uczuciami, oraz zapewnić z pomocą twardych nawyków ich aktualizowanie się prawie automatyczne, to wówczas trudności nie będą nas przerażały.

Nasze palce przebiegać będą po podwójnej klawiaturze jakby samorzutnie z oszałamiającą zwinnością; pomnożą się akordy corazto bogatsze i piękniej brzmiące. Całe nasze życie będzie już tylko składać się z następujących po sobie harmonijnych czynów, łączących się wzajem z niewymowną łatwością, by stworzyć przez sam swój nieprzerwany bieg wielki poemat charakteru.

III

Namiętności a ideał chrześcijański

Jak więc powiedzieliśmy, namiętności są poruszeniami, gwałtownymi odruchami naszej wrażliwości, które pod postacią miłości czy nienawiści, pożądania lub odrazy, bojaźni czy zuchwalstwa, radości lub smutku unoszą nas spontanicznie ku dobrom zmysłowym, lub od nich nas oddalają.

Zanim rozpatrzymy, czy wola nasza jest w stanie, praktycznie biorąc, skojarzyć te namiętne wzruszenia z chrześcijańskim ideałem, by ożywić, wzmocnić w sobie miłość dla niego i ustanowić swe absolutne panowanie, musimy rozwiązać zagadnienie wstępne. Brzmi ono tak: czy właściwym zadaniem ideału chrześcijańskiego nie będzie, zamiast współdziałać z namiętnościami, wręcz przeciwnie zniszczyć te namiętności i założyć panowanie na ich zgłiszczach?

Gdyż koniec końców ideał chrześcijański zasadza się na życiu boskim, życiu istotnie nadprzyrodzonym, więc oczywiście coraz bardziej odrywającym się od materji. A przecież przedmiot namiętności jest całkowicie materialny, zwraca się jedynie ku naszym zmysłom, wzrusza je, a im bardziej spontaniczne, im gwałtowniejsze jest wzruszenie zmysłowe, które w nas wzbudza, tem więcej jakby oddalamy się od owych boskich wyżyn, gdzie jaśniej chrześcijański ideał.

Na to pytanie różne w ciągu wieków dawano odpowiedzi. Niech mi wolno będzie przypomnieć w paru słowach najważniejsze z nich, by bardziej uwypuklić tę, która — mojem zdaniem — najlepiej się zgadza z nauką katolicką.

Ideał stoicki W starożytności stoicy, z przyczyn, w które w tej chwili wdawać się nie będę, twierdzili, że namiętności są radykalnie złe i że w istocie swej ideał człowieka — a *fortiori* ideał chrze-

ścijanina — leży, że się tak wyrażę, w zatamowaniu źródła namiętności.

Według Zenona z Citium i jego uczniów mędrzec niewątpliwie powinien dojść do panowania nad sobą. Cel ten winien jednak osiągnąć nie na podobieństwo władcy, miłośnika pokoju, który poskramia niekarnych poddanych, a przez to zapewnia sobie ich uległość, lecz na wzór tyrana, który poddanych wyniszcza zupełnie i morduje bezlitośnie.

Prawdziwy stoik ucieka od wzruszeń zmysłowych, zarówno rozkosznych, jak bolesnych; uodpornia się przeciw ich wpływom; nie poprawia namiętności, lecz je niszczy; marzeniem zaś jego jest dojść do niewzruszoności.

„Wobec lekkomyślności swego ludu, zepsucia i zdrady wodzów, ucieczki żołnierzy, zbrodni własnej żony, śmierci swych dzieci, wobec niegodziwości swego syna Kommodusa, spodlenia charakterów, splamienia godności małżeńskiej, wobec niesforności władz, zaniku odwagi, beztroski o dobro publiczne, wobec panowania przesądów, słowem, wobec klęski i pohańbienia swej armji, rodziny własnej i całego cesarstwa, Marek Aureljusz nie pozwala sobie na jakiegokolwiek oburzenie, złość, czy smutek; chwali się nawet, że podobny do niewzruszonej przybrzeżnej skały, o którą napróżno uderzają burze, żyje pozbawiony boleści, nieczuły na uderzenie, które go dosięga, niedostępny twodze przed ciosem, który go jutro ugodzi¹⁾).

To radykalne i nieludzkie rozwiązanie zagadnienia namiętności sprowadzić musiało inną odpowiedź, nie mniej skrajną, choć biegunowo różną od poprzedniej. Nie będę się zatrzymywał nad historją stoicyzmu, gdyż znaleźć ją można we wszystkich podręcznikach etyki.

¹⁾ Janvier: *Les Passions*. Wyd. III. Paris, Lethielleux, 1905, str. 3.

Ideał epikurejski Epikura uważa się za twórcę tego systemu, a Roussa za opiekuna. Oto, do jakich poglądów epikureizm się sprowadza. Natura nasza jest zgruntu doskonała, wszystkim więc dążnościom, które z niej czerpią, jak z czystego źródła, ta doskonałość się udziela. Złem i przeciwnem naturze jest wszystko, co dąży do narzucenia jakichkolwiek granic ekspansji tych dążności.

Jak było do przewidzenia, teoria tak pochlebna dla naszych żądz wszelkiego rodzaju doznała entuzjastycznego przyjęcia ze strony warstw szerokich.

„Poganie bowiem uczynili z namiętności bóstwa, które miały własne świątynie i uroczystości i których rolą było nie tylko ukazywać je ludziom i gorszyć ich swym nierządnym życiem, lecz rozszerzać pomiędzy ludźmi ideę nadużyć w nich uosobioną. Jakgdyby zboczona natura ludzka nie była zdolna sama z siebie w zepsuciu zejść dość daleko, saturnalje, bachanalje, święta wielkiej bogini otwierały duszom widnokrąg nieprzebranego zepsucia. Nieśmiertelni schodzili z niebios, by podniecić świadomość, czującą wstręt do zepsucia, zmuszając dla uczczenia siebie do orgij, których nazywali się prawdziwymi twórcami¹⁾).

Jeżeli zaś podstawimy na miejsce słowa „bóstwo” słowo „nauka”, to bez trudu poznamy w poglądach powyżej wyłuszczonych pewną teorię współczesną, wynoszącą pod niebiosą namiętności. To, co poganie głosili niegdyś w imię swych bogów, pseudouczeni rozpowszechniają dzisiaj w imię nauki.

Wobec tych dwu tez sprzecznych ze sobą, z których jedna wynosi niezmiernie wysoko namiętności, druga zaś je potępia bez miary, jakie jest stanowisko godne katolika?

¹⁾ Janvier: *Les Passions*, str. 5.

Ideał chrześcijański Nie łudźmy się i przyznajmy, iż Zenon, a zwłaszcza Epikur, mieszczała często wśród nas, zarówno mędrków jak i przeciętnych chrześcijan, zwolenników, którzy sobie z tego czasem nie zdawali sprawy.

Illeżto razy słyszeliśmy w środowiskach, które obwieszczają swój katolicyzm, owe rażące sofizmaty, jak: „Młodość musi się wyszumieć”, nadużywane w tym celu, by ukryć najsmutniejsze wysoki namiętności. Czy nie jest to najczystszej wody epikureizm?

„Młodość musi się wyszumieć!” Praktycznie znaczy to, że młodzień, jedynie powodu swojej młodości, nie zaś dlatego, że jest człowiekiem, powinien płynąć z prądem namiętności, nie starając mu się przeciwstawić lub zwrócić go ku najwyższemu ideałowi.

Niechże więc namiętności wybuchają gwałtownie, zwłaszcza w okresie młodości, nie w tem bowiem leży zagadnienie; chodzi o to, by poznać, czy sam fakt, że ktoś jest młody, pozwala mu na nieumiarkowane i rozmyślne oddanie się namiętnościom. A przecież trudno o coś sprzecznieszego z zasadami rozumu i wiary.

Z kogóż bowiem doczekamy się kiedyś ludzi starszych, jeżeli nie z młodzieży?

Ponieważ zaś ideałem człowieka jest opanowanie namiętności, łatwo pojmiemy, iż z dnia na dzień, skoro młodzieniec dojdzie do przekonania, że jego młodość już przeszła, nie potrafi on przez proste fiat swej niewyrobionej woli zbudować niewzruszonej tamy przeciwko burzliwym falom, które dobrowolnie był rozpętał.

Takie oto są zgubne skutki moralności całkowicie książkowej, która swawolnie poświęca rzeczywistość dla abstrakcyj!

Nie, po stokroć nie! nie wolno młodzieży wyszumieć się tak, jak to świat rozumie. Raz jeszcze podkreślam, iż kształcenie charakteru nie jest dziełem jednego dnia. Gdy będziemy niewolnikami namięt-

ności przez dwadzieścia lub więcej lat, nagłe wyzwolenie się spod ich jarzma, zapanowanie nad nimi nie będzie już od nas zależało.

Czyż to, co powiedziałem, znaczy tyle, że w imię ideału chrześcijańskiego powinniśmy dążyć do pozornej niewzruszoności, tłumiąc namiętności swe w zarodku, by zapewnić panowanie nad sobą?

W postawie stoika, taksamo jak i epikurejczyka, niema nic ludzkiego, jest ona bowiem przeciwna naturze. „Kto sili się być aniołem, nieraz staje się bydlęciem” — powiedział Pascal, a doświadczenie dowodnie to okazuje. Cała bowiem siła i urok ideału chrześcijańskiego tkwi w tem, iż jest on ideałem wybitnie ludzkim. Łaska jest nam dana tylko dla udoskonalenia natury. *Wszystko, co się sprzeciwia naturze, jest zarazem antychrześcijańskie.*

Nie trzeba innego na to dowodu, jak przykład Jezusa Chrystusa, który jest wzorem dla nas wszystkich. Istotnie, wystarczy otworzyć Ewangelię, by stwierdzić, że Syn Człowieczy nie był pozbawiony silnych wzruszeń. Przekupnie w świątyni, faryzeusze, wyzyskiwacze ludu przywiedli Go do gniewu; płakał nad losem niewiernego Jeruzalem, szlochał na grobie przyjaciela swego Łazarza; podczas agonji miotany był straszliwymi dreszczami trwogi; dla uczniów swoich w czasie Ostatniej Wieczerzy znalazł wyrazy namiętnej czułości; wielkiem pożądaniem pragnął pożywać z nimi Paschę; kochał cierpienie, do szaleństwa miłował krzyż.

Czyż to wszystko nie dowodzi oczywiście, że niekażda namiętność jest godna nagany, że wcielony w Chrystusa ideał ludzki nie odnosi się jedynie do woli umysłowej, lecz do mózgu, nerwów, muskułów, do serca, słowem do wszystkich sił, któremi nas obdarzono, do ciała i krwi naszej?

Nie znaczy to jednak, że wszystkie namiętności są dobre, jakkolwiek obratyby kierunek, w jakąkolwiek wpadłyby przesadę.

Dobremi są namiętności, mogące nam pomóc w zdobyciu wstępnym bojem ideału, który wiara przedstawia naszej działalności; złemi zaś są te, które nas od tego ideału odciągają i obezwładniają naszą wolę.

Tak przedstawiałaby się nauka katolicka o namiętnościach. Nie jest ona ani za surowa, ani za swobodna, lecz zakrojona na miarę prawdy. A prawdą jest przecież, iż silne namiętności, jakie widzimy u młodzieży, o ile są dobrze skierowane i dobrze skojarzone z chrześcijańskim ideałem przez wolę, ułatwiają nam wzniesienie się ku temu ideałowi i rozpalają w naszym spojrzeniu jakiś płomień, otaczają czoło aureolą, która pociąga ludzi i potrafi dodać sił najpodlejszym, najbardziej nieczułym spośród nich.

Nie bójmy się więc namiętności. Powinny nam one służyć za odskocznię w biegu z przeszkodami o zdobywie charakteru. Oczywiście nie obejdzie się tu bez pewnych warunków, które będziemy musieli rozpałtrzyć; będziemy musieli też zachować pewną taktykę. Do podjęcia jednak tego sposobu działania wiele znaczyć będzie uświadomienie sobie, iż życie chrześcijańskie nie rozwija się na ludzkim trupie; nato, by mieć prawo nazywać się chrześcijaninem, nie należy zabić w sobie człowieka, lecz go wzbudzić.

Rozdział II

TAKTYKA WOLI W STOSUNKU DO NAMIĘTNOŚCI W KSZTAŁTOWANIU CHARAKTERU

Ideałem chrześcijanina nie jest więc zgaszenie w duszy ognia namiętności, lecz umiejętne posługiwanie się niemi. Psychologowie przyznają jednoznacznie, że właściwością dobrze skierowanej namiętności jest pobudzanie inteligencji i wielokrotne wzmożenie rozpędu naszej woli. „Żadna rzecz wielka nie dzieje się bez udziału namiętności” — powiedział niegdyś Pascal. Stanowi ona źródło szlachetnych czynów, pięknych odkryć i bohaterskich poświęceń.

Przeciwnie, źle skierowana namiętność zaciemnia inteligencję. Pobudzając zbyt wyobraźnię ze szkodą dla zdrowego sądu, udaremnia refleksję i wypacza sąd o rzeczach. Wkońcu zaś opanowuje wolę, która traci należne jej stanowisko siły kierowniczej, stając się siłą ujarzmioną. Czyż muszę dodawać, że skutki panującej wszechwładnie namiętności mogą być niekiedy dla systemu nerwowego, który ona nadmiernie podnieca, wręcz fatalne, doprowadzając nas do szaleństwa lub śmierci.

Zauważyliśmy poprzednio, że wartość moralna namiętności zależy całkowicie od kierunku, jaki im nadajemy. W duszy chrześcijańskiej np. jest miejsce na czystą miłość i słuszną nienawiść, na gwałtowne pragnienia i święty gniew, na dozwolone radości i smutki, na wzniosłą zuchwałość i zbawienną bojaźń.

Chodzi jedynie o dokładne poznanie, w jakiej mierze zdołamy skojarzyć z chrześcijańskim ideałem róż-

ne namiętności, by spotęgowana niemi wola ideał ów mogła osiągnąć.

Nie zaprzeczam, że taka idea jak idea chrześcijańska, skoro zrodzi się w duszy, pałającej chęcią przyjęcia jej, przyciąga ku sobie za sprawą dwoistego tajemniczego zjawiska przesiąkania (endosmozy)¹⁾, które zbadamy później, namiętności, mogące zapłodnić tę ideę. Jest to fakt stwierdzony doświadczeniem. Z jednej strony idea do pewnego stopnia żywi się namiętnościami, z nich czerpie siły, a z drugiej strony jasność idei przelewa się do namiętności, dając im już nie siłę, lecz kierunek.

Zauważyliśmy jednak, iż ta moc przyciągająca nie jest właściwa idei czystej, lecz jedynie idei *chcianej*. Namiętności samorzutnie nie skojarzą się z tą ideą, gdyż ich główny przedmiot jest inny, zalicza się on bowiem do porządku zmysłowego.

Ostatecznie więc tylko woli przypada rola dokonania tego skojarzenia. Na mocy swej początkowej miłości boskiego dobra i w celu jej pomnożenia, wola zasilać się będzie u żywego źródła namiętności, gdyż tam właśnie znajdzie zapas energii, pragnący się wyładować. Wola, nieczuła na zimne, szare rozkazy ideału, pracować będzie nad przelaniem w niego iskierki namiętności, która zapali jej własne uczucia ku temuż ideałowi. Inaczej mówiąc — że użyję znów podanego przed chwilą porównania — wola musi postarać się usilnie o zestrojenie klawjatury namiętności z klawjaturą uczuć wolicjonalnych w ten sposób, by spontaniczna pieśń na chwałę chrześcijańskiego ideału, drgająca zmysłowymi wzruszeniami, wzbudziła w niej samej potrzebę przyłączenia się do jednogłosnego chóru i uczynienia z wszelkich swych aktów tyłuż har-

¹⁾ Prąd, który się wytwarza z wewnątrz na zewnątrz pomiędzy dwiema cieczami różnej gęstości, przegrodzonymi bardzo cienką błoną. (Przyp. tłum.)

monijnych akordów, których nieprzerwany łańcuch rozwinię się we wspaniały utwór charakteru.

I

Wola a fizjologiczne skutki namiętności

Czy jednak istotnie wola posiada nad namiętnościami ową władzę kierowniczą, którą dopiero co wskazaliśmy? W tym leży sedno zagadnienia. Musimy więc na to pytanie odpowiedzieć zaraz.

Przyznajmy, że na pierwszy rzut oka spontaniczność i gwałtowność poruszeń namiętności wskazują jakoby na to, iż wola nasza nie ma żadnego sposobu ich poskromienia. Natychmiastowe opanowanie siebie wydaje się istotnie bardzo trudne człowiekowi, który wpadł w złość. Podobnie, gdy zmysłowość wybucha jak piorun, trudno nieraz o większe zuchwalstwo, jak chęć otwartego przeciwstawienia się jej. Historia nie mówi nam bowiem, że nasi przodkowie, wyrzucając naiwnie strzały podczas burzy, jakoby dla wyśmiania jej, powstrzymali jej rozpętanie i uchronili się od pioruna.

Z namiętnościami, zwłaszcza w chwili gwałtownego ich wybuchu, ma się sprawa jak z rzeką, „którą łatwiej odwrócić, niż zatrzymać w prostym biegu”¹⁾).

To, co powiedzieliśmy, równałoby się stwierdzeniu, iż bezpośredni wpływ woli na wzruszenia naszej wrażliwości jest raczej słaby, o ile wogóle można go brać pod uwagę. Czyż nie mamy natomiast wpływu chociażby pośredniego?

Aby dojść do tego, czy tak jest, należy wyróżnić w każdej namiętności skutki fizjologiczne, przez które się ona zwykle wyraża, i przyczyny wszelkiego rodzaju, od których zależy.

¹⁾ Bossuet: *De la connaissance de Dieu et de soi-même*, rozdz. III. § 19.

Zgodnie z terminologią fizjologiczną, *namiętność* jest „gwałtownem wzburzeniem organicznem”, zaburzeniem krążenia krwi, ruchów oddechowych i uderzeń serca. Zaburzenie to uzewnętrznia się przez gesty, krzyki i ruchy wszelkiego rodzaju.

Nad istotnem podłożem fizjologicznem *namiętności*, które obejmuje większość organów niepoddanych woli, przedewszystkiem jednak serce, nie mamy żadnej bezpośredniej władzy. Nasze środki działania są zgoła zewnętrzne i należą do terapii lekarskiej. Nie mają jest rolę je tu wskazywać.

Inaczej się jednak sprawa przedstawia z całym podłożem muskularnem naszego wzruszenia: „Gdy kipi w nas jakaś *namiętność*, możemy nie pozwolić jej objawić się nazewnątrz. Gniew bowiem domaga się jako wyrazu swego zwartych pięści, szczęk zaciśniętych, skurczu mięśni twarzy, zadyszania się: *quos ego!*¹⁾ Mogę kazać rozluźnić się mięśniom, ustom uśmiechać się, mogę miarkować kurcze oddechowe. Ale jeżeli nie usiłowałem stłumić najpierwszych, jeszcze słabych objawów rodzącego się wzruszenia, jeśli pozwoliłem mu urosnąć, wysiłki moje mogą się okazać nieużytecznymi, nadewszystko, gdy z wewnątrz wola nie umie posłać im na pomoc innych uczuć, jak poczucie godności osobistej, obawa wybuchu i tem podobne”²⁾.

II

Wola a przyczyny *namiętności*

Tak więc nasz wpływ rzeczywisty w stosunku do *namiętności* rozciąga się o wiele bardziej na ich przyczyny niż na skutki. A pozatem wśród licznych przyczyn trzeba wyróżnić pośrednie i bezpośrednie.

¹⁾ Słowa, które Wirgiljusz kładzie w usta Neptuna, zagniewanego na wiatry, a które w ustach bóstwa wyrażają złość i groźbę. Po polsku: „Dam ja wam!” (Eneida I, 13,5). (Przyp. tłum.)

²⁾ Payot: *Kształcenie woli*, str. 75.

Przyczyny pośrednie Pierwsze dzielą się na dwa rodzaje. Istnieją przyczyny zewnętrzne, jak środowisko fizyczne lub środowisko moralne. „Pewne namiętności są istotnie jakgdyby naturalnym owocem pewnego klimatu”¹⁾. Z drugiej strony wychowanie, przykład, towarzystwo, które skutkiem prawa udzielania się kierują rozprzestrzenianiem się wzruszeń, podsycają je nieustannie.

Zwłaszcza jednak podkreślić należy przyczyny wewnętrzne. W rzeczy samej każdy z nas nosi w sobie zarodek wszelkich namiętności. Ale nierzadko się zdarza, że dziecko, rodząc się, przynosi na świat pewne wyraźniejsze dążności, które czekają tylko okazji, by zyskać przewagę i zmienić się w namiętności. Dążności te są często wypływem dziedziczności lub atawizmu ze względu na trwałe więzy solidarności, łączące nas z przodkami. Bywa nieraz, że przez jedno lub dwa pokolenia znajdują się one w uśpieniu, niespodziewanie jednak mogą się obudzić w trzecim.

Z tego punktu widzenia bezpośrednia władza naszej woli nad temi przyczynami jest żadna. Nie możemy bowiem swobodnie wybierać przodków i tylko powoli, pośrednio, dzięki zręczności i wytrwałości potrafimy naprowadzić na dobrą drogę pewne złe dążności, które odziedziczyliśmy po przodkach, i zubożyć zębne ich skutki.

To samo powiedziałbym o stosunkach woli z naszym indywidualnym, fizycznym temperamentem. Każdy temperament, zależnie od przewagi pewnych składników organicznych, skłania się ku takiej czy innej namiętności. Przewaga pewnych namiętności jest więc faktem od nas niezależnym. Nie od nas bowiem zależy, że jesteśmy cholerykami, nerwowcami, sangwininikami czy flegmatykami; że skłonni jesteśmy do złości, lenistwa, strachu, zmysłowości, czy nawet do smutku, lub zbytnej radości.

¹⁾ Montesquieu: *Esprit des lois*, ks. XIV. rozdz. II.

Do czego jednakże sprowadza się władza naszej woli nad namiętnościami, jeżeli te wszystkie przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne wymykają się spod niej?

Przyczyny bezpośrednie Ta moc woli jest znaczniejsza, niżby się wydawało. Zauważmy bowiem, że nasze dążności dziedziczne, taksamo jak składniki organiczne, które nadają naszemu fizycznemu temperamentowi odrębne oblicze, nie stanowią właściwych namiętności, lecz są jedynie mniej lub więcej bezpośrednimi predyspozycjami do takiej czy innej namiętności. W wyobraźni mojej przedstawiają się one, jako magazyn prochu, który bez rzuconej nań iskiej nie mógłby wybuchnąć.

Bywa coprawda aż nadto często, niestety, że owa mała iska, pędzona wichrem szaleństwa, z którym jakby się spryszał zbieg okoliczności, pada na skład prochu i wysadza go w powietrze. I oto w jednej chwili runie nasz gmach moralny, grzebiąc nas pod swemi gruzami.

W większości jednak wypadków od nas zależy samodzielne zapalenie ognia, to znaczy podłożenie płomienia pod prochy, i jeżeli swoje możliwości dobrze wyzyskamy, wysadzimy w powietrze, jakgdyby dynamitem, wszelkie przeszkody, stojące pomiędzy ideałem chrześcijańskim a naszą wolą.

W jaki sposób dokonamy tego? Przez narzucenie odpowiedniego kierunku swoim postrzeżeniom zmysłowym lub wyobrażeniom oraz myślom. Nie można bowiem zaprzeczyć, że te postrzeżenia i myśli za pośrednictwem odpowiednich obrazów zmysłowych grają przeważającą rolę w wywołaniu namiętności, rolę owej iski, spadającej niespodzianie na składy prochu, czy innych materiałów wybuchowych. Postrzeżenia bowiem zmysłowe wywołują w najjaskrawszych kolorach przedmiot, który nas pociąga lub odpycha, wzbuja w nas miłość czy nienawiść, nadzieję lub rozpacz, pragnienie lub odrazę, pogrąża w radości czy znie-

chęceni, napełnia zuchwalstwem czy złością. A przecież doświadczenie uczy, że w wielu wypadkach panujemy nad *postrzeżeniami zmysłowymi i wyobrażeniami*, zwłaszcza zaś nad *myślami*, które mogą zapalić w nas płomień namiętności.

Naprzykład mam jakiś urazę do człowieka, o którym chwilowo nie myślę. Wtem spostrzegam go na skrawku ulicy. Ten nagły widok wzrusza mnie gwałtownie: gestykuluję, krzyczę, słowem, wpadam w złość.

Nie ode mnie zależało spotkanie przeciwnika właśnie wówczas, ponieważ nie myślałem o nim. Jednakże, o ile mieszka on w tym samym mieście i jeżeli wiem, gdzie go mogę spotkać, ode mnie na przyszłość będzie zależało uniknąć jego widoku lub cofnąć się, gdy go zobaczę zdaleka.

Inny przykład. Nie wiedziałem, że w oknie wystawowym jakiejś księgarni rozłożono nieprzystojne obrazki. Nagły widok tych „brudów” wywołuje we mnie gwałtowne poruszenia zmysłowe. Nie jestem za nie odpowiedzialny. Mam jednakże możność pójść jutro inną drogą, a zwłaszcza nie jestem zobowiązany do kupowania tych obrazków i wieszania ich w swoim pokoju lub schowania do szuflady. Taksamo dzieje się ze wszystkimi wyobrażeniami, mogącymi obudzić we mnie uśpione lub niezupełnie ugaszone namiętności.

To samo powiedziałbym o naszych myślach. Myśl ludzka z natury swej podlega ciągłemu ruchowi. Lecz młodziemiec, zastanawiający się głębiej i obserwujący uważniej, zdobyć może nad swymi myślami wielką władzę. Gdy stwierdził np., że dana myśl za pośrednictwem odpowiednich obrazów zmysłowych wzrusza w sposób niezwalczony jego wrażliwość i wprawia go w stan oczywistej niższości moralnej, od niego zależy przejście ku innej myśli lub odwrócenie uwagi lekturą, przechadzką, zabawą lub rozmową.

Władza naszej woli nad postrzeżeniami zmysłowymi i biegiem naszych myśli dostarcza więc nam pośredniego panowania nad namiętnościami, które rodzą

się właśnie z owych myśli i postrzeżeń, stanowiących jakgdyby bezpośrednią ich przyczynę.

Mamy aż nadto środków, by rozwiązać zagadnienie, sformułowane na początku tego rozdziału. Zagadnienie to brzmi: czy wola nasza może skojarzyć ideał chrześcijański z poruszeniami naszej wrażliwości, zdolnymi do wzbudzenia w niej odpowiednich uczuć i do zapewnienia w ten sposób panowania tego ideału nad wszystkimi przejawami naszej energii?

Jasną jest rzeczą, iż skoro władamy w wielkiej mierze swemi postrzeżeniami i myślami, wystarczyłoby skojarzyć ideę chrześcijańską z ideami postrzeżeń — które ośmieliłbym się nazwać namiętnemi, ponieważ wywołują w nas poruszenia namiętności — aby udzielić ideałowi siły ich i tchnienia i zapalić zarazem wolę na rzecz ideału.

Do tego sprowadza się umiejętność paktowania z namiętnościami, wymagająca wiele zastanowienia i energii. Powrócimy do tej sprawy niebawem.

III

Zużytkowanie namiętności

Ustaliliśmy więc, iż wola nasza dzięki kierunkowi, który narzuca naszym postrzeżeniom i myślom, posiada nad namiętnościami władzę rzeczywistą, choć pośrednią. Jest to poprostu władza, jaką posiada rozumna jednostka, która by nie dopuścić do spalenia swego domu, zadaje sobie trud bacznego pilnowania ogniska.

Nie potrzeba wcale gasić w sobie płomienia namiętności, taksamo, jak nie jest rzeczą konieczną obywateli się bez ognia, by się zabezpieczyć od pożaru. Byłoby to i naiwnie i niezręcznie.

Obowiązani jednak jesteśmy zwracać baczną uwagę na właściwe nam namiętności i przeszkadzać im wybuchać przy łada okazji, a nieraz wcale nie wporę.

By osiągnąć ten skutek, wystarczy zwrócić namiętności w dokładnie określonym kierunku, zmusić je do służby dla najkonieczniejszych potrzeb życia moralnego w taki sam sposób, w jaki pani domu używa ognia w gospodarstwie. Na tem, powtarzam raz jeszcze, polega umiejętność paktowania z namiętnościami. Chodzi teraz o stwierdzenie, w jaki sposób praktycznie możemy ćwiczyć się w tej sztuce, pracując dla chrześcijańskiego ideału. Sposób, w jaki odpowiemy na to pytanie, da nam klucz do rozwiązania wszelkich trudności w zagadnieniu kształcenia charakteru.

Problem Przypuśćmy, że mamy przed sobą akademika, który chce czegoś w życiu dokonać. Istotnie, trudnoby sobie było wyobrazić studenta, któryby wstąpił na uniwersytet i przechodził kilkoletni kurs nauk z zamiarem niedokonania nigdy *niczego*.

Także więc i ów student chce być czyto lekarzem, czy adwokatem, notariuszem czy profesorem, wszystko jedno czem zresztą. To „coś”, czem chce zostać, posiada dla niego wartość ideału i to nie tylko ideału myślanego, porywającego wyobraźnię, lecz wartość ideału *chcianego, umiłowanego*.

Cóż zaś się dzieje z nami, ilekroć z pomocą woli stajemy przed swoim ideałem, lub gdy okoliczności przywodzą nam na myśl jego wspomnienie? Czyż nie czujemy wówczas w sobie zapału, by ideał ten zdobyć? Wytwarza się wtedy wokół umiłowanego ideału jakby koncentracja wszystkich naszych sił życiowych, a zwłaszcza naszych namiętności. Miłość ideału używa nam skrzydeł; dzięki nim wznosimy się ponad inne przywiązania, które wiążąc nas z ziemią, z dziedzinną zmysłową, ubezwładniałyby najcenniejsze zasoby naszej energii i pozbawiałyby nas wolności. Jeżeli np. skutkiem *temperamentu*, czy *dziedziczności* jesteśmy skłonni do gniewu, łatwo nam przyjdzie zwrócić jego prąd gwałtowny na niezliczone trudności, przeszkadza-

jące nam w postępowaniu naprzód, podobnie, jak czynimy z potokiem górskim, tworząc dlań odpływ. Jeżeli zaś, wręcz przeciwnie, jesteśmy nieśmiali, bojaźliwi z natury, zwolna przez rodzaj autosugestji, myśląc wciąż o radościach powodzenia, a hańbie w razie klęski, nieśmiałość nadrabiamy zuchwalstwem. Nadzieja zdobycia powodzenia podtrzymuje nas, a dobroczynne jej skutki odczuwamy w całym życiu, zwłaszcza zaś w okresie nauki.

Słowem, wola dokonania czegoś, uzyskania wysokiego stanowiska w świecie, wreszcie zdobycia sobie własnego miejsca na ziemi odgrywa w stosunku do naszych namiętności rolę magnesu wobec prądów magnetycznych zgiętej sztaby miękkiego żelaza. Wola ta przyciąga do siebie namiętności, najodpowiedniejsze do wzmocnienia jej, „skierowya je w jedną stronę, usuwa starcia, i z tego, co było gmatwaniną nie-spójną, tworzy karny strumień siły ustokrotnionej”¹⁾.

Gdyż oczywiście wola pod wpływem namiętności, które wzbudziła, skierowała, ugrupowała dokoła swego ideału, musi skolei przyłączyć się do nich.

Metoda Największą trudnością dla woli — spowodu jej przyrodzonej słabości — jest właśnie nabranie rozpędu i poszybowanie w dziedzinę ideału. Otrzymawszy jednak ten rozpęd od odpowiednich namiętności, przeleje go zaraz na wszystkie nasze czyny. Dokonuje się nawet proces zewszeczmiar godny podziwu. Oto wola, wyrwana ze swego odrętwienia przez namiętności i uniesiona przez nie, oddaje im w formie energii oświeconej i wytrwałej tę ślepą i wstrząsającą siłę, jaką jej udzieliły. Innemi słowy czynimy z udziałem świadomej woli, w sposób rozumowany to, co zaczęliśmy czynić do pewnego stopnia instynktownie pod wpływem gwałtownych i namiętności.

¹⁾ Payot: Kształcenie woli, str. 53.

nych, lecz przejściowych wzruszeń. Życie nasze staje się teraz *jednolite* i *względnie stałe*.

Ilużto młodych zawdzięcza przejście burzliwego okresu młodości bez zbytnich przeszkód i trudności owej cudownej mocy woli, która spaja dokładnie określony ideał z silnymi namiętnościami, lub, ściślej mówiąc, zwraca w kierunku tego ideału wszystkie wzruszenia, które ułatwią jej własne ku niemu wzloty i zarazem zneutralizują wzruszenia sprzeczne i szkodliwe!

Pamiętajmy wszelako, że ideał człowieka nie zasada się tylko na tem, by stać się czemś w świecie. Polega on nadewszystko na tem, by stać się *kimś*, to znaczy człowiekiem z charakterem. Młodzieniec myślący szybko to pojmie.

Gdyby bowiem dla urzeczywistnienia ideału ludzkiego chodziło o zdobycie stanowiska zyskownego lub społecznego, wielu ludzi, starających się skupić wszystkie ruchliwe i nieuporządkowane swe namiętności, by cel ów osiągnąć, dokonałoby tego tanim kosztem.

Oczywiście, niczego w życiu nie zdobywa się bez trudu; aby zaś wyłobić ścieżkę życia, trzeba odważyć się przyłożyć ręki do pług. Wystarczy jednak na to energia i zręczność, nie potrzeba koniecznie być moralnym. Moralność parwenjusza czy karjerowicza, poskramiającego tylko pewne namiętności, a rozpętlającego te, które mu są drogie, przypomina zachowanie się człowieka, chorego na gangrenę: zgadza się on chętnie na obcięcie jednego członka, by ocalić resztę i uratować życie.

Przeciwnie zaś, gdy chodzi o stanie się *kimś*, zręczność i pewna energia niewiele się przydadzą, o ile moralność nie weźmie w tem przedsięwzięciu udziału, cel bowiem nie przedstawia materialnej korzyści. Chodzi poprostu o panowanie nad sobą, o wzniesienie tamy dla kilku nieokrzesanych namiętności, o skierowanie wszystkich innych w stronę rozumu, by zmusić je do służenia mu mocą całej swej energii.

Można być czemś kosztem roztropności, sprawiedliwości, siły, umiarkowania i wielu innych cnót. Ale kimś można być tylko pod warunkiem niewyłączenia żadnej cnoty z obrębu kształcenia moralnego oraz wzbudzenia w sobie skłonności do ćwiczenia się we wszystkich cnotach.

Ten surowy ideał nie potrafi sam przez się pociągnąć większości ludzi, i to nawet ludzi dobrej woli. Wtedy to musimy użyć zręczności.

Wróćmy więc do owego studenta, który pragnie czemś zostać i chciałby również bardzo zostać kimś. Pierwsze z tych pragnień panuje w nim, ponieważ związane jest z jego własną korzyścią. Celem jego jest więc spełnić to pragnienie za wszelką cenę.

Ale pewnego dnia, zastanawiając się nad tem zagadnieniem, spostrzega, iż najpewniejszym sposobem stania się czemś jest jeszcze stanie się kimś; że umiejętność władania sobą prowadzi najkrótszą drogą do posiadania posady, majątku, wysokiego stanowiska.

W owej chwili zastanowienia idea stania się kimś kojarzy się w duszy naszej samorzutnie z ideą stania się czemś i czerpie ze wzruszeń, które ta właśnie idea wzbudza. Nie można tego skojarzenia nazwać jeszcze doskonałym, ponieważ ów student podporządkowuje najszlachetniejszy ideał celowi użytkowemu.

Należy jednak brać ludzi takimi, jakimi są. Lepiej jest osiąść charakter drogą okrężną, niż przez całe życie narzekać na przeszkody, które nastręcza droga bezpośrednia, prowadząca do tego celu.

Po dojściu do opanowania siebie student zmienia sam swoje poglądy. Odczuwając radość wyższego rodzaju dzięki stopniowemu wznoszeniu się ponad siebie, gdy chciał wznieść się ponad innych, pogardzi celami utylitarnymi, albo przynajmniej oceni je tak, jak na to zasługują.

Nie bądźmy więc bardziej wymagającymi od Boga, który ze złego wyprowadza dobro i urabia sprawiedliwych z pomocą grzeszników. Nie zwracajmy uwagi na

słowa tych purytanów moralności, którzy gardząc zdobyczami doświadczenia, chcą wszystko potępić w imię absolutu, w imię swych zasad. Oczywiście lepiej jest dojść na szczyty ideału ludzkiego bezpośrednio, z pominięciem stopni ambicji niższego rodzaju lub ideału mniej wzniosłego. Jeżeli jednak ryzykuję skrócenie karku, rzucając się głową naprzód w przepaść, czyż mi kto weźmie za złe, iż wolę raczej wchodzić pokolei na każdy ze stopni, które mnie mogą zaprowadzić do celu, nie dbając o to, czy schody te są proste, czy też kręte?

Zamiast próżnych rozważań idźmy raczej naprzód i korzystajmy ze wszystkich darów, których nam udzielił Bóg i natura. Pragnienie stania się czymś w przyszłości nie jest nam wzbronione; wręcz przeciwnie, jest to słuszną ambicją, i gdy potrafimy jej użyć do poskromienia w sobie instynktów zwierzęcych, do opanowania się, stania się ludźmi z charakterem, czyli kimś wreszcie — nie wahajmy się ani minuty! Nasza przyszłość będzie w ten sposób zapewniona.

Rozwiązanie zagadnienia

Przedstawiliśmy więc istotny a zupełnie prawdziwy przebieg wypadków. Jako ludzie wierzący znamy ideał chrześcijański, który jest ideałem ludzkim, przeniesionym na płaszczyznę duchową, doprowadzonym do najwyższych granic, posiadającym wszelkie środki nadprzyrodzone do urzeczywistnienia się. Gdy zastanawiać się będziemy nad jednym, niemożliwą będzie rzeczą nie myśleć o drugim.

Skoro już proste pragnienie, aby się stać czymś, pozwoliło nam stać się kimś, grupując wokół tego ideału pierwsze jądro uczuć i namiętności, coś to dopiero będzie, gdy w świetle wiary zauważymy, że aby stać się naprawdę kimś, musimy podążać drogą prostą i właściwą do chrześcijańskiego ideału.

Powtórzy się wówczas ta sama praca magnetycznego przyciągania, którą już rozpatrzyliśmy. Idea

chrześcijańska przyciągnie ku sobie wszystkie te siły, zorganizuje je i ujmie w karby, a skolei wola z pomocą boskiej miłości przyswoi je sobie i niemi się wzmocni. Wleje w nie w formie nadprzyrodzonej siły, pod postacią uczuć, to, co otrzymała od nich w formie siły naturalnej, pod postacią namiętności.

Zestroimy wreszcie — że użyję poprzedniego porównania — obie klawjatury. Wystarczy nam wówczas grać na jednej, by wydobywać dźwięki i z drugiej. Poemat charakteru przybierze kształt rzeczywistości. Przypomnimy sobie wówczas trudności utworzenia go, tem bardziej ciesząc się jego obecną harmonją.

Rozdział III

TAKTYKA INTELIGENCJI WZGLĘDEM NAMIĘTNOŚCI I UCZUĆ W KSZTAŁTOWANIU CHARAKTERU

Umyślnie mówiłem tyle o stanowisku woli w stosunku do namiętności w kształceniu charakteru, by tem lepiej później uwypuklić rolę inteligencji. Gdyż, jak powiedzieliśmy, wolę uważać należy za najdoskonalszą formę działalności ludzkiej, za działalność *refleksyjną*, w przeciwieństwie do instynktu, będącego działalnością nieświadomą i fatalistyczną. A przecież refleksja jest cechą znamioną inteligencji. Możemy zastanawiać się tylko w takim stopniu, w jakim jesteśmy rozumni. Nie potrzebuję zaś przypominać, że praca woli, zasadzająca się na skojarzeniu chrześcijańskiego ideału z przychylnymi dlań namiętnościami i uczuciami, oraz na usuwaniu uczuć i namiętności wrogich, jest przede wszystkim pracą *refleksji*. Trzeba bez wątpienia chcieć *zastanawiać się*, by dokonać tego skojarzenia, co wskazuje, jaką pierwszorzędną rolę wola gra w kształceniu charakteru; należy jednak także *umieć rozmyślać*, co jest rzeczą inteligencji.

Pomówmy więc o roli rozmyślenia (*réflexion méditative*) w stosunku do namiętności zmysłowych i uczuć wolicjonalnych w kształceniu charakteru. Zobaczmy najpierw, na czem ono polega.

I

Rozmyślanie

Przedewszystkiem nie należy mieszać rozmyślenia z badaniem naukowem we właściwym znaczeniu tego słowa. Metody ich są podobne, ale cele różne.

Posłuchajmy, co pisze na ten temat współczesny psycholog. Przez rozmyślanie „nie rozumiemy oczywiście marzycielstwa, zwłaszcza zaś czułościowego, które, jak zobaczymy, jest jednym z wrogów, jakich energicznie zwalczać mamy w dziele panowania nad sobą. Podczas kiedy w rozmarzeniu uwaga drzemie, pozwalając przedzy wyobrażeń i uczuć snuć się nie-dbale w świadomości, splatać się stosownie do przypadku skojarzenia i często w sposób najmniej przewidywany, rozmyślanie nie pozostawia nic przypadkowi. Bądźco bądź różni się ono od badania, które zmierza do nabycia wiadomości dokładnych, różni się tem, że nie dąży do „umeblowania duszy”, lecz do jej „wykucia”¹⁾. „Istotnie w badaniu celem naszych zabiegów jest poznanie; w rozmyślaniu dzieje się całkiem inaczej. Dążymy tam do wywołania w duszy poruszeń nienawiści albo miłości”²⁾.

Wszystko to jest zupełnie słuszne; psycholog ów dodaje jednak: „W badaniu opanowyywa nas żądza prawdy; w rozmyślaniu prawda niewiele dla nas znaczy. Przekładamy tam pożyteczne kłamstwo nad prawdę szkodliwą: nad całem poszukiwaniem naszym panuje wyłączna pobudka użyteczności”.

Nie mogę się z tem zgodzić. Według mnie prawda ważna jest dla nas taksamo w rozmyślaniu jak i w badaniu naukowem, wszelako z innej przyczyny. W nauce dążymy do prawdy spekulatywnej, naukowej, w rozmyślaniu sięgamy po prawdę praktyczną, życiową.

Ale na czem to polega ustalona przeze mnie różnica między prawdą spekulatywną a prawdą praktyczną?

Jest ona niestychanie ważna, ponieważ od niej zależy dzieło kształtowania naszego charakteru. Niestety, nie wprowadzono jej jeszcze do programów

¹⁾ Montaigne: *Essais* III, 3.

²⁾ Payot: *Kształcenie woli*, str. 102.

uniwersyteckich, w których, wręcz przeciwnie, wszystko zdaje się być obmyślane, by nas zmusić do zdobycia prawdy spekulatywnej kosztem praktycznej.

Postaram się pogląd swój uzasadnić. Cóż jest celem dla studenta, chcącego słuchać wykładów na uniwersytecie? Prawda, że celem tym jest osiągnięcie poziomu intelektualnego, cechującego współczesną epokę, zdobycie gruntownych a zarazem dokładnych wiadomości w zakresie filozofji, matematyki, historii, prawa, czy medycyny. Oczywiście, student ma i cel dalszy: zajęcie pewnego stanowiska w świecie i wykazanie wartości nabytej wiedzy. Rzecz jednak dziwna, ten ogólny motyw użyteczności nie zmienia wcale charakteru spekulatywnego nabywanej wiedzy. A nawet im doskonalej znać będzie student filozofję, nauki matematyczne, historję czy medycynę, tem większe zyska powodzenie i prędzej dopnie celu.

Prawda spekulatywna, ku której zmierza nauka uniwersytecka, zasadza się więc na doskonałem zapoznaniu się z rzeczywistością, poddaną badaniom. Prawda ta jest absolutna i jednakowa dla wszystkich. Student może zmieniać uniwersytety, jak mu się podoba, mimo to jego studja, o ile posiadają istotną wartość, powinny dojść do jednakowych rezultatów. Może niewszędzie nauczają według tych samych systemów filozoficznych, lecz systemy to jeszcze nie filozofja, a w głębi każdego z nich znajduje się zawsze ta sama wyłączna myśl dojścia do absolutnej prawdy.

Słowem, prawda spekulatywna nie jest zależną od naszego celu praktycznego i od usposobień psychicznych, które moglibyśmy wnieść do jej poszukiwania. Czy ktoś chce zostać adwokatem, czy historykiem, albo też przez swój temperament skłonny jest do złości czy zmysłowości, nie zmienia tego, że dwa a dwa daje w sumie cztery, i nie sprawi, że użyję klasycznego wyrażenia, by te same drzwi były równocześnie zamknięte

i otwarte. Nic nie jest mniej podatne do zmian według naszej woli — mówiąc spekulatywnie — niż zasada sprzeczności. Zasada ta mści się nawet na ludziach, którzy jej zaprzeczają, zmuszając ich do opierania się na niej, jeżeli swojemu zaprzeczeniu nadać chcą chociażby pozór prawdy.

Taką jest prawda spekulatywna, do której prowadzą nas badania naukowe. Nie można o niej powiedzieć za Pascalem: „Prawda leży z jednej, a błąd z drugiej strony Pirenejów”. Jest ona bowiem i pozostanie absolutną. Nie chciałbym twierdzić, iż prawda ta nie ma znacznego wpływu na rozwój ludzkości. Przeciwnie sądzę, iż wszystkie rzeczy wielkie i trwałe na świecie spełnili myśliciele, że prawdziwymi bohaterami historii są wielcy wynalazcy w dziedzinach nauki, sztuki, literatury, filozofji, nie zaś wielkie „niespokojne duchy”, robiące na świecie wiele wrzawy, jak politycy czy najślawniejsi nawet zdobywcy.

Należy jednak przyznać, że prawda spekulatywna nie nawróciła nigdy nikogo moralnie i że pozostawiona jedynie swemu własnemu promieniowaniu, nie może umoralnić ludów, ani jednostek, niemocna jest też stworzyć jednolitego charakteru „rasowego”, czy nawet jednostkowego.

II

Prawda spekulatywna a prawda praktyczna

Dla dopięcia tego celu prawda spekulatywna musi się stać *praktyczną* i zejść z tronu absolutu na stopień względności, by nią rządzić. To znaczy, że zamiast ograniczać się do zewnętrznego podziwiania prawdy, powinniśmy ją przeżyć wewnętrznie; zamiast dążyć do niej tylko z pomocą naszej inteligencji, powinniśmy iść jej śladem całą duszą i przelać ją we wszystkie swe czyny.

Dusza nasza jednak jest czemś bardzo złożonem, jeżeli rozumiemy przez nią zespół wszelkich naszych energii, inteligencję, wolę, wrażliwość z wszystkimi odcieniami, jakie dziedziczność, temperament, wychowanie, środowisko społeczne i nabyte nawyki wprowadzają do każdego z nas!

Czyż prawda nie ucierpi w razie przyswojenia jej przez tyle sił tak różnych, a nieraz tak ze sobą sprzecznych? Spekulatywnie biorąc, może i ucierpi, praktycznie zaś — nic a nic, z warunkiem oczywiście, iż będziemy nią poruszeni, co się wyrazi w przeżyciu jej, w rzeczywistem staraniu się o przystosowanie jej do naszych zwyczajów. Wielkiem bogactwem absolutnej prawdy jest możność takiego nagięcia się do wszystkich względnych wymagań życia. Prawda nie traci na tem nigdy, a my zawsze zyskujemy. Może się bez wątpienia zdarzyć — a nawet często się zdarza — że idziemy w złym kierunku, i w mniemaniu, że zdobyliśmy prawdę, przyjmujemy zamiast niej błąd. Nawet wówczas prawda nie ponosi uszczerbku, zwłaszcza jako prawda praktyczna, gdyż działaliśmy w ten sposób tylko w jej imieniu i nie uczynilibyśmy tego, gdybyśmy byli poznali swój błąd.

Nie jesteśmy bowiem bardziej nieomylni w stosunku do prawdy z punktu widzenia spekulatywnego, niż z punktu widzenia praktycznego. Ta nieomyślność jest oczywiście punktem idealnym, który mamy osiągnąć, czyto, by prawdę poprostu *poznać*, czy też by nią *żyć*; lecz dojdziemy do nieomyślności jedynie stopniowo, etapami, dokonując niezliczonych poprawek i retuszów. Stąd wypływa olbrzymia rola rozmyślania w utwierdzeniu władczem prawdy praktycznej w każdym z nas. Nanicby się nam nie zdało wiedzieć ogólnikowo o wszystkim, co chrześcijanin powinien czynić, by przystosować swe życie moralne do wymagań prawdy. Najważniejszą jest rzeczą, byśmy wiedzieli, jak się mamy do tego wziąć my sami, w obecnych warunkach, w swoim środowisku społecznem, ze swem

atawistycznym usposobieniem, ze skłonnościami temperamentu do tej, czy innej namiętności, stosownie do naszego wieku, zależnie od wybranego przez nas zawodu, od stanu naszego zdrowia czy choroby.

Żaden bowiem z wymienionych czynników nie powinien wymknąć się praktycznemu panowaniu prawdy; ponieważ zaś na drodze do zdobycia charakteru chodzi nam chrześcijanom o odsunięcie od prawdy wszelkich szkodliwych wpływów, kojarząc ją ze stanami afektywnymi, czyli namiętnościami i uczuciami, które są dla niej przychylne, koniecznie więc potrzeba, byśmy wyróżniali w sobie wszystkie te składniki, byśmy się zaznajomili bliżej z najdrobniejszymi szczegółami wiedzy o naszej naturze, byśmy doszli do wyodrębnienia stosunków między temi zjawiskami, do wyśledzenia ich wzajemnego wpływu, ich skojarzeń, ich kombinacji, zależności od wszelkich sugestij wewnętrznych lub zewnętrznych.

Dojdziemy do tego tylko przez rozmyślanie, ożywiane bystrą i drobiazgową obserwacją. Refleksja, owo ciągłe badanie siebie, które ułatwi nam cierpliwe poszukiwanie wszelkich motywów, zdolnych obudzić w nas szlachetne namiętności i uczucia rycerskie, pozwoli nam skojarzyć idee z praktyką chrześcijańską oraz przemienić abstrakcyjne ideały w żywe przywiązania.

Rozmyślanie umożliwi nam gruntowne poznanie instrumentu naszej duszy, sposobu, jak się nim posługiwać, by wynajdywać corazto nowe tony, by je łączyć, wzmacniać lub przytłumiać ich brzmienie, stosownie do tego, czy natura nasza rozkwitać będzie kosztem łański, czy na jej rzecz. Słowem, rozmyślanie uczyni z nas ludzi z *charakterem*, świadomych swych dążeń i spieszących ku celowi w pełnem władaniu sobą, z namiętną miłością prawdy w sercu.

Rozdział IV

ROLA ŁASKI W STOSUNKU DO NAMIĘTNOŚCI W KSZTAŁTOWANIU CHARAKTERU

Oto pokrótce rezultat, do którego doszliśmy: trzy zupełnie różne składniki: inteligencja, wola i namiętności powinny uczestniczyć w kształceniu charakteru.

Inteligencja wskazuje nam najpierw cel, który mamy osiągnąć, ideał, który chcemy urzeczywistnić, a który w naszym rozumieniu jest ideałem chrześcijańskim. Wola samorzutnie dąży do tego ideału, lecz brakuje jej siły do zapewnienia sobie panowania nad całą dziedziną naszej wrażliwości, grzech bowiem wprowadził do tej dziedziny straszliwe fermenty niezgody. Różnorodne wzruszenia, uniesione wichrem namiętności, nie podlegają już naturalnie podniosłemu wpływowi ideału i stawiają opór panowaniu woli. Nie znaczy to jednak, by naszej woli brakło zupełnie sił do zapanowania nad namiętnymi uniesieniami, zwłaszcza, kiedy rozpatrujemy je nie w zespole, lecz pojedynczo. Gdyby tak nie było, nasza wolność byłaby zniweczona aż do samych podstaw. Niemniej jednak praca nad opanowaniem siebie za pośrednictwem woli nie należy do łatwych.

Wówczas to w walce z namiętnościami należy użyć roztropności. Są one bowiem istotnie spontanicznymi i gwałtownymi poruszeniami wrażliwości, zapoczątkowanymi w nas przez mnóstwo dziedzicznych lub nabytych skłonności, i odnawiającymi się u obfitych źródeł zmysłów, wyobraźni i myśli.

Gdybyśmy nie panowali silniej nad biegiem swych myśli i postrzeżeń zmysłowych, niż panujemy nad naturalnymi skłonnościami do takiej czy innej namiętności, walka o życie moralne byłaby złudnem poczynaniem.

Faktycznie jednak od nas zależy trwałe nadanie kierunku naszym wrażeniom, wyobrażeniom, i co ważniejsza, utrzymanie ich na wodzy z pomocą psychologicznych praw uwagi i skojarzenia. Stąd wynika, iż sięgamy wolą do bezpośrednich źródeł namiętności i, co za tem idzie, możemy namiętnościom tym nadawać kierunek. Cała zręczność odtąd zasadzać się będzie na skojarzeniu idei stosunkowo niewysokiej, lecz zdatnej do wzniecania namiętności, z uczuciami wniosłemi.

Zadaniem *rozmyślenia* jest w świetle chrześcijańskiego ideału pomnożyć skojarzenia tego rodzaju. Łatwo zauważymy wynikające stąd skutki dla woli. Naturalna dążność woli, która ją unosi ku ideałowi, biorąc rozpęd od namiętności, przyciąganych przez ten ideał, dziesięciokrotnie się wzmoże.

Wola wówczas będzie miała zadanie względnie łatwe: zapewnić ideałowi chrześcijańskiemu panowanie nad wszelkimi przejawami naszej energii. Gdyż uczucia wolicjonalne wzmocnią się w zetknięciu z namiętnościami, namiętności zaś umoralnią się w zetknięciu z uczuciami. Dla zapewnienia w nas równowagi moralnej niema nic właściwszego nad tę ciągłą wymianę światła i siły, i nie sądzę, byśmy, chcąc stać się ludźmi z charakterem, z punktu widzenia przyrodzonego liczyć mieli na inne środki.

Sprawa przedstawia się jednak trochę inaczej, gdy patrzymy na nią ze stanowiska nadprzyrodzonego. Oto dłaczego chciałbym wskazać pokrótce rolę łaski w stosunku do namiętności w kształtowaniu charakteru.

Natura a łaska

Ileżto razy powtarzałem, że istnieje doskonała harmonia pomiędzy ideałem ludzkim a chrześcijańskim, że w gruncie rzeczy ideał chrześcijański jest prosto ideałem ludzkim, przeniesionym na duchową płaszczyznę, posuniętym do ostatecznych granic, obfitującym w boskie światło i siłę, która pozwala nam wznieść się aż do jego wyżyn.

Z punktu widzenia przyrodzonego światło naszej inteligencji ma na celu przez oczyszczenie naszych namiętności wyodrębnić zasady, kierujące naszym postępowaniem. To wyodrębnienie nie dokonuje się bez trudu, gdyż namiętności, jak zresztą wszystkie siły instynktowne, raczej załamują światło, i najoświecieńsze umysły przyznają, że w chwilach najzacieklejszej walki gwałtowne poruszenia wrażliwości zastępują jakoby ich własnym oczom jasny obraz zasad, których się dotychczas trzymały dla zapewnienia sobie moralnej równowagi.

Upodabniamy się wtedy do podróżnych, chcących w nocy przebyć spowrotem trudną drogę, którą przeszli za dnia. Znają oni ją dobrze, wszystkie jej szczegóły utkwiły im w pamięci i wyobraźni. Wiedzą, że w danym miejscu należy unikać przepaści, w innym zaś trzeba uważać na kamień graniczny. Cienie nocy myślą nieraz wzrok najostrożniejszy, najlepiej przyzwyczajony do mroku. Ów gęsty całun, jaki noc rozpościera wszędzie, ukrywa także przepaście i zaciera najpewniejsze znaki przydrożne. Wówczas to, nie mogąc sobie dać rady, ostrożny podróżny ma do wyboru: zawrócić z drogi lub zaopatrzyć się w światło. Jeżeli chodzi o torowanie drogi obowiązku w ciemnej nocy namiętności, nie może być mowy o zawróceniu z drogi, gdyż wszyscy jesteśmy zobowiązani kroczyć naprzód. Jedynym więc ratunkiem dla nas pozostanie

kierować się światłem naturalnych zasad, jaknajlepiej ugruntowanych i przystosowanych do naszego odrębnego usposobienia. Lecz w kruchym naczyniu, jakim jest człowiek, światło to niezawsze znajduje ochronę od powiewów wiatru. Chwieje się ono, a może nawet zgasnąć.

Wiara Cóżby się wtedy z nami stało, gdyby boskie światło wiary nie przybyło nam na ratunek? Ta przynajmniej światłość, jako pochodząca z boskiego ogniska, nie podlega tak szybkiemu zgaśnięciu. Bóg żądając od nas, byśmy ją stale utrzymywali, wymaga jedynie trochę dobrej woli.

Cóż nam jednak wskazuje wiara? Posiadając ją, nie widzimy jeszcze tak jasno, jak w dzień, ale już nie brniemy w ciemnościach. Gdy słońce rozumu czasem się zaćmiewa, a nieraz kryje za chmury, wiara niby maleńka gwiazdka zawsze błyszczy nad niem i oświeca cudownym promieniem drogę naszego życia, wypuklając prawa moralne, którymi się mamy kierować. Ten promień właśnie wskazuje nam przepaści, których trzeba unikać, miejsca, które ominąć należy, przykłady, godne naśladowania, słowem, obnaża naszą słabość, pokazując nam zarazem, gdzie leży prawdziwa nasza siła.

Jakże przejmujące jest to światło Wiary, gdy powierzmy się jego promieniom! Narazie wprawdzie wydaje się nam, że jeszcze panuje noc. Powoli jednak oko duszy przystosowuje się do tych świętych ciemności, postępując za gwiazdą wiary wszędzie, dokąd je ona poprowadzi. A dokąd je ona wiedzie? Już nie w dziedzinę abstrakcyjnej filozofji, lecz w najkonkretniejsze krainy chrześcijańskiego życia.

Na wzór trzech króli prowadzi nas ona do żłóbka, by podziwiać tam ideał chrześcijański, wcielony w osobę Boskiego Syna; prowadzi nas po tych wszystkich drogach, którymi iść uważał Chrystus za swój obowiązek, wzywając nas, byśmy również dążyli jego śla-

dem. Wiara stawia nam przed oczy jego wewnętrzne walki z namiętnościami, ukazuje nam Go posłusznym we wszystkim woli Ojca, aż do śmierci. Później, gdy Chrystus wstępuje na niebiosy, gwiazda wiary nie przestaje nas oświecać; oświetla jasno żywe naśladowania Chrystusa w osobach świętych; wreszcie przenika aż do najskrytszych głębin naszego sumienia, w którym rozprasza niewiedzę, nieporozumienia, złe myśli, podłości wszelkiego rodzaju, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Zobowiązuje nas do zastanawiania się nad sobą, do poznania siebie, nie pozwalając nam wymawiać się własną słabością, czy zaślepieniem. W tym bowiem leży wielka moc wiary, iż naucza nas ona, że bez Boga, zwłaszcza wskutek następstw grzechu, nic uczynić nie możemy, przeciwnie zaś z Bogiem możemy wszystko. Boskie światło przyciąga moc Boską, a wiara łączy się z miłością Bożą.

Mając wiarę, wiemy pewnie i zawsze, co powinniśmy i możemy zrobić; posiadłszy miłość, mamy możliwość uczynienia tego. W jakim jednak sposób?

Miłość Boża Świętemu Pawłowi, który się skarżył, że jest wystawiony na gwałtowne ataki namiętności, że jak mówił, „policzkuje go szatan”, odpowiedział Bóg: wystarczy ci łaska moja!

I napewno łaska wystarcza! Gdyż łaska — to Bóg obecny w nas tak, jak tylko może być obecnym; łaska — to boskie działanie, wzmacniające naszą działalność mocą nieskończonej energii, nieniszczące jednak naszej samodzielności; łaska — to jakby ręka wszechmocnego przyjaciela, trzymająca naszą, by nam pomóc wznieść się aż do niego.

A jeśli Bóg jest z nami, któż przeciwko nam? Posłuchajmy tego szlachetnego wyzwania św. Pawła: „Któż zdoła mnie oderwać od Miłości Chrystusowej?” Ależ nic na świecie, na ziemi, czy w niebie nie było zdolne go oderwać. Wola bowiem apostoła zjednoczyła się z wolą boską, przez co właśnie wola boska

używała jej swojej wszechmocy i pozwalała korzystać z nieskończonego rozpędu.

To samo stanie się z nami, o ile tego zapagniemy. Zwróćmy jednak baczną uwagę na jedno: oto perspektywa używania — pod działaniem łaski — siły nawet samego Boga gwoli urzeczywistnienia w sobie chrześcijańskiego ideału nie zwalnia nas od użycia siły namiętności, o której niedawno mówiliśmy. Bogu zależy na tem, byśmy działali, jakgdyby Go nie było, chociaż On jest tuż. Bóg dopuszcza wprawdzie, by jego łaska przyszła na pomoc naszej naturze, lecz wymaga zarazem, by natura nasza działała zgodnie z łaską. Bóg szafuje hojnie nadprzyrodzonymi środkami, lecz nie z uszczerbkiem dla środków naturalnych.

Gdy w porządku przyrodzonym uczyniliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy, by, posłużwszy się samorzutnością swych namiętności, wprowadzić do nich karność, wówczas przy spełnianiu tej niewdzięcznej pracy krzepi nas myśl, że nie jesteśmy osamotnieni. Bóg jest z nami, działa w nas, a my w Nim żyjemy.

Wydaje mi się, że to poczucie obecności Bożej w nas i rzeczywistej pomocy, którą On nam zsyła w czasie walk wewnętrznych, doda na nowo odwagi najmałoduszniejszym.

Gdy stoimy na skraju przepaści, przykład cnotliwego przyjaciela powstrzymuje nas od skoku w jej otchłań. A przecież to tylko przykład, moralne oparcie, siła, która pochodzi zewnątrz, lecz zatrzymuje się u progu naszej świadomości. Gdy jednak chodzi o to, by mieć w sobie i ze sobą Boga, któryby w każdej, nawet najtrudniejszej okoliczności zesał nam pomoc, czyż zaczniemy rozpaczać nad niemożnością naprawy swego charakteru, zapanowania nad sobą i rządzenia swem życiem moralnem?

Taka rozpacz byłaby tchórzostwem, gdyż, powtarzam, gdy Bóg jest z nami, któż przeciwko nam?

Rozdział V

EGOIZM A ALTRUIZM

Świat namiętności jest światem niesfornym, który pozostawiony sam sobie, zda się, nie podlega żadnemu prawu. Różnorodne nasze namiętności podobne są do błędnych komet, które dowolnie zataczają łuki, nie troszcząc się o gwiazdy sąsiednie. Jest to jednak tylko złudzenie wzrokowe. Bo w istocie wszystkie namiętności sprowadzają się do jednej spomiędzy nich, ku której ciążą wszystkie inne, a która z tego powodu odgrywa w stosunku do nich rolę ośrodka przyciągania. Namiętnością tą jest egoizm.

Niema wyrazu, któryby w naszym słowniku brzmiał gorzej, niż ten właśnie, a tak potężna jest siła wpływu słów na kierunek naszej myśli, że z trudnością rozróżniamy pomiędzy egoizmem jednego a drugiego rodzaju; naprzykład nie przypuszczamy, że wolno nam być egoistami w dodatniem znaczeniu tego słowa. Czyżby więc to słowo posiadało dodatni i ujemny sens? Ależ naturalnie! Obok egoizmu godnego nienawiści mamy egoizm, godny pochwały; obok egoizmu-namiętności mamy egoizm-cnotę, będącą bardzo często inteligentnem przeniesieniem na inną płaszczyznę namiętnego samolubstwa.

Dlaczegoż to jednak namiętny egoizm godzien jest nienawiści? Ponieważ zasadza się on na sprowadzaniu wszystkiego do własnej osoby, na rozpatrywaniu osób i rzeczy tylko pod ciasnym kątem widzenia naszych kaprysów, na utylitarnej ocenie świata w granicach od-

powiednio skurczonych i małostkowych, w których możemy zmusić go do służenia naszym zamysłom.

Przeciwnie zaś egoizm cnotliwy godzien jest pochwały, gdyż mimo wszelkich pozorów jest szlachetny i stanowi podstawę wszystkich naszych bezinteresownych poczynań.

Nie należy sądzić, że przeciwstawiam te dwa rodzaje egoizmu jedynie z zamiłowania do paradoksu. Paradoks, o ile tu wogóle zachodzi, leży tylko w słowach, nie istnieje zaś w myślach. Postaram się to wykazać.

I

Szkodliwy egoizm

Najpierw przypomnę o istnieniu w nas dwu ludzi: człowieka-zwierzęcia i człowieka rozumnego, człowieka cielesnego i człowieka-ducha. Istota ludzka z nich obu się składa, a samo ich współistnienie nadaje naszej naturze piętno prawdziwej oryginalności. Niedosć jednak powiedzieć, że ci obaj ludzie w nas współistnieją; w rzeczywistości przenikają się oni nawzajem, aby w ten sposób wytworzyć nienaruszalną jedność naszego „ja”, naszej samowiedzy. Z tego to powodu obydwaj ubiegają się o naszą miłość, chociaż nie mają prawa do równych względów. Gdyż zwierzę, tkwiące w nas, musi oddać pierwszeństwo człowiekowi, a ciało musi nagiąć się do słusznych wymagań ducha. Stąd pochodzi różnica między szkodliwym egoizmem a cnotliwą miłością własną, na którą przed chwilą zwróciłem uwagę.

Słuchając wyłącznie namiętnego egoizmu, sprzyjamy „ja” zwierzęcemu, które znajduje się w nas; nie zakreślamy wówczas swym pragnieniem innego horyzontu, niż czyste użycie i przyjemności we wszystkich, nawet najbardziej poniżających, najnikczemniejszych formach.

Przeciwnie zaś, pielęgnując cnotliwą miłość własną, rozwijamy w sobie nasze „ja” rozumne, „ja” naprawdę ludzkie; wykuwamy z bezkształtnej bryły zasobów swej energii moralnej żywy posąg człowieka z charakterem, człowieka, który wznosi się ponad siebie, łamiąc zwierzęce instynkty, i pilnie stara się zostać osobą, przestając powoli być rzeczą.

Który z tych dwu rodzajów egoizmu właściwy jest nadewszystko młodzieży? By odpowiedzieć na to pytanie, najlepiej byłoby sięgnąć do doświadczenia. Ono właśnie wykazuje, że młody człowiek posiada już namiętności, zanim zdobędzie cnoty. Reszta zaś zagadnienia stanie się zrozumiała, gdy pomyślimy, że dla ich wywołania wystarczy poddać się spontanicznym poruszeniom wrażliwości; cnota natomiast wymaga refleksyjnej i ciągłej interwencji woli. Niewątpliwie właściwym zadaniem cnoty jest *umoralnienie*, oczyszczenie namiętności; to samo już jednak dowodzi, że namiętności istniały pierwiej, niż cnota. Stąd wnioskuję, że młodzieniec chociażby tylko z tego powodu, że jest młody i nie miał jeszcze czasu przekształcić swych namiętności w cnoty, podlega namiętnemu egoizmowi, zawierającemu zaczątki wszelkich innych namiętności.

A jednak młodzi ludzie mają opinię szlachetnych. Jakże więc pogodzić ową szlachetność z podobnym egoizmem? Szlachetność młodzieży bywa rzeczywista, w wielu jednak wypadkach jest tylko pozorna. Gdyż nawet egoizm przybiera u młodych postać szlachetności, a dzieje się to dzięki temu, że są młodzi, chcą żyć i cieszyć się życiem. Namiętność egoizmu, jak każda intensywniejsza siła życiowa, podlega dwu popędom: popędowi siły odśrodkowej, na mocy którego musimy czerpać zzewnątrz wszystko, czego potrzebujemy dla zasilenia naszego życia, oraz popędowi siły dośrodkowej, który sprawia, że wszystko sprowadzamy do siebie. Podobnie czyni polip, gdy rozprzestrzenia swe macki, by schwycić zdobycz, a kur-

czy je, by się nią nasycić. Oba te odruchy są jednak tylko dwiema fazami jednej i tej samej namiętności.

Istotnie młodzież właśnie dlatego, że jest młoda, nie zdążyła jeszcze nagromadzić zasobu doświadczenia życiowego. Jej inteligencja, serce, wrażliwość są zupełnie świeżymi władzami, które pragną jedynie zetknąć się z rzeczywistością, by ją sobie przyswoić i nią się nasycić. Oto dlaczego młodzież daje przystęp wszystkiemu i rzuca się chciwie na wszystko. Pęd spon-taniczny, który unosi ją nazewnątrż we wszystkich na-raz kierunkach; potrzeba intensywnego życia, która płonie w jej spojrzeniu i zapala w niem płomień en-tuzjazmu; wrażliwość, która upodabnia ją do harfy eolskiej, czulej na najłżejszy powiew, i pozwala wy-dobywać z niej cudowne akordy — wszystko to ma coś ujmującego i może omamić powierzchowne umy-sły. Najczęściej, nieraz zupełnie nieświadomie, wydaje się młodzieży, że poświęca siebie właśnie wówczas, gdy jedynym jej celem jest brać wszystko od innych; niby to wyrzeka się siebie, gdy poprostu pragnie przy-wiązać do siebie bliźniego; egoizm więc przybiera u młodzieży często tylko maskę szlachetności. Ponie-waż zaś kochamy życie nadewszystko, zwłaszcza zaś jego przejawy świetne i pełne blasku, niezawsze zada-jemy sobie trud dojścia do źródeł najczarowniejszych przejawów życia, by je sobie wytłumaczyć.

Z młodzieżą dzieje się podobnie, co z niewidomy-mi, świeżo operowanymi na zaćmę. Z braku do-świadczenia i refleksji widzą na jednym planie wszyst-kie przedmioty, które przyciągają ich wzrok, nie mieli bowiem jeszcze czasu zdobyć to pojęcie perspektywy, które później, gdy zetkną się z trudnościami życia, po-zwoli im wyznaczyć tym dobrom odpowiednie miejsce, ułożyć ich hierarchję. Czyż mamy to młodzieży brać za złe? Oczywiście, że nie, gdyż byłoby to równo-znaczne z wymawianiem jej młodości. Dobrze jest jednak ostrzec ją, by ta młodość nie przekraczała usta-wicznie dozwolonych granic. Musimy koniecznie po-

kazać jej zawczasu, że istnieje sposób przemiany tej *namiętności* egoizmu, właściwej jej wiekowi, w *cnotę*, a to przesuwając egoizm na inną płaszczyznę, kierując go ku ideałowi uczciwego człowieka i chrześcijanina. W gruncie rzeczy chodzi jedynie o zmianę kierunku wyładowania się energii, nie zaś o stratę czy marnotrawienie sił; nie chodzi tu bynajmniej o wyrobienie nienawiści do siebie, lecz o ukochanie siebie samego goręcej i lepiej.

II

Cnotliwy egoizm

Jakże więc ma się dokonać ta przemiana? W sposób powyżej oznaczony, czyli kojarząc *namiętność*, która nas instynktownie popycha do szukania zwierzęcego zadowolenia, z rzeczywistością, lecz jakże bezskutecznym pragnieniem stania się uczciwym człowiekiem. Wszak każdy z nas, jeżeli nie jest od urodzenia zepsutym, nosi w sercu pragnienie stania się kimś, rozwinienia swego życia, rozszerzenia swego widnokręgu na nieskończoność. W jakim sposobu staniami się kimś, nie urzeczywistniwszy ideału uczciwego człowieka? Jakże rozwinimy życie naprawdę ludzkie, nie wyrwawszy się z więzów zwierzęcości? Gdzież, jeżeli nie w życiu chrześcijańskim, znajdziemy najrozleglejszy horyzont, obejmujący wszelkie przejawy energii duchowej?

Przypuszczam, że mamy *namiętności*, których dreszcze nas niepokoją; odczuwamy podniecającą nas potrzebę życia; marzymy o tem, by nadsztukować swój mały wzrost! Nie bójmy się takich pragnień! Nie gaśmy tych *namiętności* w zarodku, pozbawiając się wszelkiego egoizmu. Przeciwnie, kochajmy siebie ze wszystkich sił, lecz kochajmy siebie, jak należy. „Miłość dobrze zrozumiana — powiedział apostoł — zaczyna się od siebie”. Kochajmy w sobie wszystko, co

nas podnosi, nie zaś to, co nas upadla; kochajmy obowiązek, nie zaś przyjemność; poddajmy się pod jarzmo rozumu i wiary, a nie tyranji naszego ciała. Nie pozwalajmy sobie płynąć bezwolnie z prądem namiętności, lecz przeciwnie, starajmy się nim pokierować. Zamiast grzęznąć w dość błotnistym strumyku zmysłowości, rzućmy się mężnie wpław przez szeroką rzekę cnoty. Będziemy musieli niewątpliwie, zwłaszcza spoczątku, walczyć z wszelkiego rodzaju trudnościami i silnie prężyć mięśnie, by utrzymać się na powierzchni. Lecz sądzę, że sport ten nie ustępuje wielu innym. Ćwicząc się w nim, zdobędziemy „duchowe mięśnie”, zwłaszcza wówczas, gdy zużytkujemy swoje zdolności, to znaczy, jak to za chwilę postaram się wykazać, gdy zdobędziemy trwałe moralne nawyki.

Nawyki bowiem moralne, inaczej mówiąc, cnoty, są istotnie tem dla duszy, czem silne mięśnie dla ciała. Im bardziej dusza stara się je wzmocnić i rozwinąć, tem pewniej może się spodziewać zbawienia. Od nas zależy pomnożenie możliwości naszego zbawienia i to, powtarzam przy okazji, nie przez zniszczenie w nas wszelkiego egoizmu, lecz przez rozsądną i moralną zarazem przemianę źle zrozumianej miłości własnej w dobrane pojęcie.

III

Fałszywa solidarność

„Dobrze zrozumiana miłość zaczyna się od siebie samego”. Wygłosiwszy przed chwilą tę najważniejszą zasadę życia chrześcijańskiego, pozostawiłem na później wykazanie, iż rzeczywiście najpewniejszą drogą do ukochania innych jest rozpocząć od należytego umiłowania siebie. Cóż bowiem czyni nas niespotęcznymi i odosabia nas w małostkowym kółku interesownych sympatyj, wbrew wszelkiemu poczuciu solidarności? Czy nie wyłącza miłość naszego zwierzęcego

„ja”, naszego „ja” niewyrobionego? Gdy się własnym pragnieniom nie ukazuje wyższych celów ponad czyste użycie, wtedy siłą logiki wynika traktowanie innych tylko jako narzędzi naszych przyjemności, posługiwanie się nimi, zamiast służenia im, sprowadzanie wszystkiego do własnej osoby zamiast poświęcenia się dla drugich. Nie braknie jednak ludzi, którzy ośmielają się mówić jeszcze i w takim wypadku o solidarności. Jest to w każdym razie solidarność godna nienawiści, która ma swych szarlatanów, tak jak prawdziwa solidarność ma swych apostołów. Celem jej — cokolwiekby o niej powiedziano — jest przede wszystkim zaspokojenie tkwiącej w nas zwierzęcości, nie zaś udoskonalenie człowieka; ideałem jej nie jest miłość bliźniego dla niego samego, lecz miłość innych wyłącznie dla nas.

Młodzi bardziej niż ktokolwiek inny, na skutek właśnie tej namiętności egoizmu, właściwej ich wiekowi, ulegają pokusie mieszania tej pozornej solidarności z prawdziwą, uważania za altruizm tego, co w gruncie rzeczy jest tylko egoizmem. Fakt, że ludzie żyją tuż obok siebie, zaćmiewa im nieraz sąd do tego stopnia, że stawiają narówni powierzchowne współżycie ze zjednoczeniem się dusz. Toteż jaknajprędzej musimy rozwiać to złudzenie i wyraźnie wyodrębnić zewnętrzne „koleżeństwo” od wewnętrznej „przyjaźni”, czyli szczerzej, chrześcijańskiej solidarności.

Jedną z wielkich przeszkód, lub jednym z ważnych środków pomocniczych w życiu młodzieży akademickiej — zależnie od punktu widzenia, z którego daną kwestję rozpatrujemy — jest właśnie życie wspólne. W każdym uniwersytecie istnieje pewna liczba młodych ludzi, których zdawałoby się wszystko skłania do współżycia w gromadzie. Należy jednak odróżnić rozmaite rodzaje stowarzyszeń. Istnieją związki oficjalne, tworzące się pod różnorodnym wpływem rasy, języka, wychowania, poglądów i t. d. O tych powiem jedynie, że należy je gorąco popierać; powołaniem ich jest z pomocą wzajemnej miłości podsycać energię

poszczególnych jednostek. Jednakże obok tych stowarzyszeń oficjalnych istnieją związki *nieoficjalne*, do których mam mniejsze zaufanie ze względu na przyuczyny ich powstawania. Gdy młodzieniec wstępuje na uniwersytet, pierwszym jego wrażeniem jest poczucie obcości w nowym środowisku. Instynktownie szuka on między po raz pierwszy widzianymi twarzami tak zwanego popularnie w języku studentów „krajana”. Zawsze, nawet na wygnaniu, „krajanów” znajduje; w razie ich braku, pragnąc koniecznie ich znaleźć, dobierze sobie kółko rzekomych swojaków. Zobaczymy więc, jak zaraz, z dnia na dzień, wciągnięty zostaje do koła, którego zamiłowaniu, postępowaniu, trybowi życia czy „gnuśnienia” będzie się musiał poddać, niezawsze niestety mając możliwość wyrwania się spod tego jarzma. Tem lepiej, o ile koło, do którego należy, zachowuje się przyzwoicie. Jeżeli jednak panuje w niem atmosfera niezdrowa — a to się często zdarza — młodzieniec spotka pod maską przyjaciół najgorszych wrogów swej przyszłości. Przypuśćmy, że jest naiwny — a któż nim nie jest, mając lat dwadzieścia? — nieco próżny i słabego charakteru, co zdarzy się prawie napewno. Jego próżność podda go potulnie opinii publicznej, a raczej opinii wyemancypowanych kolegów, których koło właśnie powiększył, i to zwłaszcza opinii najgorszych spośród nich, tych, którzy mają prawie zawsze zespół cech, imponujących powierzchownym umysłem i ludziom słabej woli. Cechami temi będą oczywiście: zuchwalstwo, bezwzględne postępowanie, ton ostry i ruchy mówcy, który zerwał ze „świętością” i pobożnością. Powoli, pod wpływem złego przykładu, młodzieniec zagłuszy w sobie głos sumienia i przyjmie na ślepo jako życie idealne życie prawdziwie studenckie — najbardziej denerwujący, najpustszy i najgłupszy sposób życia, jaki sobie tylko można wyobrazić. Chociażby czasem sumienie jego wybuchło gniewem, jak niewygasły wulkan, student zdusi jego protest, może nie z własnej chęci, lecz z uprzejmości dla

tych, których podziwia, lub którzy go onieśmiałają — i będzie ich naśladował niewolniczo, marnując w ten sposób wszystko: inteligencję, serce, nawet zdrowie.

Czyżby tak miała wyglądać solidarność już nie chrześcijan, lecz tylko uczciwych ludzi? Nie możnaby tego nawet nazwać koleżeństwem. Lub, jeżeli to jest koleżeństwo, to trzeba przyznać, że ono objawia się w smutny sposób. Dzięki Bogu to, co napisałem, nie dotyczy wszystkich kół młodzieży, i nie wszyscy też studenci, których niestety wciągnięto do kół tego rodzaju, dochodzą do takich ostateczności. Pomimo to dość znaczna liczba młodzieży, która przybyła na uniwersytet, aby rozszerzyć swój horyzont życiowy, opuszcza mury wszechnicy ze skrajnie zacieśnionym widnokresem. Liczba ta usprawiedliwia powyższe ostrzeżenia i protesty. „Błyszczcie, jak młodzi ludzie, prowadzący życie, złożone jedynie z przyjemności — pisał lord Chesterfield do syna — to znaczy błyszczeć jak próchno w ciemności”¹⁾.

Zgoda na to, że część winy młodzieży spada na karb wszystkich słabości i całej nędzy, właściwej naszej złożonej a spaczonej naturze; dość zresztą już na to położyłem nacisku. Większość jednak młodych ludzi, którzy się bawią, nie pomyślała nigdy o pokierowaniu własnem życiem; zostali wciągnięci jakby w wir przez okoliczności zewnętrzne, miotają nimi wichry wszelkich namiętności, a nieraz są ofiarami niezdrowego lub co najmniej powierzchownego wychowania. Zdarza się czasem, że młodzieniec „dobrze wychowany”, który się pomiędzy nimi zabłąka, nie zauważy na początku w ich towarzystwie nic złego. Wkrótce jednak, jeżeli jest inteligentny, zda sobie sprawę ze swej omyłki; zauważy pustkę w sercach, którym się oddał niebacznie, spostrzeże nicość inteligencji, uwikłanej w niedorzeczne przesady. A skoro tak, to powi-

¹⁾ „Lettres de lord Chesterfield à son fils.” Lettres de septembre-octobre 1748.

nienby zastosować zasadę *noblesse oblige*. Czyż dlatego, że niektórzy młodzi ludzie mają niedorzeczne przesady, on, uświadomiwszy sobie tę niedorzeczność, miałby się poddać ich pogładowi na świat i poświęcić własną wolność, zdrowie oraz wielką radość, jaką daje praca i cnota, by uniknąć ich szyderstwa lub zyskać ich podziw!

Czemuż więc wśród mnóstwa tych „pseudointeligentów” tak mało ludzi, chlubiących się niezależnością, próbuje wyzwolić się z niedorzecznych namów kolegów i nie zmienia życia, pełnego niewybrednych przyjemności, na życie naprawdę szczęśliwe? Ach! nato potrzeba wysiłku, potrzeba z całej mocy rozwalić mur przesądów, uforować sobie wśród cierni i głógów drogę dobrą, a egoizm młodych, czyli raczej pasja egoizmu, której oni nie przerobili jeszcze w cnotę, nie pozwala im na to. Wolą odurzać się złudzeniami i wierzyć, że oddają siebie swym kolegom, gdy tymczasem oni tylko biorą od nich rzeczy najgorsze. Byleby zewnętrzne pozory były uratowane, cóż kogo obchodzi wnętrze? Cóż to szkodzi, że młodzi stowarzyszają się, by się wzajemnie moralnie zabijać, gdy przynajmniej mają wygląd żyjących. Tak sądzi po-błażliwie większość.

Widzę tylko jedno na to lekarstwo: zastąpić namiętność egoizmu cnotliwą miłością własną, miłością „dobrze zrozumianą”, która nas uratuje, zapewniając zarazem naszym kolegom zbawienie.

IV

Prawdziwa solidarność

Nie przeczę wszakże, że obok solidarności fałszywej, pochodzącej jedynie z namiętności egoizmu, źle rozumianej miłości własnej, jest w sercach młodzieży miejsce na solidarność rzeczywistą i dodatnią. Młodość jest bezsprzecznie wiekiem szlachetnej przyjaźni, któ-

rej wpływ daje się odczuć w całym życiu. W tym celu należy spełnić nieodzowny warunek: młodzież, aby kochać innych miłością spontaniczną, bezinteresowną, szlachetną, musi zacząć od ukochania w sposób szlachetny i bezinteresowny samej siebie, to znaczy powinna podporządkować w sobie własne „ja”, zwierzęce „ja” rozumnemu, bydlę — człowiekowi.

Solidarność ludzka

Dla zrozumienia tego — a potrafi to nawet dziecko — wystarczy przyjąć, że między ludzkim dobrem jednostkowym a dobrem społecznym, zamiast sprzeczności, istnieje harmonia. Niewątpliwie dobro społeczne jest dobrem ogólnoludzkim, nie zaś jednostkowym, pozostaje ono jednak zawsze dobrem ludzkim, ideałem człowieka, urzeczywistnionym w całej pełni, szczęściem w całej rozciągłości. Oczywiście nie możemy domagać się — każdy dla siebie — zupełnego i regularnego rozwoju swego „ja” rozumnego bez pomocy innych członków społeczeństwa. Czyż jednak inni mogliby się tego domagać bez naszej pomocy? Stąd wynika, iż miłując siebie samego należycie, poddając się nakazom swego sumienia i wkładając całą duszę w spełnianie obowiązków, wszelkich powinności uczciwego człowieka, przyczyniam się ze swej strony do urzeczywistnienia dobra bliźniego w ten sposób, że gdy wszyscy inni postępują tak jak ja i wierni są powołaniu człowieka, dobro społeczne zostało zdobyte i możemy już utworzyć idealne społeczeństwo. Miałem więc zupełną rację, zwracając uwagę na istnienie szlachetnego rodzaju miłości własnej, która jest ostatecznie żywym źródłem, skąd nieustannie wytryska poczucie szczerzej i chwalebnej solidarności.

Niedość na tem. Nietylko fakt kochania siebie w wyżej opisany sposób, *po ludzku*, przyczyni się do szczęścia bliźnich, lecz i serce moje napełni się świadomością ku nim miłością. Jeżeli bowiem kocham w sobie człowieka, a nie bydlę, godność ludzką, nie zaś

zwierzęce upodlenie, będę się czuł związany nicią sympatii z każdym, ktokolwiek posiadać będzie wspólnie ze mną ową godność; wszędzie gdzie rozpoznam rysy jego obrazu, wzbudzą one moją miłość. Bo to jak-gdybym siebie odnajdywał wcielonego w bliźnich. W ten sposób ukocham wszystkich — wszystkich bliźnich bez wyjątku, ukocham ich tak, jak siebie, miłując ich równocześnie nie dla siebie, lecz dla nich; lub raczej nie kochając ich ani dla siebie, ani dla nich, lecz dla ich udziału w ideale ludzkim, który nas wszystkich łączy, opromieniając nas wspaniałą aureolą, wznoszącą nas ponad stworzenia i będącą najpiękniejszym dla nas tytułem chwały.

Solidarność chrześcijańska

Mylę się. Ponad ideałem ludzkim unosi się bardziej jeszcze jaśniejący i zupełny — ideał chrześcijański. Solidarność ludzka każe nam kochać braci tylko w imię godności ludzkiej, która tkwi zarówno w nich jak i w nas. Miłość chrześcijańska każe nam kochać ich ponadto w imię boskości, w której oni wszyscy, zarówno jak i my, mogą brać udział. Solidarność ludzka wymaga od nas, byśmy pomagali innym w urzeczywistnianiu ich ideału uczciwego człowieka; miłość zaś chrześcijańska nakłada na nas obowiązek przyczynienia się do wyrobienia w bliźnich nie tylko ludzi, ale istot boskich. Solidarność ludzka nie posuwa swych żądań poza ziemski horyzont i dąży jedynie do zwycięstwa człowieka nad porywami zwierzęcymi, gdy miłość chrześcijańska otwiera nam perspektywy niebieskie i chce, byśmy do tego zwycięstwa człowieka w nas i braciach naszych dodali triumf Boga. Oto aż nadto powodów do wyrwania z hańbiącego egoizmu młodzieńca inteligentnego, mającego dobrą wolę. Dość powodów do skłonienia go, by prawdziwie umiłował swych towarzyszy. Ponieważ najpierw chodzi tu o niego, ponieważ w grę wchodzi przede wszystkim jego własne szczęście, nie trudno mu będzie przenieść

na inną płaszczyznę swój egoizm, przepoić owym szlachetnym ideałem wszelkie namiętności, wszystkie uczucia, które go nakłaniają do szukania siebie; nie-trudno mu będzie wkońcu osiągnąć, by jego wola, jego miłość Dobra najwyższego, skorzystała ze spontanicznych porывów uczuć namiętnych.

Będzie to dobra taktyka, a i bliźni na tem skorzystają. Instynktownie bowiem młodzieniec wyrwie się spod wpływu tych kolegów, którzy chcieliby go zepsuć, stanie się jakby ośrodkiem wyższej działalności, wokół którego się zgrupują koledzy słabsi lub bardziej nieśmiali. Nie odrzucając nikogo poza krąg swej miłości, wolno mu będzie jednak dokonywać wśród ludzi wyboru, pozyskiwać druhów wartościowych, pomnażać liczbę świetnie zgranych kółek. Wówczas to stanie się on człowiekiem z charakterem, nie tylko w całej mocy, lecz i w całej rozciągłości tego określenia. Będąc panem siebie, stanie się równocześnie władcą innych, niewątpliwie nie przez tyranję, która się sama gwałtownie narzuca i przez własne winy upada, lecz przez owo panowanie, które nęci wytworzoną przez siebie siłą przyciągania i swoistym czarem.

Rozdział VI

ZMYSŁOWOŚĆ

Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jak nagłą jest sprawa ustalenia zasadniczej różnicy pomiędzy namiętnością egoizmu a cnotliwą miłością własną. Pierwsza jest wrodzonym wrogiem prawdziwej solidarności, przeciwnie zaś druga jest jej źródłem. Gdy bowiem kochamy siebie w sposób zwierzęcy, kochamy innych tylko dla siebie; jeżeli zaś miłujemy siebie w sposób rozumny, umiłujemy siebie dla innych. Wybór między obiema formami egoizmu do nas należy. Ze swej strony, i to jedynie w celu ułatwienia powyższego wyboru, chciałbym zakończyć drugą część tego dzieła analizą, oczywiście krótką, lecz wierną, jednej z najbardziej podstępnych i niszczących postaci egoizmu namiętnościowego. Mam na myśli zmysłowość, o której można co najmniej powiedzieć, że zagraża samemu życiu społecznemu, niszcząc siły żywotne jednostek.

Postaram się najpierw określić jej naturę i przyczyny; w ten sposób lepiej można będzie zrozumieć zgubne jej skutki, poznawszy zaś je, z łatwością przyjdzie nam wskazać środki zaradcze, które stosować powinien każdy człowiek, dbały o swą godność osobistą i o szczęście bliźnich.

I

Natura zmysłowości

Ludzie starsi mają niewinną manję wychwalania czasów swej młodości; mówią, że oni żyli niegdyś w złym wieku, my zaś dzisiaj w wieku żelaznym; *laudator*

*temporis acti*¹⁾). Nad starcami posiadam tę przewagę — o ile można to wogóle nazwać przewagą — że mogę mówić tylko o współczesności, zasługującej zarazem na pochwałę i naganę. Niemilknące pochwały należą się naszym czasom za otoczenie szacunkiem i rozpowszechnienie uczuć humanitarnych i idei poświęcenia się dla sprawy bliźniego. Zda się, że jakiś potężny prąd solidarności owładnął dziś wszystkimi ludźmi, przyczyniając się do corazto większego wzajemnego zbliżenia się ich i zespolenia w trwałe grupy. Równocześnie zaś, wskutek jednej z tych dziwnych anomalii, przeczących najwytrawniejszym sądom logicznym, stwierdzamy, że w żadnej epoce kult dla indywidualizmu i chorobliwa samoanaliza nie posunęły się tak daleko, jak obecnie. Indywidualizm i socjalizm — tego drugiego słowa używam w najszerszym znaczeniu — wyodrębniają się wyraźnie jako dwa bieguny, około których rozwija się myśl nowoczesna. Stąd pochodzi właśnie ów stan niestałej równowagi, znamienny dla naszego społeczeństwa, którego ofiarami one nieodwołalnie stać się muszą. Na nic się bowiem nie zda rozszerzanie w teorii szlachetnych idei, gdy w praktyce usilnie się je zwalcza. A przecież, praktycznie biorąc, kult indywidualizmu jest brutalnym zaprzeczeniem idei solidarności; chorobliwa zaś samoanaliza jest złem, które najpewniej podminowuje teźniejsze usiłowania odrodzenia społecznego. Trudno byłoby zliczyć, ile jest dzisiaj ludzi, którzy zamiast zgłębiać swe życie, by się doskonalić, żyją tylko dla przyglądania się sobie w zwierciadle swego życia.

Młodzież zwłaszcza przeżywa biernie ten stan duszy, który bardzo ceniony i subtelny psycholog nazywa „egoizmem wzruszeniowym”. Tak więc nigdy nie będzie można dość jej uzbroić przeciw „owemu nie-

¹⁾ Dosłownie: „Ten, co chwali przeszłość”. Koniec wiersza Horacego, w którym poeta podnosi zwykły błąd starców, ocierających terazniejszość na korzyść przeszłości (przyp. tłum.).

bezpiecznemu pożądaniu wzruszeń, owemu zamiłowaniu do przemyślnego stwarzania zawilości sercowych, by obudzić w sercu nowy dreszcz. Przeciwno owej dążności do badania duszy jedynie przez ciekawość, skutek przedwczesnego zmęczenia i niezdolności do odczuwania w życiu świeżych i trwałych wrażeń¹⁾).

Rozliczne są formy zmysłowe, jakie przybierać może u młodzieży egoizm wzruszeniowy. Bywają wśród nich formy ukryte i widoczne. Nie będę mówił tu o owych hańbiących grzechach tajemnych, które szkodzą społeczeństwu tylko przez owładnięcie jednostką.

Pewnego dnia Lacordaire, oznaczając skutki tego, co nazwał „zmysłem zepsucia”, odmalował nam „mężczyzn, którzy w kwiecie wieku, zaledwie zaszczytzeni oznakami męskości, wykazują już piętna starczego uwiądu; zdegenerowani przed osiągnięciem dojrzałości fizycznej, z czołem, pooranem przedwczesnymi zmarszczkami, z zapadniętymi i niepewnie patrzącymi oczami, o wargach, niezdolnych do wyrażenia dobroci, wiodą mimo wiosny życia być, chylący się do upadku²⁾”. Doświadczenie bowiem wykazuje, że nic bardziej nad grzechy cielesne nie rozprzęga ludzkiej istoty i nie doprowadza jej do stanu „żywego trupa”.

Jednakże bardzo często obok, a nieraz i oprócz tej hańby grzechu indywidualnego istnieją hańby społeczne. Wywodzą się wszystkie ze strasznego egoizmu. Młodzieniec, który im podlega, patrzy na rzeczy przez pryzmat własnych skłonności i nawet nie zdaje sobie sprawy z otaczającego go zniszczenia, za które jakże często on sam jest odpowiedzialny. Przyzwyczajony bowiem do myślenia tylko o sobie, do sprowadzania wszystkiego do własnej osoby, powoli traci szacunek

¹⁾ Paweł Bourget: Przedmowa do *Accalmie*, romansu Piotra Gerarda Franciszka Laura, Paryż.

²⁾ Lacordaire: *Conf. de Notre Dame*, 1844. 22-ga Konf.

dla osoby innych i depce nogami wszystko, co mu się wydaje niepotrzebnem lub sprzecznem z zadowoleniem własnych pragnień i pożądań. Często wydaje mu się jeszcze, że kocha kogo innego, gdy tymczasem kocha już tylko siebie; mając słowa miłości na ustach, nie ma już serca. „Jakież cierpienia zadawać może taki człowiek otoczeniu! Jak szybko przywiązuje się do kogoś i w swem uczuciu stygnie! Jakże niezdolny jest oddać siebie i mieć wiarę w bliźniego!”¹⁾

Byłoby rzeczą zbyteczną opisywać szczegółowo rozliczne formy, jakie nasunąć może zmysłowości młodzieńca wzruszeniowy egoizm, są one bowiem dosyć znane. Literatura dzisiejsza pełna jest takich lub tego rodzaju opisów. Za ważniejsze uważam zapoznanie się z przyczynami nałogu nieczystości, by tem lepiej osądzić jego skutki i znaleźć środki zaradcze.

II

Przyczyny zmysłowości

Przyczyny osobiste

Pierwszą z nich nietrudno znaleźć: jest to zarzewie upadku, które każdy nosi w sobie, gorączka pożądliwości, którą odziedziczyliśmy po pierwszych rodzicach. Religja i doświadczenie zgodnie odmalowują rozpacz duszy, związanej z „ciałem śmierci”. Mimo jednak, że zawsze owa gorączka niszczy nasz temperament moralny, mimo że nikt nie zdoła ująć jej więzom, istnieją zarówno w życiu jednostek, jak i w życiu narodów okresy zmysłowości wysubtelnionej lub też bardziej prymitywnej. Do okresów, szczególnie opanowanych przez zmysłowość, zalicza się wiek przełomowy młodzieży. „U młodzieńca, w którym natura rozwija się, o ile go nie chronią wpływy chrześcijańskie, dojrzałość cielesna wywołuje nagły napór zmysłowości, określony

¹⁾ P. Bourget: Tamże.

nader znacząco przez ojca Gratry'ego jako „próba ognia”. Zmysłowość budzi się i zrywa tamy, serce doznaje jakgdyby nieznanego dotąd głodu, złożonego z pragnień naprzemian mglistych i straszliwie wyraźnych. Jest to rodzaj gorączki początkowo skrytej, która jednak u pewnych osobników w pewnych chwilach wybucha szalona. Bywają chwile, kiedy — jak mówi dobitnie Bossuet — cała istota ludzka czuje, że staje się ciałem. Myśl abdykuje na rzecz ciała, pełnego dumy, ciało przytłumia duszę, zmysły zalewają umysł; wewnętrzne światło gaśnie na chwilę, lub niestety! — na długo, jeżeli już nie na zawsze. Słońce moralne zaćmione zostaje przez swego satelitę, inteligencja przez ciało, życie duszy przez życie organów, stworzonych do jej służenia¹⁾.

Przyczyny społeczne Jednakże nawet kryzys młodzieńczy odzwierciedla w swych objawach zmysłowych idee swej epoki i swego środowiska społecznego. Gdy bezustanku publicznie mieszamy błoto, którego pierwszą warstwę osadziła nasza zepsuta natura; gdy wszelkie gałęzie literatury, jak powieść, teatr, dziennik, obficie je rozprzestrzeniają; gdy nawet ulica przez skandaliczne wystawy afiszów, fotografii i pocztówek opryskuje tem błotem przechodniów; gdy zbytek wyuzdany rzuca sztuczne promienie i upajające zapachy swych fałszywych wonności; gdy wreszcie ludzie, pozornie zdrowo myślący, zamykają oczy na wszystkie te wysoki lub zadowalają się ze swej strony lekkim uśmieszkiem, czegoż żądać można od dwudziestoletnich młodzieńców, pozostawionych samym sobie bez oficjalnego nadzoru, którym wolno na wszystko patrzeć, wszystkiego słuchać i odychać pełną piersią tak zatrutem powietrzem?

„Przedwczesne i całkowicie intelektualne ujawnienie się świata uczuciowego nie pozwala (młodym), że

¹⁾ Sertillanges: *Nos vrais ennemis*. Paris, Lecoffre, 1902, str. 219.

się tak wyrażę, zaczekać na (własne) serce. Lektura bez kierunku i związku, niepowściągliwość w rozmowach, stosunki koleżeńskie w szkole, których żaden regulamin nie jest w stanie skontrolować; zdenerwowanie, spowodowane zbyt siedzącym trybem życia, wszystko to składa się na przedwczesne obudzenie się wyobraźni, którą jedynie wpływ religijny mógłby pokroić... Rezultatem przytoczonych przyczyn jest fakt, że dojrzewający młodzieniec poznaje w myśli wszystkie przejawy miłości, wszystkie subtelności i perversje życia zmysłowego w wieku — przyznać należy — w którym naprawdę doznał jedynie dziecinnych wzruszeń uczniowskiego życia¹⁾).

Przypuśćmy teraz, że ów młodzieniec, od czasów gimnazjalnych będący ofiarą zgubnych wpływów, wstąpiwszy na uniwersytet, zostanie wciągnięty do kół, których postępowanie dostosowane jest do zasad współczesnych, nader pobłażliwych dla grzechu nieczystości. Łatwo przewidzieć wynikłą stąd ruinę. Albo podda się on potulnie wpływowi bogatej młodzieży, która niepodniecana bodźcem troski o byt i zepsuta przez zniewieściałe domowe nawyki, trawi w sposób niemądry swą młodość na przygotowywaniu się do beztreściwego wieku dojrzałego, lub też przyłączy się do pesymistów, zniechęconych wskutek własnej słabości, zanim zaczną walczyć, do leniuchów wszelkiego rodzaju, naiwnych lub zblazowanych dyletantów, którzy zachęcą go do próżniactwa, pociągną do picia i ułatwią mu sposobność do rozpusty.

Tak przedstawiałyby się — w krótkim streszczeniu — pośrednie i bezpośrednie przyczyny, powodujące u dzisiejszej młodzieży egoizm wzruszeniowy i oddające ją na pastwę tyranji ciała. Pozostaje nam teraz stwierdzić najgłówniejsze skutki podobnej zmysłowości, aby następnie określić środki do zwalczania jej i uniemożliwienia jej wywierania zgubnego wpływu.

¹⁾ P. Bourget: *Dzieło* cytowane.

III

Skutki zmysłowości

Trudno zaprzeczyć, że zmysłowość pod wszelkimi postaciami jest nalogiem *par excellence* antyspołecznym. Istotną bowiem wartość moralną społeczeństwa wypływa ze stanu moralności jego członków. Jeżeli ci członkowie są zepsuci, jakże samo społeczeństwo mogłoby ujść zepsuciu? Zera, dodane do zer, nigdy nie utworzą liczby. Przeciwnie zaś, może się zdarzyć, a nawet zdarza się nieraz, że indywidualne zepsucie zależy od przyczyn społecznych. Mówiłem już o warunkach nowoczesnego życia, które utrudniają przeobrażenie kształcenie charakteru. Nie pora do tego powracać, jest jednak rzeczą oczywistą, że społeczne przyczyny zepsucia indywidualnego rozmnożyły się w obecnych czasach w zatrważającym stopniu. Co mnie jednak uderza zarazem i zasmuca, gdy analizuję najważniejsze z tych przyczyn, to fakt, że „zło moralne”, które one wywołały, pochodzi raczej z postępu naszej cywilizacji niż z zacofania. Naprzykład, wskutek ciągłego wychwalania wiedzy i przypisywania jej celu wyłącznie użytkowego, doszliśmy z wolna do traktowania jej jedynie jako cudownej dostarczycielki rozrywek i niewyczerpanego źródła używania. Pod wpływem takiego poglądu przesunęła się stopniowo oś moralności. Niewątpliwie nigdy nie mówiono tyle o bezinteresowności, altruizmie, solidarności, jak w dobie obecnej. Żaden znany mówca na wiecach czy zebraniach publicznych o charakterze oficjalnym nie powstrzyma się od odpowiedniej na ten temat aluzji. Nadewszystko zaś z przyjemnością powracamy do tych tematów, kiedy stereotypowe formuły i dźwięczne, choć beztreściwe słowa mogą zrobić wrażenie na tłumach. Gdy jednak zadamy sobie trud przypatrzenia się tym frazesom zbliska, gdy uniesiemy choćby końcami palców tę maskę humanitaryzmu, przerazimy się ogromem samolubstwa, które ona pokrywa. Nie chcę

posuwać się aż do twierdzenia, że w tych powszechnych i głośnych zapewnieniach miłości i chęci poświęcenia się względem bliźnich wszystko jest nieszczerze, chciałbym nawet wierzyć, że większość ich brzmi szczerze. Iluż jednak złudzeń i iluż szlachetnych uniesień pozbyli się całkowicie nawet ci sami ludzie, a jest ich mnóstwo! — którzy unicestwiają w praktyce to, czemu największą przypisują wagę w teorii. Wartość i znaczenie tej myśli, do której nieustannie powracam, chciałbym z pozwoleniem łaskawego czytelnika raz jeszcze ukazać. Mówić będę głównie o antyspołecznych skutkach egoizmu zmysłowego i środkach zaradczych, którymi je można uleczyć.

Skutki fizyczne Duszę naszą i ciało winniśmy poświęcić dla społeczeństwa; ono ma prawo liczyć na wszystkie nasze siły i żądać od nas, byśmy ich nie trwonili. A przecież zmysłowość jest prawdziwym marnotrawstwem sił. Żaden nałóg nie rujnuje tak zdrowia ciała, nie osłabia bardziej inteligencji i nie wysusza szybciej serca. Zmysłowość jest więc oczywiście nałogiem antyspołecznym. Przedewszystkiem jednak należy zauważyć — gdyż w zagadnieniu tak subtelnem nie będziemy nigdy zaledwie dokładni — że istnieją dwa rodzaje zmysłowości. Nie mówię w tej chwili o tych upadkach jednostkowych i przejściowych, do których nasz temperament psychiczny, nasza zepsuta natura, a nawet samo środowisko obecne przyczyniają się tak wielce. Dusza bowiem szlachetna i kochająca ideał, mając trochę energii i zręczności, łatwo może upadki te sprowadzić do minimum, jeżeli już nie zapobiec im całkowicie. Zmysłowość, zwalczana przeze mnie, jest tą właśnie, której młodzieniec ulega prawie bez walki, albo uprawia z amatorstwa, zadośćczyniac jej w pełni. Można by podobną zmysłowość nazwać robakiem nieczystym, który rzuca się z lubością na świeżo rozwinięte kwiaty, wypija skrycie ich soki i pożera łodygę. Wystarczy spojrzeć trochę

uważniej na młodzieńców, którzy padli jej ofiarą. Mimo wszelkich sztucznych środków z ich strony, by zmniejszyć w oczach innych swój upadek, łatwo poznać ich można po ciele osłabionem, wyczerpanem rozkoszami, niepewnym chodzie, po wytartem czole i zmąconem spojrzeniu.

Czegóż spodziewać się może społeczeństwo od podobnych podpór w przyszłości? Mogą one jedynie mu szkodzić, najpierw pozbawiając społeczeństwo kapitału energii indywidualnych, do którego ono ma niewątpliwie prawo, a po drugie, pozostawiając mu w spadku spodloną krew w ciałach dzieci, zgóry już obarczonych haniebnymi skłonnościami. Nasuwałoby się bowiem pytanie: komu ofiarują kiedyś owi młodzi ludzie swoje zmęczone rozpustnem życiem istnienie? Może małżonka, która jakby cudem uniknęła ogólnego zepsucia; jakże straszną jest wówczas myśl, że jej siła zmaruje się z winy ich słabości. Jeżeli zaś zepsuty młodzieniec wybierze sobie małżonkę, mającą podobne do jego własnych obyczaje, łatwo przewidzieć, do czego doprowadzi złączenie się tych „ciał umarłych“, mających tylko pozory życia. Albo nie stworzą wcale rodziny, albo cogorsza, wyjdą z niej małe biedne istoty, którym zawczasu już krew w żyłach wyssał nałóg nieczystości, podobny do wampira, nadał błądliwość ich czołom i zgasił im spojrzenie. Jakże tu mówić o odrodzeniu społecznem ludziom, których życie z ich własnej woli jest tylko powolnem samobójstwem i którzy zgadzają się umierać tak codziennie kosztem innych, jedynie dlatego, by móc żyć dla siebie!

Skutki umysłowe

Intelektualne skutki zmysłowości u młodzieży są niemniej opłakane jak fizyczne. Czyż frazesem będzie przypomnieć tutaj, że zmysły zaspokajają się tylko kosztem umysłu, iż rozwiązłe życie ciała rozprzęga skolei energję duszy? Inteligencja bowiem potrzebuje dla swego rozwoju ukojenia cielesnych porywów, równowagi funkcji ciała, czystej i świeżej krwi, wypoczętych nerwów. Gdy

rozważam rolę ciała w stosunku do inteligencji, której ciało jest przyrodzonym narzędziem, mimowoli przypominam sobie harfy eolskie, które starożytni zawieszali na gałęziach wierzby i z których świeży wietrzyk kwietniowych poranków lub ciepły powiew jesiennej wieczora wydobywał dźwięki. O ile spokój panuje na zewnątrz i wewnątrz ciała, gdy nie jest ono zbyt miotane namiętnościami, gdy krew nie jest zbyt zepsuta, a nerwy niezbyt napięte, wówczas to inteligencja może, muskając jak lekki wietrzyk niezliczone struny tego cudownego instrumentu, wydobyć zeń akordy pełne i miłe, ta zaś pełnia i słodycz wynagradzają ciału hojnie cierpkość i pustkę uniesień zmysłowych. Jeżeli zaś ciałem wstrząsa gwałtowny podmuch zmysłowej rozkoszy, tysiące wrażliwych strun, w które jest ono wyposażone — podobnie do delikatnych strun harfy — skręcają się lub pękają pod tem burzliwym tchnieniem; napróżno się wówczas wysila inteligencja, nie wydobędzie z nich żadnego dźwięku.

Rozkosze bowiem cielesne nie idą w parze z radościami intelektualnymi; ponadto ten, kto *gnuśnieje* w pożądliwościach cielesnych, niezdolny jest do pracy duchowej. Ciało wtedy znajduje istotne swoje zadowolenie tylko w podnieciach zmysłowych, gdy umysł wymaga do pracy spokojnej atmosfery. „Młodzieniec, powracający z wieczorku do skromnego swego pokoju, wchodzi tam z wyobraźnią pełną pomieszaną: przeciwieństwo owych światła, płasów, ubiorów wyzywających z jego ubogą pracownią zabójcze jest dla zdrowia ducha. Trudno o wrażenia bardziej zniechęcające, gdyż nic go nie przyzwyczaiało do poddawania krytyce owych rzekomych rozkoszy. Nigdy nie przejął się on tą prawdą, że będąc bogatym w siły i złudzenia, niezdolnym jest widzieć rzeczywistości. Stwarza on sobie za jednym zamachem świat zewnętrzny, i osoby, którym każe się w nim poruszać, halucynacja zaś ta jest tak żywa, że staje pomiędzy nim a rzeczywistością, którą mu zaśnania. Nic dziwnego, że mocą przeci-

wieństwa własne jego życie tak ciche, tak spokojne, tak wolne, tak naprawdę szczęśliwe, wydaje mu się nieznosnie jednostajnem i smutnem¹⁾).

Iluż zniechęconych młodzieńców wytworzył właśnie ów tryb życia tylko dla przyjemności! Wstąpili na uniwersytet z pięknymi nadziejami i olbrzymim zapasem dobrej woli. Przyszłość się do nich uśmiechała. Mieli zamiar stać się kiedyś uczonymi, którzy przyniosą zaszczyt społeczeństwu, a co za tem idzie i ojczyźnie. Wszystko szło dobrze przez rok, czy dwa może; później powoli ostygli w zapale. Poświęcili przecież wszystko dla rozwoju swej inteligencji; czyż ciała ich nie miało również swych praw? Zewsząd na nich nalegano i wreszcie ustąpili. Spoczątku starali się przede wszystkim o uniknięcie nadużyć, lecz namiętność, którą się codzień zasila chociażby dozą rozkoszy nieskończenie małą, kpi sobie z wszelkiego wyrachowania. Działa ona podobnie jak rak, co toczy ciało i wreszcie je pożera. Podobna jest do górskiego potoku, który powoli rozluźnia kamienie tamy, a później, przerwawszy ją nagle, wszystko unosi ze sobą. W ten sposób i oni zostali uniesieni, pożądliwości cielesne zdobyły ponownie w nich swe pozorne prawa nad umysłem. I zamiast młodzieży zdrowej, pracowitej, inteligentnej, na której prawdziwe talenty ojczyzna słusznie liczyła, mamy teraz przed sobą „suche owoce” — czyli ciała przedwcześnie zużyte z zaciemnioną inteligencją, osłabioną wolą i sercem ścieśnionem. Gdyż zmysłowość nie tylko poniża ciało, osłabia inteligencję i niszczy wolę, wysusza ona jeszcze serce, kurcząc je jak listek opadły.

Skutki moralne

„Oświadczam — wykrzyknął niegdyś Lacordaire — iż nigdy nie znalazłem tklivości serca u młodzieńca zepsutego. Spotykałem zawsze tylko takie kochające dusze, które nie znały złego, lub z niem walczyły. Istotnie bowiem,

¹⁾ Payot: *Kształcenie woli*, str. 210.

skoro ktoś przyzwyczai się do gwałtownych wzruszeń, jakżeż chcecie, by serce, roślina tak delikatna, chwiejąca się za lada powiewem, której za posiłek starczy parę kropel rosy niebieskiej, którą uszczęśliwia na wiele dni wspomnienie wyrzeczonego słowa, rzuconego spojrzenia, otuchy, dodanej słowami matki lub uściskiem dłoni przyjaciela; by serce, które tak spokojnie bije, z natury będąc prawie niezmysłowe, właśnie spowodu swojej wrażliwości, z obawy, by go nie złamała miłości jedna kropla, gdyby Bóg uczynił je mniej głębokiem, jakżeż — powtarzam — chcecie, by serce przeciwstawiało swoje słodkie i kruche radości plugawym rozkoszom zepsutego poczucia moralnego? Zmysły są egoistyczne i żyją tylko sobą; serce, szlachetnem będąc, żyje poza sobą; jedna z tych dwu dążności musi przeważyć. Jeśli zepsute poczucie moralne odniesie zwycięstwo, serce powoli więdnie, nie odczuwa już silnie pełnych prostoty radości, nie garnie się do bliźnich, wreszcie bije już tylko po to, by kierować obiegiem krwi i wybijać godziny pełne hańby, których upływ przyspiesza rozpusta¹⁾).

Tak oto zaledwie w zarysie przedstawiają się niektóre antyspołeczne skutki samolubnej zmysłowości młodości. Chodziłoby obecnie o znalezienie skutecznego lekarstwa na tyle zła.

IV

Środki zaradcze przeciw zmysłowości

Przypomnijmy sobie przy okazji to, cośmy już tylokrotnie stwierdzali: „Lekarstwo znajduje się w samym łonie zła”. Zło zmysłowości pochodzi istotnie i jedynie z tego, że źle miłujemy samych siebie. Aby więc zaradzić złemu, musimy siebie należycie umiłować, nie zaś siebie znieńwidzić. A „kochać siebie jak należy” znaczy jedynie miłować w sobie wszystko to, co nas

¹⁾ Lacordaire: *Conf. de Notre Dame*, 1844. 22-ga Konferencja.

podnosi, a nie to, co nas upadla, kochać w sobie człowieka, nie zaś bydlę, a chrześcijanina bardziej jeszcze niż człowieka.

Wrażliwość

Nie zabroniono nam np. kochać naszego ciała; jedyną rzeczą, której nam nie wolno, to kochać ciało kosztem duszy. Przypuśćmy jednak na chwilę, że wolno nam ofiarować ciału wyjątkową miłość z pominięciem koniecznego podporządkowania się wymagań cielesnych prawom ducha. Otóż nawet przy tej absurdalnej hipotezie nikt nie dowiedzie, by egoizm zmysłowy był ostatniem słowem mądrości. Sam Epikur uczył, że mądrzej jest przekładać ponad gwałtowne i chwilowe rozkosze lubieżności radość subtelna a trwałą. W ten sposób już nawet dobrze rozumiana miłość ciała, gdy ją rozpatrujemy samą w sobie, potępia stanowczo zmysłowość.

Cóż jednak powiemy wówczas, gdy zamiast patrzeć na ciało jako na niezależną rzeczywistość, mającą swoje odrębne życie, rozpatrzymy je w stosunku do duszy? Jasną wówczas będzie rzeczą, że nawet dozwolone przyjemności cielesne, wynikające ze zdrowia fizycznego, z harmonji organów, z subtelnej złożoności wrażeń nerwowych, nie są celem same w sobie; są bowiem podporządkowane wyższym radościom inteligencji i serca. Stąd więc winniśmy bezlitośnie usuwać wszystko, co w tych przyjemnościach mogłoby zepsuć owe wyższe radości albo je naruszyć. Nie chodzi o to, by młodzieli wszystko widziała, wszystko czytała, wszystkiego słuchała, wszystko czyniła, lecz by widziała, czyniła, słuchała i czytała tylko w takiej mierze, jaka pozwoli jej uszlachetnić inteligencję i rozszerzyć serce.

Kultura intelektualna

Jako chrześcijanie i ludzie uczciwi mamy obowiązek przede wszystkim rozwinąć swą inteligencję, bo przez to jedynie możemy zdobyć doskonałość. Nie wszyscy oczywiście czujemy powołanie intelektualne, czyli

zamiar pielęgnowania nauki dla niej samej. Wszyscy jednak jesteśmy powołani do osiągnięcia możliwie najwyższego stopnia inteligencji. Gdy więc studja same w sobie nie pociągają nas, starajmy się przynajmniej z ich pomocą stworzyć sobie godną szacunku przyszłość. Niema studenta, któryby chociaż takiej nie żywił ambicji! Już ona sama stanowi dobre lekarstwo na zmysłowość. Ambicja bowiem posiada szczególną właściwość przyciągania zasobów energii, które ją wzmogą, inne zaś odpycha. Młodzieniec, który dojdzie do czystości przez ambicję, niewątpliwie przywiąże się później do samej czystości, gdy zasmakuje w jej nieporównanym uroku.

Kultura moralna

Powinniśmy jednak nie tylko dlatego być czystymi, by rozwijać inteligencję, lecz zwłaszcza po to, by „rozszerzyć” serce. Uczciwy człowiek, tem bardziej zaś chrześcijanin powinien być człowiekiem istotnie dobrym, to znaczy, że jego dobroć powinna mieć tylko te granice, które jej wyznaczają rozum i wiara. Ponieważ zaś niema nic lepszego dla przytłumienia interesownej miłości własnej nad bezinteresowną miłość dla drugich, dodam zaraz, uzupełniając swą myśl, że nawzajem nic tak jak czysta i bezinteresowna miłość nie potrafi przywieść nas do kochania drugich bez względu na własną korzyść. Wówczas będziemy służyć bliźnim, zamiast się nimi posługiwać, miłować ich bezinteresownie, zamiast ich kochać dla siebie.

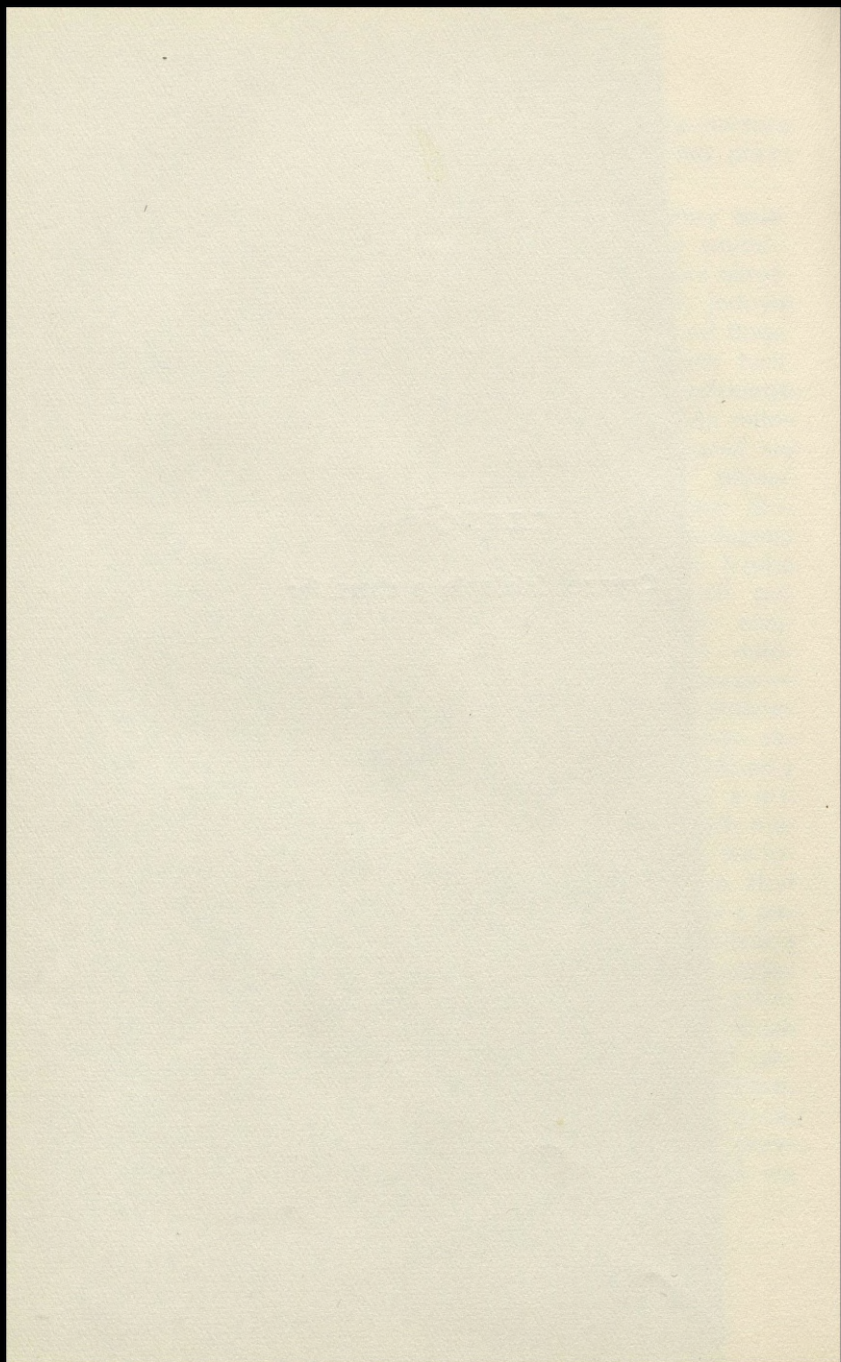
Przed chwilą mówiłem o małżonce, która zasiadzie kiedyś przy naszym domowym ognisku. Korzystając ze sposobności, powiem teraz, że znam młodzieńców, którzy zachowali swą czystość dzięki szacunkowi, jakim już naprzód darzyli swą przyszłą małżonkę, dzięki bezinteresownej miłości, którą zgóry jej ofiarowali. Nie wystarczy to jeszcze, by uczynić ich czystością godną zastugi, lecz podobne motywy zachowania czystości, gdy zapanują w szczerem sercu, powoli

pokierują je ku najwyższemu ideałowi, który narzuca się naszej ogólnej działalności i oczyszcza nas przez samą swą wzniosłość.

Naostatek powiedzmy sobie, iż nie jesteśmy aniołami; winniśmy z tego wysnuć odpowiednie wnioski. Lepiej jest według mnie dojść do Boga drogami okrężnymi, skoro nie możemy zdobyć się na to, by jednym skokiem przebyć odległość, oddzielającą nas od Boga. W tym również sensie miłość ludzi, wszystkich tych, którzy są naszymi braćmi wskutek swego ludzkiego i boskiego przeznaczenia, może nas powieść do miłości Boga. Można bowiem zacząć od dostrojenia się do poglądów swojej epoki, starając się płynąć z współczesnym prądem solidarności i kochając drugich dla ludzkiego pierwiastka, który znajdujemy zarówno w nich, jak i w nas. Później atoli trzeba wznieść się ponad współczesność, kochając ich po-za-tem dla pierwiastka boskiego, który się znajduje zarówno w nich jak i w nas. Stąd do miłości Boga dla Niego samego i ponad wszystkie rzeczy — już tylko krok niewielki; gdy go raz zrobimy, będziemy ocaleni. Albowiem kochając Boga dla Niego samego, pokochamy w Nim innych i siebie. Zejdziemy bezpiecznie z pochyłości, na którą wchodziliśmy z trudem. Zasmakowawszy raz na zawsze w radościach niebiańskich, ocenimy ziemskie podług ich słusznej wartości; w stosunku do nieba ziemia wyda nam się zbyt małą, tęsknota za szczytami uleczy nas z zażyłości z padodem. Tak czyni podróżny, gdy wiedziony miłością gór, wdarł się na szczyty. Nagle widnokrąg jego niepomniernie się rozszerzył; niebo stało się głębsze, a horyzont bezkresnym. Ujrzał u swych stóp łańcuch wzgórz i lasy milczące. Do uszu jego dobiegł jak-gdyby szmer głosów ludzkich, wznoszący się z miast. W takiej chwili niewymowna radość zalewa mu serce, radość oderwania się na chwilę od marności przyziemnych i panowania wzrokiem nad całą ziemią we wzniosłym osamotnieniu.

CZĘŚĆ III

Czynne działanie a charakter



Rozdział I

NAWYK

Zaznajomiliśmy się już z rolą *ideału* i *namiętności* w kształceniu charakteru. Z pomocą energii i zręczności wola umożliwić sobie *praktyczne* skojarzenie wzruszeń *namiętnych* i *uczuciowych* z *ideałem* chrześcijańskim, by w ten sposób ożywić i wzmocnić w sobie ową *miłość ideału* i ustanowić jej *absolutne* panowanie nad całą dziedziną naszej *wrażliwości*. Niestety praca nad kształceniem charakteru nie jest pracą jednego dnia, lecz dziełem, zakrojonem na długi przeciąg czasu. Nie wystarczy bowiem wiedzieć, że możemy posłużyć się swymi *namiętnościami* i *najlepszymi* uczuciami, by móc uzgodnić swe codzienne postępowanie z *życiowym ideałem*, który się nam narzuca; rzeczą niezwykle ważną jest *rzeczywiste* posługiwanie się temi *namiętnościami* i to w sposób *ciągły* a *wytrwały*. Jakże dojść do tego? Przez *czynne działanie*. Działanie to przybiera dla nas formę dwojaką: *przyrodzoną* i *nadprzyrodzoną*¹⁾. Działanie *przyrodzone* powinno doprowadzić do *wyrobienia* w nas *trwałych na-*

¹⁾ Wielu krytyków obruszyło się na to rozróżnienie, które ustalamy tutaj pomiędzy *działaniem przyrodzonym* a *nadprzyrodzonym*. Przenieśli oni jednak do *praktyki* rozróżnienie, które zakładamy w *teorii* dla potrzeb analizy. W *praktyce* człowiek *uczciwy* i *chrześcijanin* — to jedno. Tak jednak, jak wyróżnić możemy w *ideałe chrześcijańskim* punkt widzenia *ludzki* i *boski*, podobnie, gdy chodzi o realizację tego *ideału*, możemy powiedzieć, że *działanie chrześcijańskie* posiada stronę *przyrodzoną* i *nadprzyrodzoną*. Obie zależą od *taski*, lecz nie z tego samego tytułu.

wyków *moralnych*, które raz zdobyte, ułatwią nam i uprzyjemnią nasze zadanie. Nadprzyrodzone zaś działanie z tem wszystkiem, co zawiera, to jest łaską, modlitwą, uczęszczaniem do sakramentów, praktykowaniem miłosierdzia we wszystkich jego odmianach, będzie dla nas cenną pomocą, ponieważ niewątpliwie łaska nie niszczy natury przyrodzonej, lecz ją udoskonala, nie osłabia ona człowieka, lecz go czyni wielkim, nie osłabia go, lecz wzmacnia. Obecnie zajmemy się rolą *działania przyrodzonego* w kształceniu charakteru, powrócimy oczywiście później do szczegółowego rozwinięcia roli *nadprzyrodzonego działania*¹⁾.

Jak już powiedzieliśmy, *działanie przyrodzone* ma na celu ułatwienie nam nabycia trwałych nawyków *moralnych*, które rozłożone *inteligentnie* wokoło *osi wolicjonalnej*, stworzą z nas ludzi z charakterem. Co nazywamy jednak nawykiem *moralnym*? Na czem dokładnie polega jego *moralność*? Na oba te przedwstępne pytania postaram się odpowiedzieć.

I

Istota nawyku

Wszyscy wiemy, co ogół rozumie przez słowo „nawyk”. Jest to dążność do odtwarzania czynów analogicznych z łatwością i przyjemnością, *nabyta* przez powtarzanie pewnych aktów. Stąd wynika, że nawyk *moralny* nie będzie niczem innym jak dążnością do powtarzania w sposób łatwy i przyjemny czynów *moralnych* jedynie spowodu tej ich powtarzalności. Aby ułatwić zrozumienie tej definicji, wystarczy oznaczyć możliwie najwyraźniej *rację bytu* nawyków w naszym ustroju *moralnym*.

¹⁾ Patrz: *La Virilité Chrétienne*.

Przyczyny istnienia nawyków

Weźmy dziecko w wieku używania rozumu, właśnie wtedy, kiedy świadomość godności chrześcijańskiej każe mu spełniać czyny, zgodne z odpowiednimi zasadami ludzkimi i boskimi. Stan duszy dziecka nie jest wówczas tak prosty, jak mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Nie chcę mówić o nieudolności jego małej inteligencji, która zaledwie otworzył się na przyjęcie prawdy, z jasności jej chwytając jedynie to, co może schwycić. Wprawdzie ilość zdobytej prawdy pozwala dziecku stawiać pierwsze w życiu kroki, nie wystarcza jednak, by mogło się obejść bez ciągłej opieki. Pomówimy raczej o woli tego dziecka. Jest ona zawsze czemś bardzo delikatnym i kruchym. Ponieważ przez długie lata pozostawała jakby w powijkach wrażliwości, wydobywa się więc z nich z wielkim trudem. Oczywiście nie jest martwa, lecz zdrętwiała. Otóż tak samo jak nogi dziecka tracą odrętwienie przy chodzeniu, tak samo wola rozwija się przez działanie. Skutkiem wysiłków woli, mówiąc inaczej, wskutek spełniania aktów wolicjonalnych dziecko zdobywa powoli samą wolę.

Nie należałoby jednak sądzić, że umysł dziecka jakoby dlatego, że jest młody i że życie nie zdążyło jeszcze wpoić mu swych błędów, znajduje się w stanie nieskażonym, w którym wola boskiego dobra nie napotyka żadnego oporu. Równałoby się to bowiem przypuszczeniu, że dziecko od urodzenia otrzymało zupełnie już wyrobioną wolę, i co za tem idzie, że jego zmysły z natury swej skierowane są ku Bogu. A przecież stwierdziliśmy, że tak nie jest. Wola dziecka wyrabia się powoli kosztem bezustannie odnawianych i energicznych wysiłków w pracy nad sobą. Tych aktów woli może być nieskończone mnóstwo. Podobnie władze zmysłowe nie zgodzą się na poddanie się pod jarzmo ideału tak surowego jak chrześcijański, jeżeli wola nie przygotowuje ich na długo przedtem, gdyż moralne kształcenie wrażliwości jest przede-

wszystkiem sprawą wzbudzenia zapału w naszej woli i nadania jej giętkości. Oczywiście wiem dobrze, że przychodzą na świat dzieci, którym zależy usposobienia ogromnie ułatwiają kształcenie moralne. Po pierwsze jednak dzieci te są wyjątkami. Poza tem najbardziej nawet obdarowane przez naturę spośród nich nie są zwolnione od działania. Co innego bowiem jest nie być skłonny do złego dzięki szczęśliwemu usposobieniu, a co innego być pociągniętym do dobrego skutkiem wysiłków woli i energii. Niektórzy ludzie żyją cnotliwie, ponieważ nie są zdolni do nałogu; inni zaś stają się cnotliwymi pomimo nałogowych dążeń. Tych właśnie, nie zaś owych pierwszych, nazwiemy ludźmi z charakterem.

Z powyższych rozważań wyprowadzam wniosek, że dziecko, w wieku, kiedy uświadamia sobie obowiązek działania według rozumu i wiary, znajduje się w stanie najwidoczniejszej niższości, właśnie dlatego, że jest dzieckiem. Któż mu pomoże wydobyć się z tego stanu? Któż poobcina kolejno więzy zmysłowe, przywiązujące je do ziemi i nadające jego duszyczce wygląd balonu na uwięzi, niezdolnego do wzniesienia się w górę? Oczywiście, że uczyni to woła, ale woła czynna, która ani na chwilę nie porzuca swych zobowiązań i bez zdenerwowania i bez zmęczenia, powoli a pewnie zasila się i wzmacnia własnymi czynami.

Istotnie z kształceniem charakteru dzieje się podobnie jak z nauczaniem. „Gdy dziecko nie stosuje w praktyce jakiejś reguły gramatycznej — zauważył Kant — nie zna jej, chociażby ją nawet wygłaszało. Ten zaś niechybnie zna ową regułę, kto ją stosuje w praktyce, mniejsza z tem, czy ją wygłasza. Najlepszy sposób nato, by zrozumieć jakąś rzecz, jest zrobić ją samemu. Wyuczamy się najtrwalej i najlepiej pamiętamy rzeczy, których się nauczyliśmy samodzielnie”. Nie na wiele zdałoby się dla dziecka po-

znanie i wygłaszanie napamięć katechizmu, gdyby nie stosowało ono w praktyce przykazań w nim podanych. Znam ludzi, którzy niegdyś zdobywali pierwsze nagrody w nauce religii a później zostali fanatycznymi i osławionymi wrogami Kościoła. Najlepiej znamy te reguły moralne, które sami w czyn wprowadzamy. Człowiek naprawdę czysty wie o wiele więcej w dziedzinie czystości — chociażby był analfabetą — niż genialny pisarz, żyjący niemoralnie a rozprawiający bardzo wzniośle o nieporównanym uroku tej cnoty, której sam nie posiada. Działanie więc odgrywa w kształceniu rolę kapitalną, przewyższającą znaczeniem wszystkie najlepiej przemyślane i napisane traktaty. „Jeżeli część dokonanej pracy układa się w pamięci [dziecka] w postaci wspomnień, to natomiast działalność jego układa się [w niem] w postaci nałogów czynnych. Nic nie ginie w naszym życiu psychologicznym: przyroda jest rachmistrzem drobiazgowym. Czyny nasze, nawet najbardziej nieznaczne napozór, byleby tylko powtarzane, po tygodniach, miesiącach i latach tworzą całość ogromną, która się zapisuje w pamięci ustrojowej pod postacią niedających się wykorzenić nałogów. Czas, ten tak cenny sprzymierzeniec wyzwolenia naszego, pracuje z tym samym uporem spokojnym na niekorzyść naszą, gdy go nie zmuszamy do pracy na nasz pożytek. Dla nas albo przeciwko nam użytkowyywa on naczelne prawo psychologii: prawo nałogu. Wszechwładny i pewny zwycięstwa nałóg posuwa się krokiem zdradzieckim i jakgdyby bez pośpiechu. Rzekłbyś, iż zna on cudowną skuteczność działań powolnych, powtarzanych nieskończoną ilość razy. Po dokonaniu pierwszego czynu, nawet przykrego, powtórzenie jego mniej już kosztuje. Za trzecim, za czwartym razem wysiłek zmniejsza się jeszcze bardziej i maleje ciągle aż do zaniku. Co mówimy: do zaniku?! Czyn ten, tak trudny spoczątku, stanie się powoli potrzebą, zrazu był on wyraźnie nieprzyjem-

nym, a teraz niewykonywanie jego stanie się przykrem¹⁾).

W gruncie więc rzeczy przyczyną istnienia nawyku moralnego jest zarządzenie naturalnej słabości naszych władz aktywnych, wielokrotne wzmoczenie ich działalności i co za tem idzie, skierowanie nas ku dobremu jakby w zupełnie naturalny sposób. W tem znaczeniu nawyk staje się naprawdę *drugą naturą*. Kiedy jednak swoją właściwą naturę otrzymaliśmy w stanie zupełnie wyrobionym, bez jakiegokolwiek udziału z naszej strony, nawyk jest naszym własnem dziełem. Nabywając go, tworzymy siebie samych. A to mi daje sposobność do pomówienia o stopniu moralnej wartości nawyków moralnych.

II

Wartość moralna nawyków

Niektórzy filozofowie odmówili nawykom moralnym znaczenia moralnego. Może się to wydawać paradoksem, niemniej jednak pozostanie faktem. Jeżeli cnota jest nawykiem czynienia dobrze — twierdzą oni — stanie się ona wreszcie jakby rutyną, z której usunięto wolność.

Zmniejszając bowiem wysiłek, nawyk równocześnie zmniejsza zasługę i w ten sposób narusza moralne znaczenie naszych czynów. Stąd ich wniosek: zdobywajmy możliwie jaknajmniej dobrych nawyków.

Raz jeszcze spotykamy się z jedną z tych książkowych teoryj, którym nigdy niedość się przeciwstawić, tak zgubny jest ich wpływ w praktyce. Prawda najzupełniejsza, że czyn cnotliwy jest tem bardziej godny zasługi, im więcej wymaga wysiłku ze strony tego, kto go spełnia, oraz, że czyn ten jest wytworem naszej wolności. Nie w tem jednak leży zagadnienie. Prze-

¹⁾ Payot: *Kształcenie woli*, str. 142.

ciwnie, chodzi o poznanie, czy jest rzeczą możliwą, by człowiek dobrej woli, niezmiernie wrażliwy na głos obowiązku, wkładał bez wytchnienia w każdej chwili swego życia, nigdy się nie wyczerpując, zawsze taką samą sumę wysiłków, jaką włożyć musiał w spełnienie czynu na początku pracy nad sobą. Na to pytanie ogół na mocy doświadczenia odpowie bez wahania: *nie, to jest niemożliwe*. Nato więc, by mieć odwagę twierdzić coś przeciwnego, trzeba utracić poczucie rzeczywistości, lub też nigdy nie być zmuszonym do walki z własnym niesfornym temperamentem, ani do reagowania na gwałtowne namiętności, do walki z pewnemi pokusami, lub usuwania trudności w danych okolicznościach. Sama chociażby perspektywa koniecznego odnawiania ciągle tej walki, w tych samych warunkach i bez wytchnienia, wystarczyłaby do odebrania męstwa najodważniejszym.

Nawyk a wolność

Toteż, zdaniem najlepszych psychologów, dobry nawyk, który wyrobiliśmy w sobie, zamiast zmniejszać wolność, zwiększa ją. „Mówi się zupełnie nieśluszenie — pisze jeden z nich — jakoby on (nawyk) zmuszał do zastąpienia moralnego wysiłku, jedynie godnego zasługi, przez automatyczną, bezwartościową cnotę, będącą rodzajem użytecznej i szczęśliwej rutyny. Dzieje się coś wręcz przeciwnego: ta niezawodność działania nawyku, nabyta lub raczej zdobyta, jest najwyższym stopniem zasługi i najwyższą wolnością¹⁾”). Nikt nie jest naprawdę wolnym — podkreślmy raz jeszcze — kto na to nie zasługuje. Zasługujemy zaś na tę wolność właśnie przez nabywanie nawyków moralnych. Nawyk bowiem jest, biorąc dosłownie, sprężyną naszej wolnej działalności z przyczyn wszelkiego rodzaju, z których najważniejszą jest ta, że nabywamy go *aktami wolicjonalnemi*, nieustannie powtarzaniem, i że wówczas, pod

¹⁾ Marion: *La Solidarité morale*. Paris, Alcan, str. 106.

jego dobroczynnym naporem, codzień coraz bardziej władamy sobą, co jest, przyznamy chyba, ideałem, do którego dążyć powinno kształcenie charakteru.

Jednakże możnaby postawić zarzut następujący: wiadomo, że nawyk, zmniejszając wysiłek, zmniejsza świadomość. Dochodzimy więc w ten sposób do instynktownego, machinalnego spełniania obowiązku. Zarzut ten nie jest nowy i, by nań odpowiedzieć, nie posunę się do twierdzenia, że do tego właśnie dążyć ma kształcenie charakteru; że nie jest ono zupełne dopóty, dopóki to, co było świadome, nie przejdzie w nieświadomość, to znaczy, gdy dojdziemy do uderzania w klawisze cnót z zamkniętymi oczami, tak, jak artysta gra na swym instrumencie. Zalety bowiem charakteru, jak wola, wytrwałość, inicjatywa i t. d., nie są pochodniami abstrakcyjnego rozumowania i nie można się ich nigdy nauczyć z książek. Utrwalają się one dopiero wówczas, gdy odziedziczone lub nabyte, stały się nawykami, wymykającymi się zupełnie spod sfery rozumowania¹⁾.

Doprawdy, moralność rozprawiająca jest marną moralnością, a skrupulat np., który trawi życie na roztrząsaniu najmniejszych swych poczynań, jest nieraz zupełnem przeciwieństwem człowieka czynu. Ale stąd jeszcze bardzo daleko do twierdzenia, że sumienne wypełnianie obowiązku powinno ostatecznie doprowadzić do wyłączenia świadomości z dziedziny moralnej. Nawet sama złożoność życia moralnego przeciwstawia się takiemu pogładowi. Gdyby akty cnót przedstawiały się nam zawsze w jednakowy sposób, w tej samej postaci i w tych samych okolicznościach, możnaby mieć nadzieję, że po dziesięciu czy dwudziestu latach ich praktykowania spełnialibyśmy je machinalnie, na ślepo. Tak jednak nie jest. Nietylko z dnia na dzień, ale w każdej godzinie istnieje dla tej samej jednostki tysiąc sposobów ćwiczenia się w roztropności, spra-

¹⁾ G. Le Bon: Dzieło cytow., str. 204 i nast.

wiedliwości, miłosierdziu, mocy, wstrzemięźliwości, czystości i pokorze. Ścieżki obowiązku krzyżują się bowiem jakby w nieskończoność. Nie można się poruszać w nich szybciej niż w lesie dziewiczym, który zawsze gotuje podróżnikowi niespodzianki. Pod każdym aktem moralnym, jak pod każdym liściem w lesie, może się ukrywać wąż jadowity, i fakt, że przez dwadzieścia lat uniknęliśmy jego ukąszenia, nie jest absolutnem zabezpieczeniem na przyszłość. Niema więc ani chwili w naszym życiu, w której podczas działania nawyku świadomość mogłaby drzemać. Klawiatura cnoty tem się różni od klawiszów naszych instrumentów muzycznych, iż nie ma jak one określonej liczby tonów, ani gam. Niewątpliwie fakt wydobywania z niej harmonijnych akordów od najwcześniejszego dzieciństwa daje nam zadziwiającą biegłość gry, ponieważ jednak liczba kombinacji akordów jest niewyczerpana, nie powinniśmy nigdy przerywać nad nią studjów. Oto dlaczego kształcenie charakteru jest dziełem całego naszego życia. Nigdy bowiem święci, będący wielkimi artystami w porządku moralnym, nie ustają w czuwaniu, ani powiększaniu wysiłków, spełnianych z coraz mniejszym trudem, lecz z coraz większą zasługą.

Z tego wnioskuję, że nawyk moralny, który posiada wartość równą cnocie, jest najwyższym stopniem zasługi, tak jak cnota jest najwyższą wolnością.

Rozdział II

PRAWA TWORZENIA SIĘ NAWYKÓW

Nie wystarczy oświadczyć w sposób ogólnikowy, jak to czyni wielu psychologów, że nawyk zyskuje się przez czynne działanie i że jego rozwój jest wprost proporcjonalny do powtarzalności danych czynów. O wiele ważniejsze jest poznanie, jakim prawom podlega owa powtarzalność, aby wywołać skutki dodatnie. Praw tych istnieją dwa rodzaje, zależnie od tego, czy dotyczą higieny duszy, czy regulują ćwiczenia jej władz duchowych. Chciałbym poświęcić rozdział niniejszy rozpatrzeniu wspomnianych praw pod tym właśnie podwójnym kątem widzenia. Niema chyba tematu bardziej interesującego i zarazem ważniejszego. Dodać jednak muszę, że żadnym chyba tematem mniej się nie zajmowano. Proszę więc nie brać mi za złe, że położę nań nieco nacisku.

I

Higjena duszy

Higjena fizjologiczna Dobrze zrozumiane i przestrzegane prawa higieny cielesnej z natury swej sprzyjają rozwojowi i zachowaniu zdrowia fizycznego; to samo dzieje się z prawami higieny moralnej w stosunku do zdrowia duszy. Podobnie jak możnaby zdefiniować zdrowie fizyczne jako równowagę fizjologicznych funkcji ciała, nie widzę żadnej przeszkody w określeniu zdrowia duszy jako

równowagi jej funkcji moralnych. A wówczas wystarczy rzucić okiem na sposób, w jaki prawa higieny cielesnej stosowane być powinny, ażeby zapewnić naszemu temperamentowi psychicznemu równowagę jego funkcji i równocześnie odgadnąć postawę, jaką winniśmy zająć z higienicznego punktu widzenia, jeżeli zależy nam na ochronie zdrowia duszy. Nie mam zamiaru wyklądać w tej książce higieny. Większość moich czytelników zna ją lepiej ode mnie. Ponieważ jednak o życiu duszy sądzić możemy tylko z porównań, wziętych z życia ciała, muszę zapaść się w pewne szczegóły, dotyczące normalnego funkcjonowania życia organicznego, aby określić, pod jakimi warunkami władze duszy działać mogą prawidłowo. Otóż zdaniem koryfeuszy nauki, zdrowie naszego ciała zależy przede wszystkim od równowagi dwu następujących funkcji: oddychania i odżywiania się. Niema siły fizycznej bez przyswajania sobie za pośrednictwem płuc czystego powietrza a zdrowych pokarmów przez żołądek. Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić, iż niema nic łatwiejszego, jak dostarczenie naszemu ciału tych „pierwiastków życia”, których ono potrzebuje. Wcale tak jednak nie jest. Niewątpliwie nie braknie nam ani czystego powietrza, ani zdrowych pokarmów, lecz to my właśnie, by je dla siebie zdobyć, w większości wypadków postępujemy wbrew wszelkim zasadom higieny. Wielu studentów natychmiast prawie po wstaniu wchodzi do pokoju, w którym okna od wczoraj bodaj były zamknięte. Siadają przy stole do pracy. Po pewnym czasie mają wrażenie, że im praca nie idzie, nie czują się do niej usposobieni, głowa im cięży, krew napływa do skroni. Co czynić? Może wystarczyłoby otworzyć okno na kilka minut, by odświeżyć powietrze, zużyte długim oddychaniem. Jednakże na otwarcie okna trzeba się zmusić do poruszenia się, do przerwania lektury wesołej gazety, ponętnego romansu, specjalnie trudnego zagadnienia egzamino-

wego, trzeba nieraz zerwać wątek jakiegoś sentymentalnego marzenia, na którym bardziej zależy niż na świeżem powietrzu dla płuc. Dlatego to młodzieniec, czując się niedobrze, woli nie fatygować się, lub jeśli wstanie, to nato, by powatęsać się po ulicy i stracić drogocenny czas na głupstwa. A tak łatwo byłoby postarać się o trochę świeżego powietrza. Nasze ciało miałoby się lepiej, rozbudziłaby się inteligencja, zwłaszcza zaś wola wzmocniłaby się tym wysiłkiem nad sobą dla wyrwania się z przyrodzonej gnuśności. My jednak gardzimy rzeczami prostymi; lekceważymy mnóstwo znikomych czynów, które spełniać należy po sto razy na dzień, jeśli zależy nam na tem, by zdrowy temperament służył zdrowej duszy w myśl zasady: *mens sana in corpore sano*. Dobrze byłoby jednak pomyśleć o tych właśnie drobnostkach, gdyż dzięki nim zdobyć można zarówno zdrowie cielesne, jak i duchowe.

Mówiłem przed chwilą o higjienie oddychania. To samo lub więcej jeszcze możnaby powiedzieć o higjienie odżywiania się. Wszyscy specjaliści od tych kwestyj stwierdzają zgodnie, iż naogół w dzisiejszych czasach jemy i pijemy za wiele; olbrzymia praca, jaką spełniają nasze organa celem przyswojenia sobie wszystkich zjedzonych przez nas pokarmów, jest bardzo szkodliwa dla całego organizmu i z pewnością odbija się nader ujemnie nawet na życiu umysłowem i moralnem.

Czyż więc trzeba stać się „jaroszem” i zapisać się na członka towarzystw abstynenckich, by ograniczyć się tylko do napojów, zwanych higjenicznymi? Są to oczywiście radykalne środki zaradcze, których nie można bezwzględnie narzucać wszystkim. Jest to po-za-tem, rzecz można, ideał, który nie ma daru pociągania zwłaszcza młodych ludzi. Mojem zdaniem istnieją bardziej nieodzowne środki zaradcze, o które niedość troszczą się nawet propagatorzy lekarstw radykalnych.

Zasadzają się one na tem, by codziennie zwracać uwagę na sposób odżywiania się i używania rozrywek i dostosowywać ilość napoju i jedzenia do ogólnego stanu zdrowia, natężenia pracy umysłowej i należytego spoczynku. Jest to jednak jarzmo, przeciw któremu buntuje się nasza wola leniwa. Nie lubimy „żyć według regulaminu”, nawet w najszerszym znaczeniu tego słowa, ponieważ to wyrwanie się z bezwładu drogo nas kosztuje, a uregulowane życie jest przeciwieństwem życia swobodnego. Mając zaś łatwa-dzieńcia, lubimy „żyć swobodnie”, gdyż ponosi nas żywiość temperamentu, brak troski o jutro, ciągną nas towarzysze zabaw oraz tysiączne okoliczności życia społecznego, które zdają się uprawniać wszystkie swawole ze szkodą dla najelementarniejszych zasad higieny.

Higiena moralna

Przejdźmy teraz z dziedziny fizycznej do moralnej. Tu również zetknijemy się z podobnymi fałszywymi poglądami. Dusza bardziej jeszcze niż ciało musi oddychać czystą atmosferą i posilać się zdrowym pokarmem, ponieważ skutków chorób cielesnych niepodobna porównywać z rezultatami chorób duszy. Co więcej, zdrowie duszy jest niezwykle delikatne; drobnostka może mu zaszkodzić i to na zawsze.

Iluzją jednak młodzieńców spędza większą część dnia, a nadewszystko wieczory, w niemożliwej do oddychania atmosferze moralnej, przesiąkniętej wyziewami sceptycyzmu i zmysłowości! Spotkać ich można prawie wszędzie, zwłaszcza tam, gdzie hołduje się zasadom łatwego życia. Przeważna część ich siły duchowej rozprasza się w uroczystościach, wizytach, zabawach i widowiskach. Dzieje się to nawet nie dlatego, by młodzi lubowali się złem; większość ich przyzna w chwilach szczerości, że taki tryb życia ciąży im, że cierpią na tem ich przekonania i uczucia, a duszy braknie oddechu. Trzebaby jednak zrobić wysiłek, by wyrwać się spod jarzma podobnych przymusów spo-

tecznych, otrząsnąć się z apatii i zerwać otwarcie z zastarzałym nawykiem zniewieściałości. Nie mają jednak na to odwagi.

Gdyby przynajmniej dla zobojętnienia tych zgubnych wpływów zasilali swą inteligencję i serce zdrowymi myślami i silnem uczuciem! Czynią jednak wręcz przeciwnie. Wewnętrzne życie prowadzą taksamo denerwujące i rozproszone, jak zewnętrzne. Wielu nie pracuje wcale, lub pracują miernie, conajwyżej na dwa miesiące przed okresem egzaminów. Wzamian za to *pochłaniają* wszystko, co im wpadnie w ręce, zwłaszcza zaś modne „banialuki” i „ciekawe” romanse. Zamiast w uczuciach prawych i szlachetnych szukać lekarstwa na pustkę w sercu, zamiast przygotowywać się przez długotrwałą pracę oczyszczenia moralnego do przyszłej roli małżonków i ojców, wolą snuć dalej marzenia, pomnażać liczbę chwilowych znajomości i marnotrawić w przypadkowych zetknięciach z ludźmi zapas wzniosłych i delikatnych uczuć, zaczerpniętych z domowego ogniska. Wszystko to czynią dlatego, że zbyt wiele kosztuje ich walka z rodzącymi się namiętnościami, reakcja przeciw wygodnictwu, zapobieganie złemu z pomocą drobnostkowych środków ostrożności, słowem — życie tak uregulowane, by prawdą zasilić inteligencję, a serce — męskimi uczuciami.

Wiem, że niektórzy młodzieńcy odkładają na później całkowite swe nawrócenie. Wówczas to, według ich mniemania, pod naporem wypadków, wobec konieczności życiowych *ustatkują się*, jak się wyrażają, cofną się wstecz i zadziwią świat uczciwością swych obyczajów i siłą przekonań. Cóż to za niebezpieczna utopia! Chodzi tu przecież o zdrowie zarówno ciała jak i duszy! Gdy ktoś je podkopał w młodości, żyjąc w środowiskach zatrutych, upajając się ich wyziewami codzien, jakgdyby dla przyjemności; gdy wszelkiemi sposobami przez krzyczące nadużycia zamącił równo-

wagę istotnych funkcji życiowych, z dnia na dzień nie odmieni już siebie, nie przywróci zmaganej równowagi.

II

Gimnastyka duszy

Dla utrzymania zdrowia fizycznego w kwitjącym stanie dużo znaczy zachowywanie elementarnych zasad higieny cielesnej. Jednakowoż one same nie wystarczą, należy je bowiem połączyć z ćwiczeniem mięśni, na co się wszyscy zgadzają. Jaką to jednak osiągnąć drogą? Na tym punkcie niema już zgody. Czy należy się ograniczyć do ćwiczeń umiarkowanych a regularnych, które nadając powoli sprężystości mięśniom i wzmacniając je, ułatwiają dobre funkcjonowanie organów, istotnych dla życia, i utrzymują zdrowie w stanie trwałej równowagi; czy też trzeba się uciec do gwałtownych sportów, które praktykowane bez miary, przynaję wprawdzie, że stokrotnie zwiększają siłę mięśni, lecz najczęściej dokonują tego ze szkodą dla ogólnego harmonijnego rozwoju.

Uczynię tu uwagę, która zresztą nie jest nowa: oto w czasach obecnych doszliśmy faktycznie w pewnych środowiskach do pomieszania dwu tak odrębnych rzeczy: zdrowia i siły mięśni. Wydaje mi się jednak, że łatwo możnaby uniknąć podobnego pomieszania, sprawa bowiem, jeżeli jej się przyjrzyć zbliska, wyrazi się w bardzo prostych słowach: czy zdrowie cielesne posiada wartość samoistną i należy starać się o nie ze względu na nie samo, czy też przeciwnie, posiada ono wartość względną, pochodzącą jedynie ze ścisłego związku z życiem duszy?

Sporty Osobiście nie należę do ludzi, którzy sądzą, iż celem naszego życia na ziemi jest dobre zdrowie lub dorównanie siłą mięśni atletom cyrkowym. Przykładając do sportów miarę względną, bez

trudności znajdziemy ćwiczenia, które należy zastosować. Najprostsze spośród nich będą zarazem najlepszymi, o ile naprawdę przyczyniają się do zwiększenia pojemności oddechowej naszych płuc, ułatwiają krążenie krwi, bogatej w czerwone ciążka, i powodują w nas żywą i energiczną pracę przyswajania pokarmów. Pierwszem więc prawem ćwiczenia muskułów będzie prawo — jakbym je chętnie nazwał — *nieskończenie małych ilości*. Na mocy tego prawa młodzieniec, słusznie dbający o swoje zdrowie, nie potrzebuje koniecznie uciekać się do ćwiczeń skomplikowanych i gwałtownych, chyba tylko, by je odbywać niekiedy i to jako zabawę. Przeciwnie, lepiej dlań będzie trzymać się metody prostych ćwiczeń gimnastycznych, naśladujących ściśle ruchy naturalne. Powtarzanie ich ustali w nim ostatecznie równowagę dyspozycji fizycznych. Prawo bowiem nieskończenie małych ilości, które określa *przedmiot* ćwiczeń cielesnych, uzupełnić należy prawem *ciągłości*, które przepisuje ich *formę*. To drugie prawo jest jakgdyby „duszą” cielesnej gimnastyki. Istotnie, jeżeli przestaniemy ćwiczyć wskutek znużenia, jeżeli chociaż trochę zmniejszymy wysiłki przed dojściem do zupełnego rezultatu, to w bardzo krótkim czasie stracimy cały zapas energii, który nabyliśmy dzięki długiemu zaprawianiu się. Przeciwnie zaś, jeżeli ćwiczymy wytrwale, stosując przytem pewną *metodę*, to po dłuższym czasie ćwiczenia cielesne, zamiast nas męczyć, staną się dla nas nawykiem, potrzebą, drugą naturą.

Nacisk, jaki kładę na szczegółowe rozpatrzenie praw ćwiczeń cielesnych, ma swoje uzasadnienie. Chodzi tu najpierw o nasze zdrowie fizyczne, które nie jest do pogardzenia. Ponadto ta gimnastyka prosta, lecz *metodyczna* jest bardzo ważnym przyczynkiem do kształcenia charakteru. Określono ją bowiem nader słusznie jako „*szkołę elementarną*” kształcenia woli. Ćwiczenia gimnastyczne ciała służyć mogą za wzór

gimnastyki duszy, której zdrowie, rzec można, uwzględnivszy wszelkie możliwe zastrzeżenia, podlega tym samym prawom, co zdrowie ciała.

Prawo nieskończenie małych ilości Psychologowie stwierdzają jednogodnie konieczność ćwiczeń duchowych. Różnią się jednak ich zdania, gdy chodzi o określenie rodzaju tych ćwiczeń. Przypominam sobie okres, kiedy uważano, iż ćwiczenia duchowe zasadzają się wyłącznie na codziennej lekturze jednego rozdziału z książki pobożnej lub ascetycznej. Wydaje mi się jednak, że prawdziwym ćwiczeniem duchowem powinno być raczej *działanie*, niż *lektura*, i że ponadto nie należy go nigdy przerywać.

Dusza posiada władze nieco podobnie, jak ciało posiada członki. I nawyki moralne są dla władz duszy tem, czem muskuły dla członków ciała; niezbędne więc jest ich wzmocnienie. Rozwój ich bowiem ułatwi duszy naszej funkcje moralne oddychania i odżywiania się, o których już mówiliśmy. Jasną jest rzeczą, że młodzieniec, posiadający zdrowe i trwałe nawyki, wyrwie się sam bez trudności z niezdrowego środowiska i odczuje potrzebę posilnego pokarmu moralnego.

Jakże jednak rozwinie w sobie owe nawyki? Przez ćwiczenie, przez zmuszanie się codzienne do zachowywania praw zupełnie prostych, lecz surowych, poczynawszy od *prawa ilości nieskończenie małych*. W dziedzinie moralnej młodzi ludzie nie potrzebują daleko szukać tych praw. Ich codzienne zadania są całkowicie wykreślone, ich obowiązki katolickiej młodzieży akademickiej dokładnie są wyznaczone na każdy dzień, na każdą godzinę. Jeżeli więc posiadają do nabycia dobrych nawyków naturalne skłonności, które przyjęto nazywać *cnotami usposobienia*, nic wówczas łatwiejszego, jak uwydatnić ich wartość

i umoralnić je. Jeżeli zaś przyszli na świat ze złemi skłonnościami, to z pomocą energii i roztropności potrafią napewno je unieszkodliwić i zastąpić lepszymi.

Prawo ciągłości Przypuszczam np., że młodzieniec skłonny jest z natury do wstrzeмиэliwości. Łatwo mu będzie wówczas zwrócić tę skłonność w kierunku ideału chrześcijańskiego i pozwolić spożytkować ją przez wolę. Jego zaś wola pod wpływem tego samego ideału wycisnie na owych naturalnych skłonnościach znamię moralne i przemieni je w cnotę. A co powinien czynić młodziemiec, posiadający usposobienie skłonne do złości i zmysłowości, gdyż padł tutaj ofiarą obciążeń dziedzicznych czy też natógów nabytych?

Niektórzy młodzi są w tej sprawie zwolennikami radykalnych środków zaradczych, gorzkich lekarstw, posuwają się nawet do wspomniania o habicie i klasztorze. Teoretycznie jest to — przyznaję — bardzo piękny gest, nie jest on jednak zawsze praktycznym, gdyż istnieją środki zaradcze mniej pociągające, a mimo to bardzo skuteczne, jak przemiana namiętności w cnotę i przeistoczenie złe zrozumianej miłości własnej w dobrze pojętą.

Narzuca się jednak wówczas konieczność pracy metodycznej; *prawo ilości nieskończenie małych uzupełnia się prawem ciągłości*. Nie potrzeba nam bohaterских wysiłków, które bardzo często osłabiają i zniechęcają zarazem, lecz trzeba nam wysiłków poważnych, powtarzających się, wytrwałych; przede wszystkim zaś chodzi o rozróżnienie, skąd pochodzą w naszym trybie życia codzienne upadki. Może płyną z lektury? Wówczas nie czytamy wcale lub czytamy mniej, czy też bardziej urozmaicamy lekturę. Może z chodzenia do teatru? Przestańmy więc tam chodzić, póki nie odzyskamy zdrowia na duszy. Może zaś z takiego czy innego towarzystwa? Mijmy przeto odwagę je zmienić. Być może wreszcie, iż jest to

jedynie kwestja temperamentu? W tym wypadku poradzimy się równocześnie lekarza i spowiednika.

Pamiętajmy jednak dobrze, że chorobliwy temperament moralny, taksamo jak temperament fizyczny, nie zmienia się z dnia na dzień przez gwałtowne reakcje, lecz powoli przez czyny bezustannie powtarzane.

Odsuwając więc bezpośrednie sposobności do upadku, chwyćmy się równocześnie środków pozytywnych, służących do nabycia i rozwoju cnót odpowiednich. Skoro jesteśmy zmysłowi, albo inaczej mówiąc, jeżeli mamy dążność do pielęgnowania namiętności egoizmu pod brutalną postacią zmysłowości, wzbudźmy w sobie myśl o egoizmie wznioślejszym, o cnotliwej miłości własnej. Wokoło tej idei zogniskujmy motywy najwłaściwsze do nadania jej siły atrakcyjnej, poczynawszy od motywów interesownych, jak np. wzgląd na naszą przyszłość, skończywszy zaś na najbardziej oderwanych od korzyści, jak miłość cnoty, wzgląd na godność ludzką, szacunek dla bliźnich i wzgląd na chwałę Bożą. W miarę rozbudzania w sobie tych wyższych podnieć namiętna, zmysłowa miłość, której jesteśmy ofiarą, oderwie się od niskich pobudek, które ją w nas podtrzymywały, i powoli się uduchowi. Nie przestając kochać siebie samych, a nawet wręcz przeciwnie, kochając siebie bardziej i lepiej, przemienimy tę ziemską miłość w miłość prawdziwą. Nasza wola wzmoże się wielokrotnie i skorzystawszy z uniesień, nierozłącznych z każdą silniejszą namiętnością, odda jej w formie wartości moralnej i trwałej, z nawyku płynącej energii to, co otrzymała od niej w formie siły przelotnej i działającej na ślepo.

Czyż to nie jest jednak — zapytałby można — ciągłem męczeństwem? Prawda, lecz to umieranie samemu sobie w każdej chwili naszego istnienia zawiera cenne zarodki życia. Na mocy bowiem prawa ciągłości, kierującego rozwojem nawyków moralnych, w miarę powtarzania naszych czynów wysiłki zmniejszają się.

Wreszcie doznajemy radości tam, gdzie początkowo odczuwaliśmy tylko znużenie. Radość bowiem odpoczynku rodzi się tylko z działania. Im intensywniej działać będziemy w tym właśnie kierunku, tem większą odczujemy potrzebę działania, a ciągłe zadowalanie tej potrzeby, doświadczane osobiście, wyda nam się najwyższą zdobyczą w dziedzinie zdrowia duszy. Jej bujność wówczas będzie jako kwiat, zdobiący wiek młody.

Rozdział III

NAWYKI MORALNE A CHARAKTER

Uwzględniając wywody poprzednie, moglibyśmy bez popełnienia nieścisłości określić charakter jako zespół nawyków moralnych, inteligentnie rozłożonych wokół osi wolicjonalnej. I czytelnik już teraz może odgadnąć trafność tej definicji, skoro prawdą jest, że człowieka z charakterem poznajemy po jednolitości i stałości jego postawy moralnej, i o ile jest rzeczą bezsprzeczną, jak to zaraz zobaczymy, że dobrze zrozumiane nawyki moralne są najlepszą rękojmią jednolitości i stałości tej postawy. Nawyk bowiem w stanie statycznym jest tem, czem są w stanie dynamicznym akty, które przyczyniły się do nabycia nawyku. Chodzi teraz tylko o poznanie, jaka grupa nawyków moralnych będzie mogła przyczynić się do wyrobienia charakteru i w jakich warunkach młodzieniec będzie musiał nią kierować — dla własnej korzyści.

I

Równowaga moralna

A priori zauważyć należy, iż istnieje wielka liczba nawyków, mogących przyczynić się do wyrobienia charakteru. Aby to stwierdzić, wystarczy zajrzeć do pierwszego lepszego podręcznika moralnego i rzucić okiem na rozdział o klasyfikacji cnót, gdyż w języku filozoficznym cnoty a nawyki moralne — to jedno. Równocześnie jednak narzuca się pytanie naglące zarazem i niepokojące: czy wolno mi w tej liczbie cnót

dokonać wyboru bardziej dostosowanego do moich szczególnych potrzeb, do mojej umysłowości, temperamentu i osobistych zamiarów, czy też przeciwnie, zobowiązany jestem w sumieniu do posiadania wszystkich cnót? Teoretycznie nie wolno nikomu wybierać pomiędzy nawykami moralnymi, praktycznie zaś nikt nie może się chwalić, że zdobył je wszystkie.

Łączność wzajemna cnót

Łatwo pojmujemy, iż gdy chodzi o dziedzinę moralną, wybór nie jest możliwy. Istotnie człowiek z charakterem jest sam przez się człowiekiem z poczuciem obowiązku. Jego celem jest urzeczywistnienie w całej pełni ideału życia, który narzuca się jego wolnej działalności. A przecież obowiązek ludzki w istocie swej nie wyłącza ze swej dziedziny żadnej cnoty. Jest on raczej punktem zbieżnym, gdzie ześrodkowują się wszystkie cnoty, jest ogniskiem, które je rozpromienia, słońcem, którego one są promieniami. Umyślne zgaszenie jedynie dla osobistych względów takiego, czy innego promienia cnoty byłoby równoznaczne z naruszeniem słońca obowiązku, będącego ogniskiem tych promieni. Nikt zaś do tego nie ma prawa. Ponadto doświadczenie wykazuje bezowocność podobnych poczynąń. Np. młodzieniec, któryby powziął postanowienie wyrobienia w sobie siły, nie dążąc równocześnie do wstrzemięźliwości, nie byłby ani silnym, ani wstrzemięźliwym, ponieważ obowiązek praktyczny wymaga siły połączonej z umiarkowaniem. W każdym zaś razie jego siła miałaby tylko pozory cnoty. Gdyż w danej hipotezie ćwiczenie się w cnocie siły startoby się z wymaganiami wstrzemięźliwości, i młodzieniec wskutek rozmyślnego nieumiarkowania nie doszedłby do celu, utknąwszy w pół drogi.

Mówiąc więc teoretycznie, nie możemy wybierać pewnej kategorii cnót z wyłączeniem innej. Dodam jednak zaraz, że w praktyce nie jest rzeczą możliwą, by ktokolwiek ćwiczył się równocześnie we wszystkich

cnotach. Żebrak nie będzie mógł dawać jałmużny; człowiek żonaty nie będzie dziewiczym; młodzieniec niezdolny musi się wyrzec studiów naukowych. Z powyższego tedy należy wywnioskować, iż w pewnych okolicznościach, dla danej w szczególności jednostki, istnieją cnoty czyli nawyki moralne, których nabycie nie jest, praktycznie biorąc, nieodzowne do wyrobienia charakteru. Natomiast nieodzowną dla każdego z nas jest właśnie owa gotowość do praktykowania wszelkich cnót, gdy nadejdzie potemu sposobność.

Czy nie istnieje jednak zespół cnót, który w każdym wypadku musiałby zdobyć młodzieniec, dbały o wyrobienie swego charakteru? Niewątpliwie tak, jeśli z jednej strony uznamy, że wszyscy powołani jesteśmy do wypełniania obowiązków względem samych siebie, względem bliźnich i względem Boga, a z drugiej strony, że całkowite i stałe ich wypełnianie nie obejdzie się bez regularnego ćwiczenia się w odpowiednich cnotach.

Roztropność Najważniejszym obowiązkiem rozsądnego człowieka jest działać rozsądnie. Nie sądzmy, że to przychodzi samo z siebie od chwili przebudzenia się rozumu, i że pobudki, jak działać, czerpiemy z wyuczonych napamięć zasad postępowania. W laboratorium naszego sumienia moralne reakcje inteligencji na leniwą wolę i gwałtowne namiętności nie przebiegają wedle zupełnie takich samych praw, co reakcje chemiczne. Nie odbywają się bowiem one na podstawie formułek. Moralnie oddziaływamy na siebie z pomocą rozmyślania oraz utrzymywanej w karchach energii, zdając sobie sprawę z wszystkich okoliczności, zależnych od danej osoby, czasu, środowiska, wykształcenia, które nadają każdemu z naszych wolnych czynów właściwe oblicze moralne. Otóż to wszystko, jak i reszta, jest dziełem nawyku. Jakąkolwiek dalibyśmy nazwę temu nawykowi działania zawsze z rozsądkiem lub pozostali przy nazwie roz-

tropność, używanej przez najwybitniejszych filozofów, pozostanie faktem, że nie nabędziemy go i nie rozwinimy, o ile nie poddamy się zgóry dwu prawom, określającym nabycie i rozwój każdego nawyku. Mam tu na myśli *prawo ilości nieskończenie małych* i *prawo ciągłości*. Człowiek z charakterem jest więc przede wszystkim człowiekiem rozsądnym, który posługuje się roztropnością jak latarnią o światłach ruchliwych i zmiennych, by oświecić swój widnokrąg moralny i nie rzucać się naoslep w wir własnych skłonności.

W świetle tej właśnie cnoty zdobywa on wszystkie inne, zwłaszcza mające właściwość naginania spontanicznych uniesień wrażliwości do trwałych wymagań ludzkiego ideału. Czytelnik łatwo zgadnie, że mam na myśli *siłę* i *wstrzemięźliwość*. Bo i te cnoty nabywamy i rozwijamy przez nieskończenie metodycznie powtarzające się czyny. Celem tych cnót nie jest wcale, jak to sądzi wielu, wyniszczenie w nas wrażliwości; wręcz przeciwnie, mają one wzmocnić jej porwy, uduchowić je, czyli zmusić do pomagania nam w zdobyciu roztropności, co jest przecie naszym obowiązkiem. Nie jesteśmy bowiem jedynie istotami duchowymi, jak i nie posiadamy jedynie natury zwierzęcej. Życie więc nasze powinno się zasadzać na pewnej równowadze moralnej, któraby utrzymując w zupełności absolutne prawa naszego rozumu, równocześnie zdawała sobie sprawę ze względnych wymagań naszego ciała.

Ta równowaga moralna w ciągłych wzajemnych stosunkach ciała i ducha jest właściwem dziełem cnót siły i umiarkowania. Umiarkowanie bowiem nie pozwala czystej wrażliwości wyrodzić się w zmysłowość; rzeczą zaś siły jest przemienić w świadome władanie sobą wszystkie pierwsze odruchy z dziedziny wrażliwości, które przez swą gwałtowność nieświadomie wyrwają nas samym sobie i przez swą samorzutność pozbawiają nas panowania nad sobą. Stąd dla mło-

dzieńca, chcącego zdobyć charakter, wynika konieczność nabycia tych cnót.

Ale jakkolwiek obie te cnoty są konieczne do wyrobienia charakteru, nie są one jeszcze wystarczające. Istotnie, człowiek uczciwy w całkowitym rozwoju swej osobowości nie ma spełnić samych tylko osobistych zadań, lecz posiada również obowiązki społeczne, zwłaszcza dzisiaj, kiedy „moralność społeczna” dąży raczej do wchłonięcia na rzecz swoją „moralności indywidualnej”. A przecież obowiązki społeczne wymagają cnót społecznych. Stworzyliśmy teraz wiele określeń w celu scharakteryzowania takich cnót, jak: sprawiedliwość społeczna, solidarność, altruizm, humanitaryzm.

Czy jednak dosyć zrobiliśmy, by dostosować się do rzeczywistości, która by im odpowiadała? Niebardzo w to wierzę. Wielu katolików zwłaszcza aż do ostatnich czasów pozostawało w sprawach życia moralnego ofiarą tradycyjnego przesądu, głoszącego, iż życie moralne jest nadewszystko ściśle wewnętrzną sprawą sumienia, którą powinno się regulować przed Bogiem, zdala od współczesnego zepsucia i wszelkiej nieczystej styczności. Dlatego ci katolicy usuwali się od wiru walki, żyli, zamknięci w swej wieży z kości słoniowej, ciasnem, spokojnem życiem, miernie uczciwem. Nie interesowali się postępem społecznym, który ich przerażał, i cywilizacją, którą pogardzali. Sprawiedliwi byli dla innych akurat o tyle, by nie popaść w zatarg ze sprawiedliwością sądową; miłosierdzie praktykowali niechętnie, a zapomocą jałmużny pozbywali się troski o zupełne poświęcenie się dla bliźnich.

Nie naśladowmy tych ludzi, opętanych strachem przed życiem, na które oni nie zasługują. Życia bowiem nie zdobywa się bez walki i nie rozwija go się bez wysiłków. Ponadto nie można żyć w ciągłym przywiązaniu do umarłej już przeszłości; bo tylko wów-

czas żyjemy, rzecz wolno, podwójnie, gdy zdajemy sobie sprawę z nauk przeszłości, aby tem lepiej dostosować się do czasów teraźniejszych. Ponieważ zaś ludzkość współczesna trawiona jest silniejszą potrzebą sprawiedliwości, tak, iż ludzie ze wszystkich stron ziemi dążą do stowarzyszania się w celu wzajemnej pomocy i kroczenia ręką w rękę ku ideałowi bardziej zbliżonemu do ideału człowieka, nie usuwamy się od tego ruchu, przeciwnie, postępujemy z nim naprzód, z całą siłą swych przekonań, z całym zapałem lat dwudziestu.

Nie sądźmy jednak, że na to wystarczy wygłaszać piękne mowy, czy też urządzać hałaśliwe zebrania. Mamy przedewszystkiem wzmocnić i zahartować wolę, nabywając trwałych nawyków sprawiedliwości i solidarności. A przecież nawyki te nabywamy i rozwijamy tylko przez codzienne działanie, przez ciągłe oddziaływanie upragnionego i kochanego ideału na nasz egoizm, przez bohaterskie i wytrwałe poświęcenie naszego „ja, godnego nienawiści”, które zawsze stanowi zaporę pomiędzy naszymi pragnieniami a rzeczywistością.

Tak przedstawiałby się zespół nawyków moralnych, które koniecznie nabyć powinien młodzieniec, dbały o zdobycie charakteru. Jeżeli nie mówiłem o cnotach chrześcijańskich, to uczyniłem to świadomie. Istotnie, w wolnej chwili zamierzam powrócić do tego tematu i poświęcić cały tom bardzo subtelnemu zagadnieniu chrześcijańskiego kształtowania charakteru. Obecnie celem moim jest tylko poprostu skierowanie uwagi młodzieży na ścisły stosunek, zachodzący pomiędzy charakterem a nawykami moralnymi, inaczej mówiąc, cnotami. Człowiek z charakterem jest człowiekiem doskonale cnotliwym; w nim urzeczywistnienie ideału, będące obowiązkiem, przeszło w stan potrzeby, drugiej natury, bez względu na to, czy chodzi o ogólne, czy też o stanowe obowiązki. Poznajemy przecież charakter po jednolitości i stałości jego postawy wo-

bec obowiązku. Bez owego zespołu nawyków moralnych, który odmalowałem, ta jednolitość i stałość byłaby na każdym kroku narażona na uszczerbek. Niewątpliwie więc ten właśnie zespół cnót przyczynia się istotnie jako całość do wyrobienia charakteru.

II

Jednolitość i stałość moralnego charakteru

Jednolitość charakteru

Bezspornie ideał moralny jest tylko jeden. Urzeczywistnienie go dokonywa się pod postacią wielu odcieni i stopni, w zależności od różnic temperamentu, środowiska, czasu lub wykształcenia. Lecz w samej swej istocie ideał jednaki jest dla wszystkich. Stanowi bowiem pewnego rodzaju *niepodzielną całość*, której nie wolno rozmyślnie niczego odjąć bez zniszczenia jej lub wypaczenia. Gdzie więc leży przyczyna, że tylu ludziom i chrześcijanom nie udaje się mimo najgorętszych pragnień wcielić tego ideału w życie? I oto zamiast jednolitego życia, w którymby każdy czyn nosił znamię obowiązku, patrzymy na żałosne widowisko życia rozproszonego, pozbawionego równowagi i kierunku, rzuconego na łaskę i niełaskę najłżejszego powiewu sceptycyzmu lub niemoralności.

Nietrudno znaleźć przyczynę tego nieładu moralnego. Leży ona w absurdalnym przesądzie, że wystarczy poznać ideał, by go natychmiast urzeczywistnić, że wystarczy dać dowód dobrej woli w stosunku do ideału, by równocześnie zyskać samą wolę.

Jak już wykazałem, dzieje się wręcz przeciwnie: ideał choćby nie wiem jak wzniosły, a może właśnie spowodu swojej wzniosłości sam jest bezsilny wobec naszej osłabionej woli i skłonności brutalnych. Aby ideał stał się dla nas zasadą życiową, musimy go nie tylko

poznać, ale i *chcieć*; musi on być nie tylko *ideał-swiatłem*, lecz także *ideał-siłą*. Cóż jednak koniec końców nazwiemy *ideał-siłą*, jeżeli nie *cnotę*, nawyk moralny, nabyty pod wpływem upragnionego i ukochanego ideału? Wymawiając wyraz „*cnota*”, mamy istotnie na myśli światło i siłę: światło, ponieważ *cnotę* zyskujemy jedynie z pomocą rozumu; siłę zaś, ponieważ *cnota* jest skoncentrowaną, wolną działalnością, zapasem energii, pozostawionym w naszych różnolitych władzach przez akty wolicjonalne, bez końca i metodycznie powtarzane. Skoro więc człowiek posiada wszystkie nawyki moralne, których dla pełnego urzeczywistnienia się wymaga od niego ideał, jego życie moralne odzwierciedli oczywiście jednolitość tego ideału. Człowiek sam jest wówczas skonkretyzowanym ideałem. Gdyż ideał przeżyty stworzył zeń ideał żyjący, istotę zrównoważoną, słowem — charakter.

Stałość charakteru

Ponadto, ta jednolitość życia, ta równowaga moralna, znamionująca wielki charakter, jest dzięki zdobytej *cnocie*, czy ściślej, dzięki *cnotliwemu* nawykowi, jednolitością utrwaloną, równowagą stałą. Cóż bowiem znajdziemy *stałego* nad *dążność* naturalną? A przecież nawyk równoznaczny jest z tego rodzaju *dążnością*, gdyż stanowi niby drugą naturę. Pogłębia on w nas potrzebę działania w kierunku aktywności idealnej, z której powstał. Gdy staliśmy się *cnotliwymi* z nawyku, staniemy się nimi i z potrzeby. Stąd pochodzi *stałość* naszego moralnego postępowania. Niewątpliwie więc charakter, którego cechami znamionnymi są jednolitość i *stałość*, określić można ściśle jako zespół *nawyków moralnych*, inteligentnie rozłożonych wokół osi wolicjonalnej.

Rozdział IV

INTELEKTUALNE NAWYKI A CHARAKTER

W poprzednim rozdziale odpowiedzieliśmy na pytanie: Czy chcemy być ludźmi z charakterem? Jeżeli tak, to nie zadowalajmy się spełnieniem paru aktów cnoty wzdłuż drogi, prowadzącej do człowieczego ideału, ryzykujemy bowiem wówczas pozostanie w tyle. Wręcz przeciwnie, mnożmy akty cnót w nieskończoność i w tym mnożeniu cnót posługujemy się metodą. W taki sposób nabędziemy trwałych nawyków moralnych, które nam umożliwią zdobycie umiowanego ideału i nadadzą naszemu postępowaniu jednolitość i stałość.

Postaram się teraz jeszcze dokładniej określić bieżące zagadnienie. Ponieważ zaś książka moja przeznaczona jest szczególnie dla *młodzieży akademickiej*, zagadnienie to sformułuję tak: Czy wiecie, jaki jest naturalny, najpewniejszy środek, abyście się stali kiedyś ludźmi i chrześcijanami z charakterem? Nie szukajciez go zbyt daleko! Bądźcie studentami poważnymi, świadomymi obowiązków swego stanu, którzy dzięki wiedzy i pracy wykształcą równocześnie inteligencję i wolę.

I

Moralność a wiedza

W rzeczywistości zagadnienie, do którego przystępuję, nie jest niczem innym, jeno tak często roztrząsaną kwestią stosunków wzajemnych wiedzy i moralności.

Pokutują w tym przedmiocie dwa przesady, oba równie godne wzgardy. Pierwszy sprowadza się do następującej, dość uproszczonej formułki: nabywajcie wiedzy, przez co pomnożycie i cnotę; niechaj wykształcenie będzie obowiązkowe, bo to jedyny sposób wychowania zarazem uczonych i ludzi. Drugi przesąd świadczy o niemniejszej naiwności, chociaż wyraża się w sposób oględniejszy. Ludzie, przepojeni nim, nie posuwają się aż do powiedzenia: „Usuńcie wiedzę, a zobaczycie, jak zaraz zakwitnie cnota”, lecz wychodząc z zasady, jeżeli to można nazwać zasadą, że wiedza wbija w pychę ludzi — *scientia inflat*, zalecają raczej ignorancję, korzystną dla pokory, w przekonaniu, że cnota owa, mająca według nich pomniejszać ludzi, jest zarazem największą z cnót. Powtarzam, że są to głupie przesady, które nie ostaną się przy bliższym zbadaniu. Istotnie, by stworzyć jednostki z charakterem, w najwyższym znaczeniu tego słowa, nie wystarczy ani nakazywanie ludziom, ani też wzbranianie im wykształcenia. Dowodem na to niech będzie fakt, że „męczenników obowiązku” znajdujemy na wszystkich prawie szczeblach drabiny społecznej, zarówno pomiędzy nieoświeconymi, jak i wśród inteligencji. O wiele rozumniej, a więc bardziej po ludzku byłoby rozpatrzyć, w jakiej mierze i pod jakimi warunkami kształcenie inteligencji może lub nie może przyczynić się do kształcenia woli. Osobiście uważam, że kształcenie inteligencji może tego dokonać w wielkiej mierze i to pod dość prostymi warunkami.

Niewątpliwie często się zdarza, że wiedza wbija w pychę ludzi, nie jest to jednak jej stałą właściwością. Pod tym względem ignorancja — mam tu na myśli zwłaszcza ignorancję chępliwą — nie ustępuje w niczem wiedzy, a bodaj, że ją o wiele przewyższa. Istotnie doświadczenie okazuje nam, że zwykle prawdziwi uczeni są pokorni, pysznymi zaś są tylko skończeni głupcy. Prawdę mówiąc, wiedza wbija w pychę

tylko tych, którym nie zapełniła całkowicie umysłu, zostawiając w nim dla próżności miejsce mniej lub więcej znaczne. Bóg nie jest próżny ani dumny właśnie dlatego, że jest Wszechwiedzą. Zresztą pokora i wiedza czerpią z jednego źródła, będąc obie córkami prawdy. Jakże więc w tych warunkach mogłyby żyć w niezgodzie? Wręcz przeciwnie zaś ignorancja chępliwa jest córką kłamstwa, z tego tedy tytułu może przybierać jedynie maskę pokory. Gdy spojrzymy na tę sprawę zbliska, to stwierdzimy, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć pokora ignorantów zasada się na upokarzaniu uczonych. Dość łatwo zachować pokorę, nie mając żadnych powodów do pysznienia się. Stwierdzićby jednak należało, czy ta pokora nie jest czasem pychą zawiedzioną, którą pospolicie nazywamy zawiścią? Nie słuchajmy więc ludzi, chcących nas odwieść od nauki pod tak kłamliwymi pozorami. Religja katolicka, opierając się całkowicie na prawdzie, nie potrzebuje obawiać się jej przejawów, skądkolwiekby one pochodziły. Święty Paweł apostoł, który pierwszy nas miłosiernie przestrzegł, że wiedza wbija w pychę, zaklinał nas również, byśmy mieli rozumną wiarę: *rationabile obsequium*, opartą na prawdzie.

Nie jest to oczywiście powód, by posuwać się do ostateczności i głośić wespół z pewnymi utopistami, że dość w kształceniu moralnem oświecić inteligencję, by wola uzyskała sprężystość; że skoro zdamy magisterjum czy doktorat, staniemy się jakby pod wpływem czaru ludźmi z charakterem. Niestety! doświadczenie stwierdza rzeczy wręcz przeciwnie. Dyplomu wychowania nie wydaje się tak łatwo, jak dyplomu wykształcenia. Trzeba doń więcej niż dziesięć lat pracy nad sobą i więcej niż jeden rocznie rachunek sumienia.

I oto nasuwa się pytanie: w jakiej mierze i pod jakimi warunkami nawyki intelektualne, inaczej mówiąc wiedza, zdołają ułatwić człowiekowi całkowity rozwój jego osobowości moralnej?

Oczyszczenie osobiste

Jasnym jest, zauważmy najpierw, że myślenie o rzeczach wzniosłych wyrwa nas spod wpływu podszeptów ziemskich. Nie możemy bowiem wtedy czasu, poświęcanego poszukiwaniu prawdy, użyć na zadowolenie zwierzęcych namiętności. Jest to zawsze pewna zdobycz na nieprzyjaciela, gdyż jeżeli człowiek nie jest jedynie duchem, niemniej przeto jest nim przede wszystkim. Swoją „duchowością” różni się on od zwierząt, i jego ciało nawet ma szczególną właściwość naginania się do wymagań rozumu, tak jak glina przybiera kształt w palcach garncarza. Już tylko z tego punktu widzenia wiedza jest płodnym pierwiastkiem oczyszczenia moralnego.

Pozwala nam bowiem ona poskromić zmysłowość, nie dając czasu i okazji do grzechu. Oczywiście wolno nam pielęgnować wiedzę dla wzbogacenia naszego umysłu, ale też nic nam nie przeszkadza posługiwać się nią, by „umoralnić” nasze namiętności, zwłaszcza, że namiętności „umoralnione” ułatwiają w dalszym następstwie osiągnięcie wysokiej kultury intelektualnej. Dobrowolna niewola ciała jest okupem za wolność umysłu.

Oczyszczenie społeczne

Wszelako skutki moralne wiedzy nie ograniczają się do osobistych korzyści. Wiedza jest nie tylko doskonałym środkiem oczyszczenia moralnego jednostki; służy ona poza tym jeszcze do rozwijania w nas cnót społecznych. Wystarczy mi dla jasności powiedzieć, że student katolik nie powinien się uczyć tylko dla własnej potrzeby, lecz również po to, by sprostać potrzebom społecznym. Nie powinien on pielęgnować wiedzy wyłącznie dla siebie, lecz także i dla innych. Przyszłość bowiem, do której się przygotowuje, nakłada nań w imię sprawiedliwości i chrześcijańskiej miłości obowiązek stania się dodatnim typem studenta.

Jest to przede wszystkim obowiązkiem sprawiedliwości. Wygłaszając tę prawdę, mam zwłaszcza na myśli studentów prawa, nauk przyrodniczo-matematycznych i medyków, słowem tych, którzy wybrawszy drogę zawodu wolnego, będą musieli kiedyś spełniać obowiązki zawodowe, wymagające wiele pilnego starania. Czyż pomyśleli oni kiedykolwiek o odpowiedzialności, którą biorą na siebie, gdy zamiast zużyć cały czas i energię na naukę, marnotrawią je w wielkim stopniu na próżniactwie lub zabawianiu się głupstwami? Czy pomyśleli, że kiedyś ich bliźni, walcząc z trudnościami życia, chorzy fizycznie lub moralnie, przyjdą zapukać do ich drzwi, by wybrać ich na sędziów swego losu, i że wówczas będą mogli oddać im w formie rad czy starań to tylko, co im zostało z kapitału intelektualnego, zebranego z wielkim trudem na ławach uniwersyteckich i we własnej pracowni? Czyż zastanowili się nad tem, że cierpienia innych powiększą się może kiedyś spowodu tych wszystkich zbytecznych przyjemności, których używali w czasie godzin, dni i miesięcy, przeznaczonych na naukę?

Wielu studentów, nawet najpoważniejszych, niedość się nad tem zastanawia. Natomiast wyobrażają sobie bardzo chętnie, że dyplom zastąpi im wszystko. Powinliby jednak wiedzieć, że nie wyleczymy pacjenta prawieniem mu o swych tytułach, ani pokazaniem mu dyplomu doktorskiego. Wyleczymy go wówczas, gdy stać będziemy na wysokości swych zadań zawodowych; nie odpowiemy im zaś, o ile nie przygotujemy się sumiennie, latami, do wypełniania ich należycie. Podkreślam raz jeszcze, że jest to z naszej strony ścisły obowiązek sprawiedliwości. Jest to obowiązek, podobny do powinności ojca rodziny, który musi uprawić swe pole, zorać je, zasiać i zabronować w odpowiednim czasie, jeżeli chce dostarczyć dzieciom chleba, którego mają prawo od niego oczekiwać. Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby ów ojciec rodziny, zało-

żywszy ręce przez całą zimę, pomyślał o przyłożeniu ręki do pług dopiero na dwa miesiące przed żniwami, a potem rozpaczałby, że nic lub prawie nic nie zebrał? Nie myślmy, by te łzy upokorzonego leniucha rozgrzeszyły go z winy niedbalstwa, a żal jego, chociażby szczery, wyrwał z nędzy jego żonę i dzieci, względem których miał obowiązki. To samo możnaby zastosować — z wszelkimi zastrzeżeniami — do tych spośród nas, co przekładają przyjemność nad naukę. Nie staną bowiem na wysokości ani swego *powołania ludzkiego*, ani zawodowego, gdyż sumienna nauka razem z ćwiczeniem umysłu wzmacnia wolę. Student, który pracuje normalnie, ma tę szczególną korzyść, że nabywa i rozwija w sobie równocześnie dwie cnoty: intelektualną, przez którą gromadzi zapas wiedzy, później mu potrzebnej, oraz cnotę moralną, która mu umożliwi wywiązanie się z powinności swego stanu. Powyższe rozważania okazują jasno, że zasób naszej wiedzy nie pozostaje bez przemożnego wpływu na nasze postępowanie. Wiedza bowiem stanowi obowiązek, wynikający z poczucia sprawiedliwości, dla tych wszystkich, którzy bez niej nie byłiby w stanie wypełnić powinności względem społeczeństwa. Dodam jeszcze, że jest ona obowiązkiem miłości chrześcijańskiej i najpewniejszym środkiem do rozwinięcia tej wielkiej społecznej cnoty.

Większość studentów katolików, których miałem sposobność poznać, wydała mi się bardzo przejęta współczesnością; jestem z nich dumny. Tchnienie jedności, które ogarnęło dusze dzisiejszych ludzi, nie owionęło ich własnej bez wywołania w niej dreszczu. Młodzi kochają bliźniego i zdobywają się na poświęcenie. Będąc przedewszystkiem katolikami, marzą o wyrwaniu zbłąkanych braci z sieci błędów czy zwątpień: chcą im otworzyć oko duszy na światło prawdy. Znam pośród nich takich, co mając ducha apostołskiego, pragną jedynie pójść między maluczkich, by opowiadać im dobrą nowinę.

Nic lepszego nad to w teorii; jakież jednak jest sposób dokonania tego w praktyce? Służy on do ich dyspozycji. Niech się staną uczonymi dla miłości bliźniego! Niech zaczerpną z podwójnie obfitego źródła wiedzy i wiary, lecz bez zbytniego pośpiechu! Za tę bowiem cenę zdobędą zdrowie intelektualne. Później, gdy dojdą już do wieku męskiego, niech zabłyszczą przed oczami świata, zwłaszcza zaś przed oczami ludu, czyli ludzi ciemnych, ofiar nieświadomości, ludzi zbłąkanych, tą harmonią wiedzy i wiary, która ich oczaruje. Niechże będą dla ludu żywymi przykładami wiarogodności zasad chrześcijańskich.

A gdy lud ujrzy, iż uczeni, których słów elita słucha z szacunkiem, zginają przed Panem kolana i jak za młodych lat przekraczają próg świątyń, aby się z nim modlić, i przystępują z nim razem do stołu Pańskiego, wówczas uczuje się on przejednanym. Lud, wchodząc w głębię siebie, powoli, bardzo powoli zanuci „pieśń dawną”, wzniesie ku niebu znów pogodnemu oczy też pełne i uzna, że pozorne dawniejsze złudzenia były jedyną rzeczywistością; serce ludu, owładnięte świętym wzruszeniem, zacznie bić znowu nadzieją, ciężar życia wyda mu się lżejszym, a los mniej nieubłagany. Zawdzięczać zaś to będzie — po Bogu — właśnie młodzieży, przynajmniej tym spośród niej, którzy wiernie trwając przy swych obowiązkach katolickich studentów, staną się prawdziwymi apostołami, apostołami przez fakt czynu i przykładu. Im ani tłum, ani jednostka oprzeć się nie zdoła.

Zauważyliśmy więc, że wiedza jest doskonałym czynnikiem umoralniającym. Z jej bowiem pomocą można zwyciężyć gwałtowne namiętności ciała i podnieść się na wyższy poziom sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Trzeba jednak spełnić nieodzowny potem warunek: umieć się uczyć. Sposób uczenia się, podobnie jak wiedza, służy do kształcenia umysłu i równocześnie ułatwia kształcenie woli.

II

Praca i wypoczynek

Pod tym względem wśród większości studentów panują dziwne złudzenia; wielu nie umie się uczyć, gdyż pracują taksamo, jak się bawią, to znaczy według kaprysu lub na los szczęścia. Przygotowują się do egzaminu w podobny sposób, jak do spowiedzi generalnej — to znaczy możliwie najpóźniej, i przerzucają stronicę książek naukowych w taki sam sposób, w jaki gorączkowy i skrupulatny penitent przetrząsa swoje sumienie. Na egzaminie zaś zdarza się to samo, co przy konfesjonale — wrażenie chwili obezwładnia pamięć i niezwykle podnieca nerwy; odczuwamy wówczas ogromną trudność przy odpowiadaniu na dokładne pytania, to znaczy przy wydobywaniu z pamięci tego, co wchłonęliśmy odrazu. Takie „natchmiastowe” przygotowanie się działa bardzo ujemnie, nie pozwala bowiem na zupełne i moralne przyswojenie sobie danego przedmiotu.

Najlepszy sposób na to, by dobrze zdać egzamin, polega na przygotowywaniu się doń oddawna, codziennie, bez troszczenia się zbytnio o sam egzamin. Życie intelektualne, jak zresztą i moralne, jest rzeczą nawyku. Jego rozwój podlega prawu ilości nieskończenie małych i prawu ciągłości. Stwierdzam, że student średnio inteligentny, któryby poważnie pracował przez wszystkie dni w roku, choćby po dwie lub trzy godziny dziennie, nie odczułby potrzeby wycieńczania swego umysłu na trzy miesiące przed egzaminem, gdyż miałby czas na przyswojenie sobie i przetrwanie materiału. I gdyby nawet musiał w ostatniej chwili dobyć wszystkich sił, podnieciłoby go to, lecz nie wyczerpało. Odczuwamy bowiem prawdziwą radość, przebiegając powtórnie, w tempie wyścigowym, ale bez zadyszki, odległość, na której przejście wolnym i odmierzonym krokiem zużyliśmy osiem lub dziewięć miesięcy.

Pilność Stanowi to zresztą ogromną korzyść z punktu widzenia moralnego. Cnoty pilności, do której zmierza tak prowadzona praca, nabywa się w ten sam sposób, co wszystkich innych. Wymaga ona ciągłej interwencji woli, która również zasila się i wzmacnia własnymi czynami.

Dlaczego naogół młodzież akademicka nie uczy się o oznaczonej godzinie i w określonym czasie? Jedynie dlatego, że trudno jej bardzo otrząsnąć się ze zniewieściałości, przeciwdziałać kaprysom, własnej wygodzie, potrzebie rozpraszania się i zastosowania tak pompatycznie przez młodzież nazywanej „wolności”. Zamiast pracować we właściwej porze, pracuje wówczas, gdy jej się podoba; a podoba jej się pracować tylko wtedy, gdy przestanie ją bawić mnóstwo innych rzeczy, niewymagających wysiłku. Jeżeli sam egzamin pobudza ją do pracy, to nie dlatego, by był pociągający, lecz jedynie dlatego, że należy liczyć się ze skutkami klęski, czy powodzenia. Cóż się dzieje przy podobnym pojmowaniu nauki nie tylko z życiem intelektualnym, ale i z moralnym? Sprowadza się ono do zera.

Wręcz przeciwnie zaś, o ile student pracuje dzień po dniu, zadziwi go wreszcie własne powodzenie. Wzmocnią się w nim bowiem cechy zarówno człowieka, jak i uczonego. Niech więc najpierw uczy się przez kilka minut, by w ten sposób uniknąć zniechęcenia; lecz niech uczy się o oznaczonej godzinie, by wpoić woli dobre nawyknienie. Co do ostatniego punktu, to postara się być nieustępliwym; pod żadnym pozorem nie zmieni godziny. Gdy nawyknie do pracy codziennie np. przez kwadrans rano — a bardzo łatwo nabywa się tego nawyku — powoli przyzwyczai się do uczenia się przez pół godziny i tak dalej, dopóki nie będzie mógł dostarczyć w postaci nawyku sumy pracy, jakiej mamy prawo oczekiwać od dwudziestoletniego młodzieńca w pełni zdrowia, chcącego stać się w przyszłości kimś lub czemś przynajmniej.

Ten sposób uczenia się, chociaż zewnętrznie wydaje się skromny, jest jednak właściwy dla przeciętnych umysłów; dla wszystkich zaś jest jedynie skutecznym środkiem kształcenia woli.

Wypoczynek To samo powiedziałbym o wypoczynku, niezbędnym po pracy. Umiejętność wypoczywania jest wielką sztuką; jest jakby odwrotną stroną umiejętności pracy. Jednakże wypoczynku nie należy mieszać z lenistwem, ani z bezczynnością. Człowiek leniwy i próżniak ucieka od nauki. Przeciwnie zaś student poważny wypoczywa, by potem więcej się uczyć. Prawdziwy wypoczynek powinien być zorganizowany, podobnie jak nauka, niekoniecznie w sposób matematyczny, ale z pomocą woli. Nieraz najlepszy sposób wypoczynku zasadza się na zmianie zajęcia; jednakże inne rodzaje wypoczynku również są godziwe. Wolno nam używać rozrywek, grać w różne gry, podróżować, zabawiać się przyzwoicie z przyjaciółmi, pielęgnować sztuki, uprzyjemniające życie, lub przynajmniej się nimi interesować, są to bowiem zajęcia, które zachowują jędrność umysłu, świeżość wyobraźni i nie poniżają ani zmysłów, ani woli. Lepiej jeszcze jest wypoczywać nie według fantazji, lecz zależnie od nakazów woli. Wtedy sam wypoczynek będzie już działaniem, równie obfitem w skutki moralne jak praca, którą zważywszy wszystko, możnaby także nazwać wypoczynkiem.

Wiele jeszcze możnaby mówić na ten temat. Niech się jednak nad nim zastanowią sami młodzi. Jeżeli od tej chwili zgodzą się stać studentami w całej mocy tego słowa i w sposób, który właśnie wskazaliśmy, jestem pewny ich przyszłości.

Narazie dzięki głębszej radości, płynącej z pracy umysłowej, oraz spokojowi czystego sumienia zyskają wielką otuchę, a kiedyś — twierdzę, choć nie chcę wcale bawić się w proroka — staną się ku wielkiemu zadowoleniu Kościoła i ojczyzny ludźmi z mocnym poczuciem obowiązku, chrześcijanami z charakterem.

Rozdział V

NADPRZYRODZONE NAWYKI A CHARAKTER

Zadanie moje dobiega końca. Pozostawałoby mi jeszcze niewątpliwie szczegółowo omówić charakter chrześcijański i nadprzyrodzone środki jego rozwijania. Ale takiego zagadnienia nie można wyczerpać na paru stronicach. Odłożę przeto na później gruntowne jego rozpatrzenie, a narazie zadowolę się przypomnieniem w kilku słowach naszych najgłówniejszych wniosków i wskazaniem planu przyszłych rozważań¹⁾.

I

Ideał ludzki

Przypomnijmy sobie najpierw najważniejsze punkty zagadnienia, które mieliśmy rozwiązać. Nasza inteligencja pod wpływem podwójnego światła, pochodzącego z rozumu i wiary, stawia nas wobec ideału, który mamy urzeczywistnić. Będzie to ideał uczciwego człowieka. Zgodnie ze swą rolą wyznacza nam więc inteligencja cel i wskazuje środki, z pomocą których mamy doń dążyć. Na tem jednak rola jej się nie kończy.

¹⁾ Każdy, kto chce być chrześcijaninem, i, nato, by nim mógł być, wpiery musi zostać człowiekiem z charakterem. Wszelako ta sama jednostka powinna równocześnie i równolegle urzeczywistnić ideał ludzki i chrześcijański i wznieść na opoce cnót ludzkich niewzruszony gmach cnoty chrześcijańskiej. W pracy *La Virilité Chrétienne* poświęciliśmy przeszło 400 stron badaniu i rozwiązaniu tego problemu. Pozwalamy więc sobie do niej odesłać czytelnika.

Jest ona bowiem świecącą latarnią nadmorską. Jej smuga świetlana jest nam cenną pomocą w morskiej przeprawie, nie stanowi wszakże dla nas kotwicy.

Istotnie, nato by wylądować, nie wystarczy widzieć jasno, trzeba być jeszcze silnym. Zapewne nie zbywa nam na różnego rodzaju energjach. Brakuje raczej karności ich przejawom. Któż tę karność wprowadzi? Uczyni to woła, oświecona ideałem, co równoznaczne jest z powiedzeniem, iż, by wyrzucić wpływ skuteczny na kierunek naszego postępowania, ideał nie może być tylko *widzianym*, lecz *chcianym*; że z *idei-światła*, którą jest w swej istocie, powinien stać się w praktyce *ideał-siłą*.

Ideał, tak zrozumiany, upragniony i umiłowany, przyciąga do siebie najpodatniejsze do zapłodnienia go energie namiętności i uczuć. To, co otrzyma od nich w formie siły instynktownej, ślepej, odda namiętnościom w formie oświeconej siły moralnej. Z biegiem czasu, pod wpływem powtarzających się aktów wolicjonalnych, tworzą się nawyki, których *inteligentne rozłożenie wokoło osi wolicjonalnej stanowi moralny charakter*.

II

Ideał chrześcijański

Ileżto razy powtarzałem, iż zanim staniemy się chrześcijanami i właśnie nato, by się nimi stać, musimy być wpieryw uczciwymi ludźmi. Kończąc swą pracę, nie zaprzeczę owemu początkowemu twierdzeniu, lecz dodam, iż kto się chce stać chrześcijaninem z charakterem, musi koniecznie nabyć oprócz cnót naturalnych, które są właściwe człowiekowi uczciwemu, jeszcze cnót nadprzyrodzonych, tworzących nadczłowieka. Do pierwiastka ludzkiego naszych czynów trzeba przymieszać pierwiastek boski. Cnoty nadprzyrodzone są istotnie

cnotami boskimi w pochodzeniu swem, rozwoju i skutkach. Bóg sam nam ich udziela, dając nam łaskę; On sam je pomnaża, zależnie od naszych zasług, tak iż czynią nas one synami Bożymi.

Jednakże, chociaż te cnoty są boskie, ćwiczenie się w nich uwarunkowane jest nabyciem i rozwojem odpowiadających im cnót naturalnych.

Wyobraźmy sobie dwie bazyliki jedna nad drugą, z których sklepienie pierwszej służy za podstawę drugiej; fundamenty pierwszej wkopane są w ziemię, szczyt wieży drugiej gubi się w niebiosach; cała piękność drugiej bazyliki zależy zupełnie od trwałości pierwszej z nich; gdy usuniemy pierwszą, równocześnie runie w gruzy i druga.

Taksamo przedstawia się sprawa stosunku cnót nadprzyrodzonych do cnót naturalnych. Chociaż są to cnoty boskie o cudownej mocy, niemniej dla osiągnięcia doskonałej pełni rozwoju muszą się opierać na podstawie cnót naturalnych. Powracam więc do początkowego zdania: *Jeżeli chcemy być chrześcijanami z charakterem, stańmy się wpierw uczciwymi ludźmi.*

TREŚĆ

	Str.
Przedmowa	1

CZĘŚĆ I

IDEAŁ A KSZTAŁTOWANIE CHARAKTERU

Rozdział I

Wola a charakter

Wola, str. 5—7; — Charakter, str. 7—9; — Względna bezsilność woli w kształtowaniu charakteru: teorje; fakty, str. 9—13; — O rzekomej wszechmocy woli w kształtowaniu charakteru: teorja; doświadczenie, str. 13—17.

Rozdział II

Środowisko społeczne a kształcenie charakteru

Składniki charakteru, str. 18—19; — Środowisko społeczne: życie intelektualne; życie moralne; życie materialne, str. 19—23.

Rozdział III

Poznanie samego siebie a kształtowanie charakteru

Samotność zewnętrzna, str. 25—26; — Samotność wewnętrzna: marzenie; skupienie, str. 26—29.

Rozdział IV

Ideał a kształtowanie charakteru

Konieczność ideału, str. 31—33; — Ideał chrześcijański: nadczłowiek; człowiek uczciwy; chrześcijanin, str. 33—36; — Poznanie ideału a kształtowanie charakteru: wychowanie a wykształcenie; doświadczenie, str. 36—40; — Idea-światło a idea-siła: ideałści i materialści; doświadczenie chrześcijańskie, str. 41—46.

CZĘŚĆ II

NAMIĘTNOŚCI A CHARAKTER

Rozdział I

Namiętności a ideał chrześcijański

Namiętności, str. 50—53; — Uczucia a namiętności, str. 53—54; — Namiętności a ideał chrześcijański: ideał stoicki; ideał epikurejski; ideał chrześcijański, str. 55—60.

Rozdział II

Taktyka woli w stosunku do namiętności w kształtowaniu charakteru

Wola a fizjologiczne skutki namiętności, str. 63—64; — Wola a przyczyny namiętności: przyczyny pośrednie; przyczyny bezpośrednie, str. 64—68; — Zużytkowanie namiętności: problem; metoda; rozwiązanie zagadnienia, str. 68—74.

Rozdział III

Taktyka inteligencji względem namiętności i uczuć w kształtowaniu charakteru

Rozmyślanie, str. 75—78; — Prawda spekulatywna a prawda praktyczna, str. 78—80.

Rozdział IV

Rola łaski w stosunku do namiętności w kształtowaniu charakteru

Natura a łaska, str. 83; — Wiara, str. 84; — Miłość Boża, str. 85.

Rozdział V

Egoizm a altruizm

Szkodliwy egoizm, str. 88—91; — Cnotliwy egoizm, str. 91—92; — Fałszywa solidarność, str. 92—96; — Prawdziwa solidarność: solidarność ludzka; solidarność chrześcijańska, str. 96—99.

Rozdział VI

Zmysłowość

Natura zmysłowości, str. 100—103; — Przyczyny zmysłowości: przyczyny osobiste; przyczyny społeczne, str. 103—105; —

Skutki zmysłowości: skutki fizyczne; skutki umysłowe; skutki moralne, str. 106—111; — Środki zaradcze przeciw zmysłowości: wrażliwość; kultura intelektualna; kultura moralna, str. 111—114.

CZĘŚĆ III

CZYNNE DZIAŁANIE A CHARAKTER

Rozdział I

Nawyk

Istota nawyku: przyczyny istnienia nawyków, str. 118—122; — Wartość moralna nawyków: nawyk a wolność, str. 122—125.

Rozdział II

Prawa tworzenia się nawyków

Higjena duszy: higjena fizjologiczna; higjena moralna, str. 126—131; — Gimnastyka duszy: sporty, str. 131—133; — Prawo nieskończenie małych ilości; prawo ciągłości, str. 133—136.

Rozdział III

Nawyki moralne a charakter

Równowaga moralna: łączność wzajemna cnót; roztropność, str. 137—143; — Jednolitość i stałość moralnego charakteru, str. 143—144.

Rozdział IV

Intelektualne nawyki a charakter

Moralność a wiedza: oczyszczenie osobiste; oczyszczenie społeczne, str. 145—151; — Praca i wypoczynek: pilność str. 152—154.

Rozdział V

Nadprzyrodzone nawyki a charakter

Ideał ludzki, str. 155—156; — Ideał chrześcijański, str. 156—157.





6398

11.